

NASZA AKCJA:
WYŚLIJ POCZTÓWKĘ OBROŃCOM POLSKICH GRANIC

KORWIN-MIKKE:
POLSKI PROBLEM, ROSYJSKA FRAJDA



KTO JEST WINNY ŚMIERCI PANI IZY Z PSZCZYNY?



PREMIER GLIŃSKI:
CZY MOŻNA WYWRÓCIĆ FILMOWY STOLIK?

SIECI

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

Nr 46 (468) 2021
15–21 listopada 2021
CENA: 6,90 zł (w tym 8% VAT)



TYLKO U NAS

OTO POLSKI PLAN OBRONY

TO BĘDZIE DŁUGA I CIĘŻKA WOJNA NA WYCZERPANIE.
UJAWNIAMY, JAKA JEST POLSKA STRATEGIA,
JAKIE MAMY REZERWY, NA KOGO MOŻEMY LICZYĆ

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694
9 772544 269106 46





Najlepsi wracają do gry



Wybierz ofertę TV **od 30 zł/mies.**
z nowym dekoderem 4K
i dobieraj pakiety sportowe

Dekoder polsat box | 4K

4K



TV satelitarna TV kablowa IPTV

polsat box

Wybierz swoje wszystko

Zaprezentowano kanały z różnych ofert telewizyjnych. Promocja dla nowych Klientów telewizji satelitarnej i kablowej IPTV przy umowach ze zobowiązaniem od 30 zł/mies. i z okresem podstawowym na 24 okresy rozliczeniowe. Usługa telewizji kablowej IPTV działa z Internetem stacjonarnym Plusa, Netii i Orange i wymaga łącza o min. prędkości 8 Mb/s dla kanałów w jakości HD i 25 Mb/s dla kanałów w jakości 4K na dekoder. Szczegóły w Warunkach Oferty i Regulaminie, dostępnych u Sprzedawców i na polsatbox.pl
Oferta ważna na dzień 9.11.2021 r.
LaLiga Santander w ELEVEN SPORTS | Zdjęcia: Getty Images.

epr.asa.pl d4ace5c9e2



Nie ma łatwych rozwiązań

Wielu chrześcijan w Polsce, patrząc na to, co dzieje się w ostatnich dniach na naszej granicy z Białorusią, przeżywa rozterki moralne. Ogólna zasada wynikająca z wiary nakazuje pomaganie bliźniemu. Jednak konieczna jest roztropność, ponieważ to, co niekiedy wydaje się pomocą, może przynieść większe szkody, zwłaszcza innym osobom. Dotyczy to szczególnie kwestii imigracyjnych.

Żeby nie być gołosłownym, podam konkretny przykład. Kiedy w 2018 r. Matteo Salvini, ówczesny wicepremier i minister spraw wewnętrznych Włoch, zainicjował politykę zamkniętych portów, nie wpuszczając nielegalnych imigrantów na teren Italii, miotano pod jego adresem oskarżenia, iż jest mordercą odpowiadającym za śmierć tysięcy ludzi w wodach Morza Śródziemnego. Z czasem okazało się jednak, że jego polityka (co potwierdzają dane Wysokiej Komisji ONZ ds. Uchodźców) spowodowała drastyczny spadek utonięć na tym akwenie o ponad 90 proc.

Dlaczego tak się stało? Ponieważ polityka zamkniętych portów zniechęcała imigrantów i uchodźców do niebezpiecznej podróży przez morze, natomiast Willkommenspolitik ich do tego zachęcała. Mniej ryzykownych prób oznacza mniej utonięć. Oznacza także mniejsze wpływy dla przemytników żywego towaru, którzy zarabiają krocie na nieszczęściu ludzi, wsadzając ich na często zdezelowane łajby, mogące zatonąć przy silniejszym podmuchu wiatru czy większej fali. W rzeczywistości więc działania Salviniego uratowały wiele istnień ludzkich w odróżnieniu od polityki otwartych portów, która przyczyniła się do licznych utonięć.

Analizując sytuację na naszej wschodniej granicy, warto przypomnieć kilka faktów. Po pierwsze, państwo polskie zorganizowało trzy konwoje z pomocą humanitarną dla koczujących na granicy imigrantów, jednak władze białoruskie nie przepuściły samochodów na swoje terytorium.

Po drugie, wspomniani przybysze nie są uchodźcami zbiegłymi z rejonów, gdzie grożą im prześladowania lub śmierć. Przylecieli do Mińska białoruskimi liniami lotniczymi z miejsc, gdzie ich życiu nie zagraża niebezpieczeństwo, płacąc za podróż spore sumy pieniędzy.

Po trzecie, trafili na Białoruś, która z punktu widzenia prawa międzynarodowego jest dla nich bezpiecznym krajem i powinna się nimi zaopiekować, skoro ich sprowadziła. Odpowiedzialność za los wszystkich cudzoziemców spoczywa na władzach w Mińsku, dopóki znajdują się oni na terytorium tego państwa.

Po czwarte, wpuszczenie nawet niewielkiej grupy nielegalnych imigrantów oznaczać będzie wyłom w murze, który (podobnie jak polityka otwartych portów na Morzu Śródziemnym) zachęci rzesze chętnych do szturmowania granicy. Skutki wtargnięcia na terytorium Unii Europejskiej dziesiątków, a może nawet setek tysięcy imigrantów, wśród których dominują samotni mężczyźni w wieku poborowym, są trudne do oszacowania. Tym bardziej że nie zostaną oni wcześniej odpowiednio sprawdzeni przez służby, co oznacza, że mogą się znaleźć wśród nich także islamiści z Bliskiego Wschodu. To narażanie na niebezpieczeństwo własnej wspólnoty. W tym kontekście obrażanie i nazywanie mordercami żołnierzy pilnujących naszej wschodniej granicy jest skrajną bezczelnością i niewdzięcznością. Oni rzeczywiście bronią naszego bezpieczeństwa.

Po piąte, trzeba mieć świadomość, że władze w Mińsku prowadzą wojnę psychologiczną przeciwko Polsce, w której wykorzystują ludzi jak żywe tarcze. Łukaszenka wie doskonale, jakie wrażenie wywołuje widok zrozpaczonych matek z dziećmi, dlatego cynicznie sięga po szantaż moralny, grając na emocjach i licząc na przełamanie w ten sposób oporu. Uleganie mu to wzmacnianie go i zachęcanie do dalszej eskalacji konfliktu.

W obecnych realiach, pod presją bezwzględnego dyktatora, nie ma łatwych rozwiązań. Świadomość tego wszystkiego nie oznacza jednak bezduszności. Gdyby doszło do sytuacji, że naprawdę zagrożone jest życie lub zdrowie któregoś z nielegalnych imigrantów, należy mu koniecznie przyjść z pomocą.

Wiem, że wielu z nas czuje w tym momencie bezradność. Nie ma jednak lepszej sposobności, by modlić się o ratunek, niż wtedy, gdy jesteśmy bezradni. Być może to jest właśnie ta chwila, w której szczególnie powinniśmy wznosić modlitwy w intencji tych nieszczęśników na granicy, prześladowanych patriotów białoruskich, polskich żołnierzy i naszej ojczyzny, przed którą otwiera się kolejna niewiadoma.

Grzegorz Górny

Reklama | 29/0321/F

Wyślij pocztówkę bohaterom, okaż im wsparcie!

Drodzy Czytelnicy, wobec prowokacji białoruskiego reżimu chcemy wesprzeć naszą Straż Graniczną, Wojsko, Policję i wszystkie inne polskie służby mundurowe. To oni bronią naszych granic, naszego kraju i bezpieczeństwa nas wszystkich. To, co my widzimy na nagraniach, jest tylko ułamkiem ich zmagań z prowokacjami postsowieckiego dyktatora. To oni co rano wstają z łóżek, nie wiedząc, co ich czeka tego dnia – czy zobaczą, jak przybysze ze Wschodu przecinają instalację graniczną, czy białoruski pogranicznik będzie mierzył do nich z broni, czy tłum imigrantów wypchnie przed siebie dzieci jako żywe tarcze – a może dojdzie do czegoś jeszcze poważniejszego?

Nasi chłopcy na wschodniej granicy zmagają się też z haniebną akcją oczerniającą, którą tworzą nieprzychylne Polsce środowiska.

Wyrazy poparcia w internecie to za mało. Nasze oburzenie na kłamców i manipulatorów nie wystarczy, dlatego serdecznie zachęcamy Was, Drodzy Czytelnicy, do napisania na kartkach pocztowych kilku życzliwych słów do naszych obrońców. Może to być podziękowanie, deklaracja modlitwy lub nawet narysowany przez młodszego członka rodziny uśmiech dla bohatera. Kartki prosimy wysyłać do nas, na adres tygodnika „Sieci", aby nie zakłócać pracy SG. Całość zbierzemy i uroczyście wręczymy tym, którzy teraz poświęcają dla nas najwięcej.

Niech mundurowi na służbie zobaczą, że Polska o nich pamięta, myśli o nich i że jest im wdzięczna.

Adres: Tygodnik „Sieci", ul. Finlandzka 10, 03-903 Warszawa. Z dopiskiem: „Dla obrońców granic".

eprasa.pl/4ace5c9e2

SIECI

spis treści



28 *Odwet tyrana*
Jan Rokita



58 Pokolenie bumerang
Aleksandra Rybińska



64 Bo w niej był nie tylko seks
Stanisław Janecki

NA POCZĄTEK

6 **GWIAZDA PO PÓŁNOCY**
Krzysztof Feusette

8 **MIŁA CHWILA NARODOWEJ ZGODY**
Dorota Łosiewicz

10 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

12 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

14 **MAM PRZYJEMNOŚĆ…**
Jan Pietrzak

14 **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort

15 **SZALEŃSTWO HIPERMORALIZMU**
Bronisław Wildstein

16 **WALIZKA JUSTYNY ISKRZYCKIEJ**
Michał Korsun

18 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

19 **ZAPEWNIĆ DZIECIOM PRAWDZIWY DOM**
Marta Kaczyńska-Zielińska

20 **ZABURZONE PROPORCJE**
Samuel Pereira

TEMAT TYGODNIA

22 **POLSKA NA WIRAŻU**
Marek Pyza, Marcin Wikło

28 **ODWET TYRANA**
Jan Rokita

31 **OPERACJA „ŚLUZA”**
Piotr Gontarczyk

34 **KORWIN: POLSKI PROBLEM, ROSYJSKA FRAJDA**
Jakub Augustyn Maciejewski

KRAJ

36 **Z PIOTREM GLIŃSKIM**
rozmawia Jacek Karnowski

42 **FRONT JEDNOŚCI NARODU TUSKA**
Stanisław Janecki

44 **MITOLOGIA ANTYPISU**
Konrad Kołodziejski

47 **NAJLEPSZĄ OBRONĄ JEST ATAK?**
Dorota Łosiewicz

50 **KOBIETA NA RINGU**
Maja Narbutt

54 **PROFESURA Z BLIZNĄ**
Aleksander Nalaskowski

ŚWIAT

58 **POKOLENIE BUMERANG**
Aleksandra Rybińska

62 **PRZEMYTNICZY BIZNES**
Marcin Tulicki

HISTORIA

64 **BO W NIEJ BYŁ NIE TYLKO SEKS**
Stanisław Janecki

SIECI KULTURY

69 **ADELE, LADY GAGA, ED**
Jolanta Gajda-Zadworna

72 **ZAREMBA SŁUCHA RADIA**
Piotr Zaremba

74 **BURLESKA NA „TITANICU”**
Grzegorz Górny

76 **O ŚWIĘTYM BEZ DEWOCYJNOŚCI**
Marzena Nykiel

78 **TRAKTACIK O GNIDACH**
Robert Tekieli

79 **WOJNA CYWILIZACJI**
Robert Tekieli

80 **CZYTANIE JAKO SPORT EKSTREMALNY**
Wojciech Stanisławski

KUCHNIA

82 **MOJE SMAKI: MATEO ZIELONKA**
Jolanta Gajda-Zadworna

83 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

84 **NIEPRZYGOTOWANI NA NAPAŚĆ**
Hanna Karp

86 **PRZYWRACAJĄ POLSKOŚĆ NA KRESACH**
Alina Czerniakowska

87 **WETERANI**
Tomasz Łysiak

87 **ZDECHŁ PIES**
Lech Makowiecki

88 **JUŻ TYLKO WRZASK**
Wiktor Świetlik

88 **BALON Z AMBASADY**
Piotr Cywiński

89 **SŁUCHAJĄC I CZYTAJĄC PO POLSKU…**
Leszek Długosz

90 **ODPORNOŚĆ – FILAR BEZPIECZEŃSTWA**
Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

Reklama | 18/1121/F

eprasa.pl d4ace5c9e2



NARODOWY BANK POLSKI

DBAMY O WARTOŚĆ POLSKIEGO PIENIĄDZA

Bank Światowy

Niezwykle ważne jest bezprecedensowe wsparcie, jakiego władze udzieliły w celu ochrony dochodów, ochrony miejsc pracy. Należy docenić rolę zarówno Narodowego Banku Polskiego, jak i rządu.

Gallina Vincelette, dyrektor Banku Światowego na Unię Europejską, dla portalu „Obserwator Finansowy" – listopad 2021

Prezes NBP prof. Adam Glapiński laureatem głównej nagrody „Polski Kompas 2021"

Za bezkompromisowe, przemyślane i skuteczne decyzje podejmowane przez bank centralny w czasie kryzysu, za złoto, którego wciąż przybywa w skarbcu Narodowego Banku Polskiego, za niezależność i spokój godny władzy finansowej kraju.

„Polski Kompas" – październik 2021

Nagroda Gospodarcza Prezydenta RP

Zdecydowałem się ją przyznać, dlatego że ostatnie dwa lata – a zwłaszcza poprzedni rok, ale w dużej części i ten – był to czas bardzo trudny także dla mnie jako Prezydenta, który martwi się o bezpieczeństwo Rzeczypospolitej. Chodzi także o bezpieczeństwo gospodarcze, a jego niezwykle ważną częścią jest bezpieczeństwo systemu bankowego.

Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej Andrzej Duda – listopad 2021

Międzynarodowy Magazyn CFI.co

Uzasadnienie decyzji przyznania nagrody „Najlepiej zarządzany bank centralny w Europie w 2021 roku": Pod kierownictwem prof. Adama Glapińskiego NBP błyskawicznie zareagował na pojawienie się pandemii, co pozwoliło uchronić polską gospodarkę przed spełnieniem się najgorszego scenariusza głębokiej recesji i wysokiego bezrobocia. Narodowy Bank Polski, a przez to i Polska, jest liderem w zakresie walki z gospodarczymi skutkami pandemii.

Capital Finance International – kwiecień 2021

nbp.pl/opinie

eprasa.pl d4ace5c9e2

Gwiazda po północy



KRZYSZTOF FEUSETTE

Jestem celebrytką, mam lat 35, ale mentalnie 12. Od 40 lat występuję na scenie, a przynajmniej tak się czuję, chociaż na ogół gram na tzw. ściankach oraz w serialach, których mam już w dorobku 14. Interesuję się kinem i teatrem, w wolnych chwilach biegam lub protestuję. Niestety – bycie aktorką, a tym bardziej wziętą, i to tak, że nie powiem już nawet za co ani kiedy, bo jakby każdy miał teraz opowiadać w środowisku aktorskim, kto i kogo gdzie wziął, a kto kogo wziął za kogoś innego, to by nam nie tylko czasu nie wystarczyło, powtórzę: bycie aktorką oznacza pewne obowiązki. Ja przyszłam tutaj nie we własnej sprawie, ale tak jak zawsze, czyli w cudzej. Chociaż powiedzieć, że to nie moja sprawa, nie mogę, gdyż z zawodu jestem, jak wspomniałam, aktywistką. Lubię zawody na „a", a to „aktorka", a to „artystka", a to „aktywistka", a jeszcze mogłaby być „aptekarka", bo jak aktorka jest dobra, to nawet aptekarkę zagra.

Tyle tytułem występu, to znaczy wstępu. Do występu. Bo ja, z tego miejsca, chciałam, oczywiście, zaprotestować. Ale tak, żeby było głośno. Ciche protesty są jak bąki za kulisami, zanim się człowiek zorientuje, czyje to dzieło, już się rozejdzie po kościach. Mnie jest taka cisza niepotrzebna. Powiem więcej: ja mam ciszy po dziurki w uszach, mnie ta cisza dzwoni w małżowinach jak oceaniczne muszle. A cisza w zawodzie artystki aktywistki jest najstraszniejsza. Bo gdy ona dzwoni w uszach, to znaczy, że nie dzwoni telefon, a jak nie dzwoni telefon, to ciężko opłacić za niego rachunki. A aktor bez Fejsa jest jak człowiek bez twarzy. Dlatego dorabiam jako protestantka. Protestująca. Półzawodowo. Z transparentem albo bez. Mam megafon, zatyczki do uszu, tęczową opaskę. No i rozpoznawalność, a tylko ona pozwala być ambasadorem ulicznych akcji. Na samej manifie dobrze jest bluzgnąć, bo wiadomo, że „k...wy" nieźle się sprzedają, to znaczy mają wysoką klikalność. Wiem, co mówię, bo ja już się trochę obracam, za przeproszeniem, w tej branży. I swoje widzę. Widzę na przykład, że jako społeczeństwo, my jesteśmy, k... mać, niewychowani! Nie po europejsku! A to jest wojna! Jeżeli dziś musimy stawać w obronie kornika szkodnika, to znaczy przepraszam, kornika nieszkodnika, którego życie jest zagrożone... Chwileczkę, to nie jest ten protest! Kto podmienił karteczki?

...Po drobnych perturbacjach witam państwa serdecznie na premierze filmu „Bum, bum, siala-la", w którym miałam przyjemność, tak, tak, przyjemność... Nie, zaraz, to też nie to. Przepraszam bardzo, ale ja już w tylu protestach, manifestacjach i happeningach uczestniczyłam, że mi się to już czasami wszystko, no, wiecie co. Poniedziałek pod sądem, wtorek pod telewizją, środa pod trybunałem, czwartek pod pomnikiem, piątek na Krakowskim Przedmieściu, sobota pod Pałacem Kultury i niedziela pod kościołem, a gdzie blokowanie narodowców albo prolajferów?

Dajcie mi chwilkę, wejdę w internet i zaraz ustalimy, w jakiej sprawie jestem znowu na ulicy. Czy w obronie kornika drukarza, czy Puszczy Białowieskiej, którą kornik zżera? W sprzeciwie wobec hejtu w życiu publicznym czy z poparciem dla hasła „Wyp... alać"? Przeciw szpitalowi covidowemu na Stadionie Narodowym czy za szpitalem na Stadionie Narodowym? Z postulatem tolerancji czy walki z katolikami? W obronie Konstytucji RP czy w imię jej podporządkowania TSUE? Za wpuszczeniem nielegalnych imigrantów czy obroną polskich granic? Nie, to ostatnie odpada. No, chyba że byłaby to granica Unii Europejskiej.

Spamiętać tematykę protestów jest trudno nawet osobie artystyczno-aktorsko-aktywistycznej, teoretycznie szybko uczącej się nie swoich tekstów. Dlatego najlepiej maszerować zawsze i wszędzie, czyli wchodzić we wszystko. Do rozważenia pozostają proporcje. Można wejść po kostki, po pas, po szyję, po uszy, to już kwestia inwencji poszczególnego celebryty czy celebrytki. Czasem, zwłaszcza gdy pies z kulawą nogą nie lata za człowiekiem jak kot z pęcherzem, a na ulicy nie rozpoznają go już nawet paparazzi, trzeba zanurzyć się w temat bez reszty.

I właśnie o tym chciałabym dziś państwu opowiedzieć. Bo zaprosiłam was tu nie po to, żeby epatować sukcesem, ale by, w ramach samokrytyki, z jaką jeżdżę teraz po kraju, przestrzec was przed ciemną stroną, tak, tak, internetu. Moja rada, a uwierzcie mi, że tym razem wiem, o czym mówię, jest następująca: kiedy już was przyciśnie, ale to tak, że nie możecie wytrzymać bez podzielenia się ze światem własną opinią, gdy już macie w sobie tę decyzję, by przywalić komuś tak, że wypadnie z butów, bo tak dowalicie do pieca, że tornado w Chałupach to jest przy tym mały pikuś, bądźcie zwarci. I megaskoncentrowani. Część koleżanek i kolegów popełnia kardynalny błąd, powszechnie zwany katastrofą i zanim opublikuje swój zaangażowany komentarz, lubi sobie, być może na odwagę, coś tam, coś tam chlapnąć. Albo jeszcze gorzej. Pierwsza, druga, wpół do trzeciej i nagle (a co nagle, to po, kurde, diable), grzmocą te swoje przemyślenia za szybko, za wulgarnie, za głupio. Leci „k..." za „k...", „p..." za „p...", ludzie łapią się za głowy i jest, przynajmniej chwilowo, po karierze. Celebrytka musi zaczynać od nowa. Znowu jakieś zdjęcia na plaży, bankietowy dekolcik, kilka wywiadów o znakach zodiaku i ponownie może grać znaną i lubianą. No, chyba że w końcu, z tego permanentnego stresu, pomyli protesty. Wtedy telefon nie zadzwoni już nigdy.

9/1121/F

eprasa.pl d4ace5c9e2

Im się udało

czyli o korzyściach z grantów Komisji Europejskiej

Granty z Komisji Europejskiej cieszą się coraz większym zainteresowaniem polskich przedsiębiorców. Dlaczego warto po nie sięgać? Jak to zrobić skutecznie? Oto kilka inspirujących przykładów.

Programy Komisji Europejskiej są uzupełnieniem krajowej oferty Funduszy Europejskich. Dają one możliwość finansowania współpracy z innymi europejskimi podmiotami w następujących obszarach:

- infrastruktura, ochrona środowiska i klimatu (CEF, LIFE);
- konkurencyjność małych i średnich przedsiębiorstw (COSME);
- badania naukowe i innowacje (Horyzont 2020, EFIS);
- edukacja, studia, doświadczenie zawodowe (ERASMUS+, Europejski Korpus Solidarności);
- kultura, przemysł kreatywny i audiowizualny (Kreatywna Europa).

W ostatnich 6 latach z różnych programów Komisji Europejskiej skorzystało wiele polskich firm – również tych najmniejszych.

660 mln euro dla polskich organizacji z programu Horyzont 2020

372 mln euro otrzymały instytuty naukowe i badawcze oraz uczelnie

172 miliony euro otrzymały przedsiębiorstwa – głównie małe i średnie

Źródło: kpk.gov.pl; dane za ostatnie 6 lat

Z programów Komisji Europejskiej dziś **korzystać mogą firmy stawiające na innowacje, realizujące projekty środowiskowe, działające na rynku audiowizualnym, w obszarze kultury czy edukacji.** Możliwości jest naprawdę wiele. I są firmy, które za pozyskane pieniądze realizują już swoje biznesowe plany. Poznaj trzy z nich.

Z korzyścią dla środowiska i… każdego z nas

Przez dwa lata 300 rodzin w Gdyni testowało innowacyjne rozwiązania spółki Enspirion (Grupa Energa). Dzięki takiemu „żywemu laboratorium" (Living Lab) mogły zostać opracowane narzędzia, które pozwalają oszczędzać energię, chronić środowisko i… nasze portfele. **Projekt został sfinansowany z programu Life.** A jaki był rezultat testów? Uczestnicy eksperymentu **zaoszczędzili tyle energii, ile przeciętnie zużywa 50 rodzin w ciągu roku!**

Granty na wyzwania przyszłości

Są takie projekty, które już dziś odpowiadają na wyzwania przyszłości. Jednym z nich jest, opracowana i udoskonalana przez **Napiferyn Biotech**, unikalna na skalę światową technologia pozyskiwania jadalnego białka z rzepaku. **Projekt ten otrzymał dofinansowanie z programu Horyzont 2020.** Dlaczego? Bo z uwagi na dobro środowiska, powinniśmy ograniczać hodowlę zwierząt i spożycie mięsa. A białko zwierzęce starać się zastępować właśnie białkiem pochodzenia roślinnego. Pomysł Napiferyn Biotech to znaczący krok na tej drodze.

Jak mniejsze firmy mogą skorzystać z dużych pieniędzy?

Dzięki grantom na eurogranty z Programu Inteligentny Rozwój! Pieniądze te pomagają mikro, małym i średnim firmom sfinansować koszty związane z ubieganiem się o granty z programów Komisji Europejskiej.

Co m.in. można sfinansować?

- studium wykonalności (o ile jest wymagane),
- koszty związane z poszukiwaniem partnerów do projektu,
- przygotowanie wniosku,
- koszty prezentacji projektu przed komisją oceniającą projekt.

Ile można zyskać?

od 23 250 zł
do 64 000 zł
jeżeli studium wykonalności nie jest wymagane

od 239 310 zł
do 280 060 zł
jeżeli studium wykonalności jest wymagane

Wnioski można składać do 27 stycznia 2022 r., wyłącznie w wersji elektronicznej w Polskiej Agencji Rozwoju Przedsiębiorczości.
Na pewno warto. Potwierdzają to wszyscy, którzy dzięki dotacjom już realizują swoje biznesowe pomysły. ■

WYBRANE PROGRAMY KOMISJI EUROPEJSKIEJ

Nazwa Programu	Dla kogo?	Gdzie szukać informacji?
Horyzont 2020	M.in. dla innowacyjnych przedsiębiorstw rozwijających nowe produkty i usługi w drodze badań i prac badawczo-rozwojowych	https://www.kpk.gov.pl
Life	Dla rozwijających nowe rozwiązania, mające na celu walkę ze szkodliwymi zmianami klimatu oraz ochronę środowiska	https://www.gov.pl/web/nfosigw/program-life
Kreatywna Europa	Dla działających w i na rzecz branży audowizualnej, kultury i mediów	https://kreatywna-europa.eu/
Erasmus Plus	Dla działających na polu edukacji i kształcenia, w tym promowania kształcena przez całe życie (life long learning) i poszukujących nowych rozwiązań w tym zakresie	https://erasmusplus.org.pl

Kampania finansowana z Funduszu Spójności Unii Europejskiej i budżetu państwa

Fundusze Europejskie | Rzeczpospolita Polska | Ministerstwo Funduszy i Polityki Regionalnej | Unia Europejska Europejskie Fundusze Strukturalne i Inwestycyjne

eprasa.pl d4ace5c9e2

WIEŻA BAB

Miła chwila narodowej zgody

Sejmowa debata o sytuacji na polsko-białoruskiej granicy była wyjątkowa. Prawie nikt nikogo nie obraził, prawie nikt na nikogo nie krzyczał

Mimo kryzysu na granicy, fizycznego ataku na integralność terytorialną państwa nagle, ku zaskoczeniu wielu, okazało się, że polska elita polityczna potrafi przemówić wspólnym głosem. Może nie do końca, może nie całkiem, ale w polskim Sejmie wydarzyło się coś ważnego i warto, nawet jeśli nie potrwa to długo, ten fakt zauważyć i docenić.

Sejmowa debata dotycząca sytuacji na polsko-białoruskiej granicy była wyjątkowa. Prawie nikt nikogo nie obraził, prawie nikt na nikogo nie krzyczał, właściwie nie było znanej na co dzień szopki. Nie brakowało trudnych pytań i ważnych odpowiedzi. Jednak merytoryczna wymiana zdań po prostu mogła się podobać. Mogło się podobać umiarkowanie opozycji, ale także uważność, z jaką szef rządu potraktował wszystkich posłów, odpowiadając niemal każdemu z osobna na wszystkie pytania. Życzyłabym sobie, by politycy z sobą częściej rozmawiali, zamiast na siebie krzyczeć, żeby częściej wykładali swoje racje, zamiast robić spektakl, żeby częściej się słuchali i do siebie mówili.

Gdy cały świat zrozumiał, w co gra Mińsk pod rękę z Moskwą, gdy do Polski popłynęły sygnały wsparcia z wielu stron świata, także opozycja zmieniła swoją optykę i narrację. Co prawda zabawne było słuchanie, jak w programach publicystycznych niektórzy politycy opozycji dokonywali prawdziwej ekwilibrystyki, by wytłumaczyć swój sprzeciw wobec zapory na granicy czy inne wcześniejsze decyzje, jednak ta zmiana postrzegania, a przynajmniej narracji o zachodzących wydarzeniach była budująca. Lepiej późno niż wcale.



Wygląda na to, że opozycja padła ofiarą swojej totalności i totalnej krytyki rządu. Być może część opozycji zawróci z tej drogi, zresztą niektórzy już totalność porzucają, bo widzą, że to droga donikąd. Przez chwilę nawet Platforma Obywatelska próbowała. Rafał Trzaskowski po przegranych wyborach prezydenckich publicznie mówił, że opozycja potrzebuje programu, totalność się bowiem wyczerpała. Jednak później wrócił Donald Tusk i zmienił zdanie, uznając, że to się jednak opłaca. Być może wyborcy niechętni temu rządowi przyzwyczaili się do sączących się z mediów liberalnych ataków na Zjednoczoną Prawicę i sączącej się nienawiści. I być może bez codziennej dawki hejtu trudno byłoby im funkcjonować. Być może partie, które pozostają przy władzy, powinny częściej słuchać opozycji, być może powinno się złagodzić narrację wobec UE. Być może za kilka chwil wszystko znów będzie po staremu, ale dobrze, że choć na chwilę udało się wojenny topór zakopać. To miła odmiana.

W swojej naiwności nie sądzę, by to chwilowe pojednanie ponad podziałami potrwało długo. Chyba że słupki poparcia pokażą, że to się opłaci. Pamiętam zgodę narodową, która nastąpiła po katastrofie smoleńskiej i trwała raptem kilka dni. Pamiętam chwilowe pojednanie w początkowej fazie pandemii, gdy Sejm przyjmował ustawy covidowe. Wszystko mijało, budujące jest jednak to, że w chwilach najtrudniejszych udaje się przemówić wspólnym głosem. Historia zobowiązuje. Ojcowie naszej niepodległości też między sobą się różnili, ale połączył ich interes Polski, umieli rozmawiać ponad politycznymi podziałami. Oby ta krótka chwila porozumienia mogła trwać jak najdłużej. Bo Polska jest jedna. Nasza. Ukochana.

Dorota Łosiewicz

10/1121/F

NARODOWY BANK POLSKI

Departament Edukacji i Wydawnictw NBP edukuje:

Inflacja to wzrost ogólnego poziomu cen w gospodarce. Umiarkowany wzrost cen jest normalnym zjawiskiem w rozwijającej się gospodarce. Za optymalny poziom inflacji w Polsce przyjmuje się roczne tempo wzrostu cen między 1,5 – 3,5 proc. (2,5 proc. plus/minus 1 punkt procentowy).

Wzrost cen w gospodarce może mieć przyczyny:

- popytowe,
- podażowe (kosztowe).

Z punktu widzenia banku centralnego kluczowe jest rozróżnienie pomiędzy krajowymi i zewnętrznymi (potencjalnie globalnymi) źródłami zmian cen.

We wrześniu 2021 r. inflacja w Polsce wyniosła 5,9 proc. w ujęciu rocznym, zatem kształtowała się na podwyższonym poziomie. Oznacza to, że przeciętnie koszt towarów i usług konsumpcyjnych dla gospodarstw domowych wzrósł właśnie o 5,9 proc. w porównaniu do analogicznego okresu 2020 r.

Analizy dotyczące cen poszczególnych towarów i usług kupowanych przez polskich konsumentów wskazują, że **we wrześniu 2021 r. zmiany cen towarów i usług administrowanych oraz paliw (obejmujących około 21 proc. całego koszyka towarów i usług konsumenta) odpowiadały za niemal 50 proc. rocznego wzrostu cen konsumpcyjnych. Zatem wzrost inflacji w ostatnim czasie wynikał z czynników podażowych (kosztowych) i zewnętrznych, na które polityka pieniężna prowadzona przez Narodowy Bank Polski nie ma żadnego wpływu.**

Podwyższona inflacja jest obecnie zjawiskiem globalnym, występuje nie tylko w Polsce, ale we wszystkich krajach i jest to związane ze skutkami kryzysu pandemicznego. Zjawisko to ma charakter przejściowy. Inflacja będzie się obniżać wraz z wygasaniem czynników kosztowych, a **Narodowy Bank Polski nie dopuści do utrwalenia się w Polsce inflacji na podwyższonym poziomie**.



eprasa.pl d4ace5c9e2



Sygnalista nadaje

„Jeśli tak będzie wyglądał stosunek sił w polskich mediach – gdzie po jednej stronie mamy karną armię osłaniającą swoich liderów, a po drugiej stronie zblazowaną bohemę śmiertelnie znudzoną własną reprezentacją polityczną – wówczas »liberalna Polska« nie wygra żadnych wyborów. Nawet jeśli nie będą sfałszowane” – tak Cezary Michalski ocenia scenę medialną w Polsce. W jaki sposób ludzie, którzy na co dzień głoszą, że nadchodzi totalitaryzm, mogą być zblazowani, tego publicysta nie wyjaśnił.

Michalski rozwija myśl następująco: „Kaczyńskiego osłaniają bowiem szczelnym murem media Kurskiego, Kani, Sakiewicza i braci Karnowskich. Stworzone wyłącznie po to, aby likwidować różnicę pomiędzy rzeczywistością i fikcją. Naprzeciw nich mamy media niepisowskie, od dawna »znudzone« Platformą, a Tuskiem też »nudzące się« szybko”. Cóż, jeśli chodzi o portal wPolityce.pl i tygodnik „Sieci”, to media te powstały po to, aby zlikwidować lub osłabić platformerski monopol medialny, niemal pełny za czasów Tuska. Warto być precyzyjnym.

Michalski odjeżdża, ale i tak wydaje się osobą stabilną na tle Jacka Żakowskiego, który twierdzi, że decyzje polityczne Jarosława Kaczyńskiego – w sprawie pandemii, LGBT i aborcji – zabijają ludzi. „Ile jest tych ofiar? Dużo więcej niż znanych ofiar rządów Jaruzelskiego. Rząd wielkości jest bliższy bilansowi Bieruta. Ale to była wojna domowa”. Konkrety? Publicysta wylicza, że tylko w tym roku ubyło nas 200 tys., a „przynajmniej połowa z tej liczby obciąża Kaczyńskiego”. W sumie „100 tys. to by był początek rachunku”. Liberałowie, którzy przegrywają, okazują się troglodytami z siekierami.

Jeszcze jeden fragment z Żakowskiego, dobrze pokazujący poziom szaleństwa: „Nikt w dzisiejszej Polsce do władzy nie strzela, więc ona nie musi zabijać, by przeżyć. Zabija, bo chce. Morduje dla posad, dla kasy, by paść swe narcystyczne ego. W historii Polski tylko najeźdźcy tak beztrosko zabijali ludzi”. Tak sobie piszą, depcząc pamięć ofiar Bieruta i Jaruzelskiego, a potem idą do telewizji, by zgodnie i gromko potępiać „populizm”. Cóż, frustracja jak szambo, wylewa w najmniej spodziewanym miejscu.

Ulało się też aktorce ***Barbarze Kurdej-Szatan***. Tak oto odniosła się do sytuacji na granicy: „K...!!!!!!!!!! K...!!!!!!!!!!!!!!!! Co tam się dzieje!!!!!!!! To jest k... »straż graniczna«????? »Straż«?????????? To są maszyny bez serca bez mózgu bez NICZEGO!!!! Maszyny ślepo wykonujące rozkazy!!!!! K...!!!!!! Jak tak można!!!!!!! Boli mnie serce boli mnie cała klatka piersiowa trzęsę się i ryczę!!!!!!! Mordercy!!!!!”. I dalej: „Chcecie takiego rządu wciąż????? Który zezwala na takie rzeczy wręcz rozkazuje tak się zachowywać??????? K...!!!!!!!!”. Wulgaryzmy ocenzurowaliśmy, poza tym pisownia oryginalna. To chyba jest po prostu wynarodowiony lumpenproletariat.

Pani Kurdej-Szatan źle skalkulowała. Nastroje są dziś jednak inne. Straciła pracę w TVP, może stracić zajęcie w innych telewizjach oraz kon-

Watykański dyplomata wysokiej rangi abp Paul R. Gallagher stanął w Moskwie obok szefa rosyjskiego MSZ Ławrowa i faktycznie skrytykował Polskę i Litwę: „Stolica Apostolska zachęca władze w całej Europie do przyjęcia odpowiedzialności za migrantów i uchodźców”. Dodał, że wie, iż Kościół w Polsce ma krytyczny stosunek do działań władz państwowych i próbuje nakłonić rząd do bardziej humanitarnego podejścia i rezygnacji z tzw. push-backów. Cóż, z pewnym opóźnieniem, ale jednak poznajemy smak „polityki wschodniej Watykanu”. Spasiba!

eprasa.pl d4ace5c9e2

trakty reklamowe. Ostatecznie przeprosiła: „Chciałabym podkreślić z całą mocą, że szanuję ciężką pracę wszystkich służb mundurowych i doceniam ich wysiłki, żeby zapewnić nam bezpieczeństwo. Przepraszam przedstawicieli Straży Granicznej, których mogły urazić moje słowa wypowiedziane zbyt szybko i w emocjach". Za mało, za późno. Są zapisy w księgach narodowej hańby, których nic już nie zatrze.



Zmianę w nastrojach, wywołaną brutalnym szturmem na granicę, zauważył też ***Donald Tusk***, który wystosował list do europejskich przywódców. Wzywa w nim, by „niezależnie od poglądów na problem migracji i oceny wewnętrznej sytuacji politycznej w Polsce okazali pełną solidarność z Polską i Litwą w obliczu rosnącego kryzysu na wschodniej granicy Unii Europejskiej, który jest cynicznie prowokowany przez Aleksandra Łukaszenkę". Powstaje pytanie, dlaczego Tusk Europejczyk nie napisał takiego listu do Tuska lidera PO już na początku kryzysu? Może wówczas nie byłoby wrażenia, że gdzie mógł, to podstawiał nogę państwu polskiemu?



Zagadkę szybko wyjaśnił dziennikarz Kamil Dziubka, informując: „Donald Tusk był w poniedziałek w Niemczech, gdzie spotkał się z »samą górą« – dowiedział się Onet. Teraz jest w Brukseli i prowadzi rozmowy na temat kryzysu polsko-białoruskiego. Z tego powodu nie weźmie jutro udziału w obchodach Święta Niepodległości". Czyli Tusk napisał list z prośbą o wsparcie wówczas, gdy to wsparcie już się pojawiło (wizyta Charles'a Michela w Warszawie) i gdy „sama góra" mu zezwoliła. To wszystko jest prostsze, niż sądziliśmy.



Franciszek Sterczewski, jeden z posłów Koalicji Obywatelskiej, z Tuskiem najwyraźniej się nie zgadza. „Milion nie jest dla nas problemem, lecz korzyścią w obliczu kryzysu demograficznego, który jest wyzwaniem zarówno dla Polski, jak i dla Europy" – oświadczył, dodając: „Rząd buduje mur, zamiast wydać pieniądze na poprawę warunków ich [strażników?] pracy, na zatrudnienie ludzi, którzy mogą udzielić pomocy, zgodnie z prawem rozpatrzyć wnioski o azyl. Nie może być zgody na takie przepalanie pieniędzy". Niektórzy posłowie opozycji przypominają postacie z kreskówek. Takich dla kilkuletnich maluchów.



Głos w sprawie kryzysu na granicy zabrała także tzw. Konferencja Ambasadorów RP, założona przez byłych dyplomatów (m.in. Ryszard Schnepf, Jan Truszczyński, Andrzej Krawczyk). A więc przez postaci w przeszłości bardzo znaczące, co najmniej współtworzące polską politykę zagraniczną. Dziś twierdzą oni, że „sytuacja na granicy z Białorusią staje się dla Polski haniebna i zaczyna spełniać znamiona zbrodni przeciwko ludzkości". Twierdzą także, że stawką jest przyjęcie „najwyżej kilkunastu tysięcy osób", z którą to liczbą Polska poradziłaby sobie bez większego problemu. Koledzy dyplomaci z innych państw muszą mieć niezły ubaw, obserwując tak spektakularny upadek intelektualny i moralny.

Europosłanka ***Róża Thun*** dołączyła do Polski 2050 Szymona Hołowni. Wcześniej opowiedziała, jak ciężki jest jej los. „Ja się chowam pod stół, jak słyszę wystąpienia po polsku w Parlamencie Europejskim. Państwo mogą sobie wyobrazić, jak ja się czuję. Muszę robić jakąś smutną minę chyba, bo zdarza mi się, że koledzy przychodzą do mnie, klepią mnie po ramieniu i mówią: »Nie martw się, my wiemy, że w Polsce nie wszyscy są tacy«" – mówiła. Cóż, może da się zapomnieć polską mowę? Można też udawać, że się nic nie rozumie. W tym wypadku będzie to wyglądało bardzo autentycznie.

Goście programu „Forum" w TVP dyskutowali na temat ustawy o sędziach pokoju. Poseł KO Dariusz Joński uważa, że sprawa może mieć tło polityczne. „Wartość szkody ma być do 10 tys. zł, zgadzam się, choć część tych spraw i wykroczeń ma być karnych. To może być jakiś bat na opozycję uliczną, która między innymi wygrywa dzisiaj w sądach". Prowadzący rozmowę zareagował: „Jak to opozycja uliczna wygrywa w sądach? Pan coś sugeruje? [...] Ja byłem przekonany, że wygrywają ci, po stronie których jest racja". „Są tak absurdalne mandaty nakładane, że opozycja uliczna faktycznie wygrywa sądach" – odpowiedział poseł. Ma rację, sądy chronią opozycyjne chuligaństwo. Rzecz jasna w imię demokracji i prawa.

Anna Lewandowska, żona Roberta, kapitana piłkarskiej reprezentacji Polski: „Jestem osobą wierzącą, moja mama nakręciła film o Stanisławie Leszczyńskiej, której dr Mengele kazał w Auschwitz zabijać każde nowo narodzone dziecko. A ona w obozie była aniołem dla matek, odebrała 3 tys. porodów. To jest przecież nasza rodzina. Ciocia mojej mamy. Dlatego sama nie zdecydowałabym się na aborcję. Ale szanuję to, że ktoś może mieć inne zdanie". Z aborcji nigdy nie wynika nic dobrego. Może dlatego lewica chce przez ten straszny proceder przepuścić możliwie wiele kobiet?

Fot. Andrzej Skwarczyński x2, Andrzej Wiktor, Mateusz Żelnik

eprasa.pl d4ace5c9e2

Skradzione pamiętniki



USA

Dwa tygodnie przed listopadowymi wyborami prezydenckimi w 2020 r. w internecie zostały opublikowane domniemane pamiętniki 40-letniej dzisiaj córki prezydenta USA Ashley Biden (na zdj.), w których miała ona przedstawiać w złym świetle swojego ojca, pisząc m.in. o manipulacjach emocjonalnych z jego strony oraz o „nieodpowiednich prysznicach" branych z nim w dzieciństwie. Ashley Biden pisała też jakoby o nadużywaniu narkotyków, o swoich romansach i o strachu całej rodziny przed skandalem, który mógł wywołać jej przyrodni brat Hunter.

Skany odręcznych zapisków pojawiły się na niszowych prawicowych portalach równolegle z uderzeniem Donalda Trumpa w niejasne interesy Huntera Bidena, które prezydencki syn miał robić na Ukrainie w czasie, gdy jego ojciec był wiceprezydentem u boku Baracka Obamy. Jednak największe konserwatywne media, na czele z tabloidem „New York Post", zignorowały publikację pamiętników Ashley.

Teraz sprawa domniemanych pamiętników powraca na światło dzienne. Agenci FBI przeszukali bowiem pomieszczenia należące do obecnych i byłych współpracowników konserwatywnego konglomeratu medialnego Project Veritas. Są oni podejrzani o nielegalne nabycie prywatnych zapisków Ashley. „The New York Times" podaje, że Departament Sprawiedliwości wszczął śledztwo w sprawie włamania i kradzieży osobistych przedmiotów Ashley Biden w październiku 2020 r., a więc jeszcze za prezydentury Donalda Trumpa.

Prezes Project Veritas James O'Keefe zapewnia, że nie ma nic wspólnego z opublikowaniem materiałów, choć „pewni ludzie" mieli mu oferować odkupienie pamiętników. „The New York Times" twierdzi natomiast, że Flyover Media, wydawca portalu, na którym pojawiły się strony z pamiętników, ma taki sam adres jak firma byłego brytyjskiego szpiega Richarda Seddona – do niedawna bliskiego współpracownika Project Veritas i jej prezesa. O'Keefe przekonuje jednak, że odmówił publikacji pamiętników ze względów etycznych oraz dlatego, że nie był pewien ich autentyczności. Prezes utrzymuje ponadto, że oddał zapiski organom ścigania z zamiarem przekazania ich prawnikom córki Bidena. Ci mieli jednak odmówić przyznania, że są to rzeczywiście pamiętniki ich klientki. O'Keefe uważa więc, że przeszukanie nieruchomości osób związanych z jego firmą ma wyłącznie wymiar polityczny i jest zemstą prezydenta Bidena za publikowanie nieprzychylnych materiałów na jego temat.

Łukasz Adamski

Fot. Featureflash Photo Agency/Shutterstock.com

Amerykanie tracą sojusznika

Indie



Fot. arindambanerjee/Shutterstock.com

Chaotyczne wycofanie wojsk amerykańskich z Kabulu odebrane zostało powszechnie jako klęska polityczna USA, a zwłaszcza Joego Bidena. Blitzkrieg talibów miał jednak jeszcze jednego wielkiego przegranego, o którym zazwyczaj mało się mówi. To Indie, które były jednym z najbardziej lojalnych współpracowników Waszyngtonu w Afganistanie i mocno wspierały obalony rząd w Kabulu. Biały Dom zniszczył jednak swój najważniejszy sojusz w tamtym regionie świata.

Władze w New Delhi mają żal do Bidena, iż nie poinformował ich wcześniej o planach nagłego porzucenia Afganistanu. Jak twierdzi Cleo Pascal z think tanku Chatham House, Amerykanie, wycofując się w popłochu z Kabulu, pozostawili talibom nie tylko listę swoich agentów w tym kraju, lecz także spis tych, którzy współpracowali z Indiami. Poza tym w ręce zdobywców wpadły nieprzebrane arsenały broni, która – jak się obawiają Hindusi – może być wykorzystana przeciwko nim.

To, co stało się w Afganistanie, jest bowiem triumfem największego wroga New Delhi w regionie, czyli Pakistanu. Talibowie, wychowankowie pakistańskich medres, od początku swojego istnienia cieszą się wsparciem tamtejszego wywiadu ISI. Islamabad od dawna wspomaga też separatystów w Kaszmirze, dążących do oderwania tych ziem od Indii. Terroryści, którzy w 2008 r. dokonali krwawych zamachów w Bombaju, pochodzili właśnie z Pakistanu.

Wydarzenia w Kabulu wzmocniły też innego rywala New Delhi, czyli Chiny (w zeszłym roku w przygranicznym regionie Indii – Ladakhu doszło nawet do incydentów zbrojnych między żołnierzami obu krajów, w wyniku których zginęło 20 Hindusów). Jak mówi wspomniana Cleo Pascal: „Na skutek decyzji podjętych w Waszyngtonie Indie stały się znacznie mniej bezpiecznym krajem niż kilka miesięcy temu".

Po kompromitacji w Kabulu Joe Biden, by przywrócić nadszarpniętą wiarygodność USA jako sojusznika, stworzył nowy antychiński alians AUKUS, do którego zaprosił Wielką Brytanię i Australię. Pominięcie Indii potraktowano w New Delhi jak kolejny policzek.

Grzegorz Górny

eprasa.pl d4ace5c9e2

Bośnia i Hercegowina

Bałkański kryzys

Bośni i Hercegowinie grozi dezintegracja – taki wniosek płynie z podsumowania raportu Wysokiego Przedstawiciela dla Bośni i Hercegowiny Christiana Schmidta, który niedawno przedstawił ten dokument Radzie Bezpieczeństwa ONZ. W następstwie raportu Rada podjęła decyzję o przedłużeniu mandatu sił pokojowych Unii Europejskiej EUFOR. Według Schmidta największym zagrożeniem dla pokoju są działania przywódców Republiki Serbskiej, która wchodzi w skład Bośni.

Lider bośniackich Serbów Milorad Dodik zagroził bowiem wycofaniem swoich przedstawicieli z władz centralnych w Sarajewie oraz zapowiedział utworzenie własnej armii. Dodik jest niezadowolony ze sposobu funkcjonowania państwa bośniackiego i mówi wprost, że ma go już dość. Serbowie przekonują, że niekoniecznie oznacza to koniec Bośni i Hercegowiny, bo chodzi im jedynie o inny model jej funkcjonowania.

Jak wiemy, w latach 90. doszło już do krwawego konfliktu między narodami zamieszkującymi Bośnię i Hercegowinę – Bośniakami, Chorwatami i Serbami. Teraz polityka Serbów bośniackich może – zdaniem Schmidta – doprowadzić do rozpadu państwa i wybuchu kolejnej wojny.

Porozumienie z Dayton, które zakończyło poprzednią wojnę w 1995 r., nie może być dłużej podstawą funkcjonowania federacyjnego państwa. Bośnia i Hercegowina znajduje się w kryzysie, gospodarka jest słaba, a korupcja jest tu powszechnym zjawiskiem. Żaden z trzech zamieszkujących ją narodów nie jest zadowolony z obecnej sytuacji, dlatego szuka się nowych rozwiązań. Jedną z możliwości są reformy ustrojowe, które całkowicie zniosłyby instytucję narodów konstytucyjnych. Jest to rozwiązanie forsowane przez stronę bośniacką. Przeciwko temu są Chorwaci i Serbowie, którzy uważają, że Bośnia i Hercegowina nadal musi się opierać na zasadzie etniczności. Inne rozwiązania, jak twierdzą przedstawiciele Serbów, doprowadzą do dominacji Bośniaków i stworzenia państwa unitarnego.

To jest – jak się zdaje – główną przyczyną obecnych napięć, ale dalszy rozwój sytuacji zależy już od polityki innych państw. Problem polega na tym, że ani Unia Europejska, ani Stany Zjednoczone nie mają jasnej wizji, jak powinna wyglądać przyszłość Bośni i Hercegowiny. Sytuację tę sprytnie wykorzystuje Rosja, a także kraje muzułmańskie (przede wszystkim Turcja), które w ostatnich latach wzmocniły tu swoje wpływy i rozgrywają własne interesy. Nie wróży to dobrze stabilizacji w tej części Bałkanów.

Goran Andrijanić



Etiopia

Powtórka z Rwandy?

Rok po tym jak rząd w Addis Abebie rozpoczął ofensywę wobec zbuntowanej prowincji Tigray, wojna domowa w Etiopii wchodzi w decydującą fazę, a drugi pod względem liczby ludności kraj Afryki znalazł się na krawędzi. Premierowi Abiy Ahmedowi, laureatowi Pokojowej Nagrody Nobla, nie tylko nie udało się złamać oporu Tigrajczyków, ale ci przeszli do kontrnatarcia, odbijając zarówno swoją prowincję, jak i rozpoczynając marsz na stolicę. Zainicjowali też połączenie dziewięciu ugrupowań opozycyjnych we wspólny wojskowo-polityczny Front Obrony Federacji, podkreślając, że jego powstanie wywołały centralistyczne zapędy premiera.

Siły powstańców, według ostatnich informacji, zajęły kilka ważnych miast o strategicznym położeniu i są już w odległości 100 km od stolicy kraju. Jaal Marroo, przedstawiciel Armii Wyzwolenia Oromo, walczącej z rządem na południu kraju i wchodzącej w skład Frontu Obrony Federacji, powiedział AFP, że „jest pewny, iż to już niedługo się skończy". Powstańcy przygotowują się do koncentrycznego ataku na Addis Abebę i jak dodał, „rząd jedynie stara się zyskać trochę czasu, inicjując wojnę domową i wzywając naród do broni".

W odpowiedzi na ofensywę rząd wprowadził sześciomiesięczny stan wyjątkowy, wezwał mieszkańców Addis Abeby do obrony stolicy i rozpętał bezprecedensową kampanię medialną wymierzoną w przedstawicieli etiopskich mniejszości, takich jak Tigrajczycy czy Oromo, których formacje stanowią główną siłę armii powstańczej. W przemówieniu telewizyjnym Abiy Ahmed porównał ich do „szczurów", „chwastów" i „raka" oraz wezwał swoich zwolenników do „rozprawienia się z nimi". Obserwatorzy obawiają się, że możemy mieć do czynienia z powtórką scenariusza z Rwandy, tym bardziej że już obecnie etiopskie służby specjalne rozpoczęły przeszukiwanie znajdujących się na obrzeżach stolicy osiedli zamieszkiwanych przez mniejszości. Premier wezwał też swych zwolenników, „aby użyli każdego rodzaju broni" i zatrzymali marsz na stolicę przeciwników rządu, dodając przy tym, że „umrzeć za Etiopię jest obowiązkiem każdego z nas".

Amerykanie zarządzili już częściowo ewakuację swojego personelu dyplomatycznego ze stolicy Etiopii, a państwa Unii Afrykańskiej starają się gorączkowo zorganizować misję rozjemczą, która miałaby zatrzymać ześlizgiwanie się kraju w wojnę domową. Tego rodzaju perspektywa grozi destabilizacją całego regionu i wywołaniem ogromnej fali migracyjnej, zważywszy, że w Etiopii żyje dziś niemal 120 mln ludzi.

Marek Budzisz

Fot. urosr/Shutterstock.com

eprasa.pl d4ace5c9e2

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Mam przyjemność...



Jan Pietrzak

Poinformować Szanownych Czytelników, że po rocznej przerwie spowodowanej covidem Towarzystwo Patriotyczne w obecności wicepremiera Piotra Glińskiego wręczyło nagrody „Żeby Polska była Polską". Otrzymali je, w kolejności alfabetycznej: aktorka Ewa Dałkowska, poeta Leszek Długosz, polityk dr Jerzy Kropiwnicki, filolog dr Józef M. Ruszar, ks. infułat dr Ireneusz Skubiś. Osoby z imponującym dorobkiem, z życiorysami wypełnionymi aktywnością, wrażliwe społecznie i patriotycznie. Wystąpienia laudatorów i laureatów były fascynującą opowieścią o czasie historycznych przemian. Tym rocznikom przypadła bowiem rola przeprowadzenia społeczeństwa z PRL do Polski.

Jak powszechnie wiadomo, nie było to łatwe przedsięwzięcie. Projektów urządzenia nam państwa (przez inne państwa) było wiele. Dróg fałszywych jeszcze więcej i w gruncie rzeczy dopiero od kilku lat mamy klarowną, pozytywną wizję, nazwaną polskim ładem.

Piątka laureatów nie musi nikogo pytać, co to znaczy, że Polska ma być Polską, o co mnie pytają często młodzi reporterzy. Oni to po prostu wiedzą. Kiedy słuchało się opowieści o ich losach, rozterkach, osiągnięciach, ryzyku i sukcesach, jak w czarodziejskim kalejdoskopie przesuwały się emocje i sprawy, którymi żyło całe społeczeństwo. Spotkanie w jednym miejscu i czasie tej akurat piątki osobowości możliwe jest jedynie w Towarzystwie Patriotycznym.

W nadesłanym liście premier Morawiecki napisał m.in. „Uhonorowani tegoroczną nagrodą to ludzie całym sercem zaangażowani w budowaniu Polski prawdziwie wolnej i solidarnej. Ludzie, którzy swoimi talentami i swoją aktywnością służyli i służą dobru wspólnemu. Ci, którzy wiedzą, że nie możemy ustawać w ambitnych zamiarach wobec przyszłości naszej Ojczyzny. Jestem przekonany, że następne lata są dla nas i dla Polski fundamentalnie ważne. Że wymagają od nas ogromnego wysiłku po to, abyśmy osiągnęli taki sukces, jaki wszyscy mamy w naszych sercach, umysłach, najśmielszych pragnieniach. Dlatego życzę laureatom entuzjazmu, wytrwałości i niesłabnącej energii w pełnieniu zadań, jakie stawia przed Państwem działalność, jakiej się poświęciliście".

Brawo Laureaci! Brawo Mateusz, syn Kornela!



Dominik Zdort

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Czarne ludki

U wielbiałem w dzieciństwie filmy o szlachetnych kowbojach walczących z bandziorami na Dzikim Zachodzie. Westerny z lat 50., 60., 70. były piękną lekcją etyki dla młodych widzów. Dobrzy ludzie walczyli ze złymi i zwyciężali. Nikt nie dzielił włosa na czworo, nie tłumaczył, że przestępca miał trudne dzieciństwo, był ofiarą pedofila, więc można jego okrucieństwo usprawiedliwiać.

Ostatnio skusiłem na obejrzenie świeżutkiego westernu – premierę miał przed miesiącem. Film jest oparty na autentycznych wydarzeniach, opowiada historię Nata Love'a, murzyńskiego gangstera i jego bandy, która działała w USA u schyłku XIX w. Postać autentyczna, parę innych również, ale potem...

Zwracano przed rokiem uwagę, że w serialu „Bridgertonowie", którego akcja dzieje się w XIX-wiecznej Anglii, członkami arystokratycznego rodu są czarnoskórzy, co jest całkowicie ahistoryczne. No ale są wśród nich także – a nawet chyba w większości – biali.

W westernie, który parę dni temu obejrzałem, wypatrzenie białego jest trudne. Walczą z sobą niemal wyłącznie Murzyni. Strzelają do siebie bandy czarnoskórych, czarni rewolwerowcy, czarni szeryfowie, czarni gangsterzy i czarne gangsterki (czy może gangsterczynie). W pięknych toaletach, sukniach i z parasolkami przechadzają się po miasteczkach Murzynki. Wśród głównych bohaterów jest tylko jeden nie-Afroamerykanin – ale i ten pochodzi z Meksyku.

Tylko w dwóch scenach postaci rasy kaukaskiej na ekranie jest nieco więcej. Raz jest to oddział antypatycznych żołnierzy, który zostaje rozstrzelany przez murzyński gang. Drugi raz to wyłącznie biali klienci banku obrobionego przez kolorowych.

Każdy dorosły wie, jeśli nie z historii, to z klasycznych westernów, że taka wizja to wierutne kłamstwo. W całych USA pod koniec XIX w. nie było nawet 10 proc. czarnych, a jeszcze mniej na Dzikim Zachodzie. Byli gangsterami, ujeżdżali konie i przepędzali bydło. Ale na pewno biali byli w przeważającej większości.

Dorośli to wiedzą, mogą nawet jakoś usprawiedliwić artystyczną wizję reżysera – oczywiście Murzyna. Gorzej z młodymi, którzy mogą uznać, że to czarni cywilizowali Dziki Zachód.

Następnym krokiem powinno być zdobycie przez Murzynów kosmosu. Nie, nie myślę o czarnoskórych astronautach, oni już są. Ale obok nich czasem pojawiają się „zielone ludki". Czas już zmienić im kolor skóry.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

eprasa.pl d4ace5c9e2

BRONISŁAW WILDSTEIN

Szaleństwo hipermoralizmu



„Nie ma nielegalnych ludzi!", „nie wolno potrzebujących pozostawiać bez pomocy!", „obojętność zabija!" – oto garść sloganów, które służą... właściwie czemu? Czy mają otworzyć polską granicę dla tych, których przygnały na nią poszukiwanie lepszego życia i intryga białoruskiego dyktatora? To tylko 30 osób – mówiono nam na początku. – To ledwie 30 tysięcy – słyszeliśmy później. Teraz dowiadujemy się, że w Polsce zmieści się i milion imigrantów. A zresztą: nie ma nadmiarowych ludzi. Bo przecież na milionie się nie skończy.

Jeśli okaże się, że polska granica jest nieszczelna, a Białoruś chętnie pomaga w przejściu do Europy Zachodniej, czeka nas armagedon. Miliony na Bliskim Wschodzie i w Afryce marzą o przedostaniu się do Europy, gdzie są pokój i dobrobyt. Przejście przez Morze Śródziemne jest ryzykowne. A Białoruś oferuje pomoc w drodze na Zachód. Nowocześni humanitaryści obok braku zdrowego rozsądku zawsze cechowali się brakiem wyobraźni i zajadłością wobec swoich przeciwników.

Kiedy Matteo Salvini, jako szef MSW, zablokował dla niechcianych przybyszy włoskie porty, liczba ofiar morza radykalnie spadła. Jednak dzisiaj to on ciągany jest po sądach przez włoskich przedstawicieli kasty za pozbawienie wolności nielegalnych imigrantów, a nawet śmierć, którą niektórzy z nich ponieśli, a nie przedstawiciele „humanitarnych" organizacji swoimi działaniami zachęcający przemytników ludzi do rozszerzenia swojego biznesu, a więc kolejnych tragedii. Teraz Polska stać się może ziemią obiecaną dla dziesiątków milionów tych, którzy dość już mają fatalnych warunków w swoich krajach. Wprawdzie ich celem jest Europa Zachodnia, ale łatwo sobie wyobrazić zamknięcie granicy polsko-niemieckiej przez naszego zachodniego sąsiada, który choćby w 2015 r. zademonstrował, że nie liczy się z traktatami, a sam przemarsz wielkiej rzeszy imigrantów zredukowałby Polskę do pozycji kraju upadłego. Ci sami, którzy teraz domagają się wpuszczenia imigrantów do kraju, oskarżyliby rząd o brak kontroli nad tym zjawiskiem.

Główną przyczyną hipermoralistycznej kampanii, którą serwują nam celebryci i ośrodki III RP, jest nienawiść do PiS i rachuby, że kryzys graniczny pozwoli odsunąć je od władzy. Negatywne namiętności potrzebują etycznego uzasadnienia, które dowartościuje ich propagatorów.

We wszystkich cytowanych na wstępie sloganach jest ziarno prawdy i dlatego są tak niebezpieczne. Próba uczynienia z nich normy politycznej prowadzi bowiem do katastrofy. Praktykowanie absolutyzmu moralnego na indywidualny użytek oznacza świętość i godne bywa najwyższej pochwały. Czynienie z niej społecznego programu jest świadectwem umysłowego ograniczenia i – zwykle wykorzystywane przez cynicznych graczy – prowadzi do odwrotnych do deklarowanych efektów. Przykładem jest pacyfizm opisany m.in. przez Władimira Bukowskiego w pracy „Pacyfiści kontra pokój". Wezwanie do samorozbrojenia nie ma szans w agresywnych despocjach i jest wykorzystywane przez nie dla osłabienia przeciwników, których pragną one zaatakować. Ale hipermoraliści tacy jak pacyfiści nie przejmują się konsekwencjami swoich działań.

Hipermoralność służy zakwestionowaniu moralności tradycyjnej, dlatego jej wyznawcy potrafią być skrajnymi nihilistami. Ponieważ w ludzkim świecie nieodmiennie pojawiać się będą zło i cierpienie, każdy społeczny porządek może zostać oskarżony o jego tolerowanie i odrzucony na rzecz przyszłej doskonałości. Postępują tak ideologowie rewolucji, którzy przekreślają „mieszczańską moralność", aby w imię realizacji „królestwa człowieka" potęgować zło do nieznanych wcześniej wymiarów. Rzecznicy dominującej dziś ideologii emancypacji, do których należy establishment III RP, posługują się hipermoralnością, aby uderzyć w tradycyjną cywilizację Europy. Kwestionują zasadniczy dla niej porządek miłosierdzia, który zakłada, że podstawowe obowiązki mamy wobec najbliższych sobie wspólnot, choćby dlatego, że najlepiej to potrafimy i najtrafniej rozpoznajemy ich dobro. Hipermoraliści odrzucają tę hierarchię, a wraz z nią tradycyjny porządek rzeczy, a przekonanie, że reprezentują etyczny postęp, uzasadniać ma ich roszczenia do władzy i stanowi fundament liberalnej demokracji.

Hipermoralność może być dobrym alibi dla własnej etycznej bierności. Ci, którzy domagają się, aby państwo zaopiekowało się nielegalnymi imigrantami, sami czują się zwolnieni z tego obowiązku. Potrafią dostarczyć im kanapki, ale nie otwierają dla nich swoich luksusowych mieszkań, nie biorą ich na utrzymanie. Nie wierzą, aby ich polityczna strategia mogła zagrozić strzeżonym osiedlom, które zamieszkują. Nie rozumieją, że jej sukces byłby katastrofą również dla nich.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl d4ace5c9e2



Walizka Justyny Iskrzyckiej

kajakarki, brązowej medalistki olimpijskiej z Tokio 2020

Z racji tego, że jestem kajakarką, a zimą nie mamy w Polsce sprzyjających warunków do trenowania, zazwyczaj w tym okresie jedziemy do Portugalii lub do Włoch. Około 280 dni w roku jesteśmy na wyjazdach, nie tylko na zgrupowaniach, lecz również na zawodach, przede wszystkim na terenie Europy. Teraz wybieramy się do Milfontes, małej portugalskiej miejscowości leżącej nad rzeką tuż przy oceanie. Późną wiosną jeździmy do Montebelo na jezioro, żeby pływać już na stojącej wodzie. Zbiornik jest tak duży, że można płynąć prosto kilkanaście kilometrów. Bliżej sezonu jeździmy w miejsce, gdzie jest tor kajakowy. Tam są już wymierzone odcinki, a także bojki w odpowiednich kolorach i bloki startowe. Wypoczynkowo wybieram Zakopane, bo lubię chodzić po górach. Zdarza mi się też wyskoczyć nad polskie morze.



KAJAKOWE WIOSŁO

Z włókna węglowego. W celu łatwiejszego transportu można je rozłożyć na dwie części. Waży 200 g. Gdyby było cięższe, mogłyby nam wysiąść barki.



PODNÓŻEK

Czasami biorę jako zapasowy. Dzięki niemu podczas pływania zapieramy się stopami, co pozwala nam się utrzymać w kajaku. Może to wielu zaskoczyć, ale główna praca kajakarzy odbywa się na nogach.

NARZĘDZIA

Czasami trzeba kluczem coś do podnóżka przykręcić, poprawić ster.





RELAKS

Tak wygląda mój wolny czas: książeczki, krzyżówki, wykreślanki i kostka Rubika.

PODUSZKA, KOCYK

Też obowiązkowo ze mną jeżdżą. Te elementy powodują, że wszędzie się czuję jak w domu, a w samolocie jest wygodniej.



eprasa.pl d4ace5c9e2





MEDAL

Swój wkład w zdobyciu medalu w Tokio miał program PFNTeam100, którego beneficjentką jestem od 3 lat.



ŚWIECZKA

Lubię sobie wieczorem zapalić świeczkę zapachową, która nadaje hotelowym pokojom odpowiedni nastrój.



GŁOŚNIK

Obowiązkowo musi być, żeby muzyczka przygrywała.

SMARTWATCH

Mój przyjaciel w treningu. Mierzy wszystko, co jest dla mnie istotne – czas, kilometry, prędkość.





PLASTRY

Zawsze warto mieć z sobą. Zwłaszcza na początku aktywności kajakarskiej po wypoczynku zaczynają się obtarcia, nie tylko na dłoniach, lecz także na stopach od podnóżka.

SWETER, GRUBE SKARPETKI

Zabieram, mimo że jadę do Portugalii, gdzie jest ciepło i zapowiada się 20 st. Celsjusza. Za to wieczory są już chłodne, a ja jestem zmarzluchem.





KLAPKI

W kajaku pływamy boso, a na pomost wchodzimy w skarpetkach i klapkach. Jest to często przedmiotem żartów na temat naszego stylu. Klapki na zdjęciu są z kolekcji olimpijskiej, a napis autorstwa Japończyków, którzy się nami opiekowali w Tokio, oznacza moje imię i nazwisko;)

TAŚMA MONTAŻOWA

Izolacyjna, żebym nie rysowała wiosłem kajaka. Oklejam nią też ograniczniki na wiośle, dzięki którym wiem, gdzie trzymać dłonie.





ZAPARZACZ DO KAWY

Jestem smakoszem kawy. Obowiązkowo dwie kawki przed jednym i drugim treningiem.

BUTY

To są akurat buty na siłownię. Jestem kajakarką, ale siłownia jest nieodłącznym elementem mojego treningu. Trzy razy w tygodniu chodzę na siłownię. Mój rekord na klatkę wyniósł 80 kg, a w rwaniu 60 kg.





ZESTAW ŚNIADANIOWY

Płyta, garnek i płatki śniadaniowe. Codziennie rano gotuję owsiankę na mleku. Dodaję do niej orzechy, świeże owoce i trochę masła orzechowego.



KŁÓDECZKA

W razie czego, gdyby walizkę lub torbę trzeba było gdzieś zostawić, to zapięcie daje jakieś poczucie bezpieczeństwa.

Wysłuchał i zapisał Michał Korsun

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl d4ace5c9e2

OGNIEM NA WPROST

Kolejny odlot mecenasa



W Niemczech toczy się postępowanie sądowe w stosunku do czterech żołnierzy w sprawie imprezy na Litwie, która wymknęła się spod kontroli. Jakiś czas temu wycofano z Litwy cały pluton grenadierów pancernych Bundeswehry, wchodzącej w skład enhanced Forward Presence-Battle Group (eFP). Jej zadaniem jest ochrona Litwy przed agresywnymi działaniami wojsk Federacji Rosyjskiej. Po manewrach „Żelazny Wilk" żołnierze odpoczywali w hotelu w okolicach Rukli i dali taki popis picia na umór, że musiała ich pacyfikować żandarmeria. Wezwała ją obsługa hotelu zaniepokojona wrzaskami molestowanego seksualnie przez kolegów żołnierza. Scenę tę nagrywał kamerą jeden z biorących udział w popijawie. W trakcie śledztwa wyszły na jaw jeszcze inne ekscesy. 20 kwietnia (dzień urodzin Adolfa Hitlera) niektórzy żołnierze z tego plutonu odśpiewali pieśń urodzinową wodzowi III Rzeszy. Do incydentu doszło w koszarach armii litewskiej w Rukli i został on zauważony przez przełożonego oficera. W wewnętrznej notatce stwierdzono, że żołnierze śpiewali piosenkę wbrew wyraźnym rozkazom sierżanta. Całe to homonazistowskie towarzystwo oczekuje teraz na wyrok, bo z armii już zostali wyrzuceni. W Niemczech żartują, że Bundeswehra składa się dziś z nazistów i homoseksualistów (Schwule und Nazi). Powyższy przykład pokazuje, że teoretycznie wrogie sobie grupy mogą się nawet połączyć we wspólnej „zabawie", tylko nie może zabraknąć alkoholu.

Ruscy z uwielbieniem latają swoimi samolotami bojowymi obok jednostek NATO, które wpływają przez Bosfor do akwenu Morza Czarnego. Ale tym razem się nacięli. Jak dotąd żaden okręt Sojuszu Północnoatlantyckiego wpływający na Morze Czarne nie był tak osłaniany z powietrza jak USS „Mount Whitney" (LCC-20). Jednostka ta (długość 194 m i wyporność 18,4 tys. ton) oprócz tego, że pełni funkcję dowodzenia siłami amfibijnymi, to jest także okrętem dowodzenia VI Floty Stanów Zjednoczonych, działającej w rejonie Morza Śródziemnego. Lotnicza eskorta miała za zadanie pokazać Moskwie, że jeżeli nastąpi taka potrzeba, to NATO ma siły, by zapobiec jakimkolwiek akcjom rosyjskich samolotów. Operacja w pełni się udała. Amerykańskie myśliwce F-15 Strike Eagle (do Bułgarii i Rumunii przerzucono 336. eskadrę tych samolotów z bazy amerykańskich sił powietrznych Seymour Johnson AFB w Karolinie Północnej w USA) wraz z tureckimi i greckimi samolotami wczesnego ostrzegania nie dopuściły ani jednej rosyjskiej maszyny w zasięgu wzroku. Rosjanie wizerunkowo bardzo wyraźnie odczuli pokaz siły natowskiego lotnictwa. Nie mając nowoczesnych samolotów wczesnego ostrzegania, Rosja mogła odgrywać jedynie rolę biernego obserwatora akwenu oficjalnie deklarowanego jako „w pełni kontrolowany". Skoro w wojennej technice nie za bardzo Kremlowi wychodzi, to wyżywają się w akcji „przerzutu imigranckiego mięsa armatniego" do Polski, na Litwę i Łotwę.

Mecenas Roman Giertych po raz kolejny dał popis wysokiego poziomu politycznej analizy godnej przemyśleń funkcjonującego niegdyś „think tanku" (kuźni ekspertów) w składzie: on sam, Marcinkiewicz, Niesiołowski i Kamiński. „Kaczyński współpracuje z Łukaszenką w zwiększeniu kryzysu na granicy. Obaj na tym zyskują – napisał na Twitterze Giertych. – Kaczyński mówił mi 15 lat temu, że ma bardzo dobre relacje z Łukaszenką. Wiele się od tego czasu zmieniło, ale dzisiejszy »atak« przeprowadzony w dniach, kiedy PiS zaczyna bardzo słabnąć, przekonuje mnie, że nadal Panowie koordynują pewne akcje" – dodaje też w kolejnym wpisie. Przyglądając się logice tej politycznej myśli mecenasa, stwierdzam, że nie chciałbym być jego klientem w żadnej sprawie sądowej, nawet błahej.

Francja wściekła się na Radę Europy, która realizowała program pod hasłem „Piękno jest w różnorodności, tak jak wolność jest w hidżabie" oraz „Radość w hidżabie". Francuska minister ds. młodzieży Sarah El Haïry stwierdziła, że te obrazy ją zszokowały. „Francja wyraża swoje stanowcze potępienie" – powiedziała minister, komentując kampanię promującą islamskie nakrycia głowy dla kobiet. Pod naporem rządu francuskiego i burzy, która rozpętała się wokół promocyjnych tweetów wypuszczonych przez Radę Europy, wycofano się z projektu. Projekt skrytykował również belgijski konserwatysta Theo Francken, przypominając, jakie znaczenie ma islamska chusta w świecie muzułmańskim. „Spytajcie te miliony dziewczyn w Nigerii, Burkina Faso, Somalii czy Afganistanie" o to, czy islam oznacza wolność – napisał na Twitterze. Małe, a cieszy.

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl d4ace5c9e2

Zapewnić dzieciom prawdziwy dom



Marta Kaczyńska-Zielińska

Rodzina stanowi dla dziecka naturalne środowisko, w którym ma szansę na harmonijny rozwój oraz przystosowanie się do życia społecznego. Art. 18 Konstytucji RP chroni rodzinę jako podstawową komórkę społeczną warunkującą byt i funkcjonowanie społeczeństwa w przyszłości. Zgodnie z art. 47 Konstytucji RP ochronie podlega życie prywatne i rodzinne, a z art. 48 ustawy zasadniczej wynika, że to rodzice mają pierwszeństwo w podejmowaniu wobec dziecka działań wychowawczych. Preambuła ratyfikowanej przez Polskę Konwencji o prawach dziecka wskazuje na potrzebę szczególnej troski o dziecko, której może ono doświadczyć w rodzinie będącej synonimem miłości, spokoju, zrozumienia.

W polskim porządku prawnym ochrona wspólnoty rodzinnej ma znaczenie pierwszorzędne. Ingerencja państwa mająca na celu ochronę dobra rodziny, a w szczególności dobra dziecka, ma miejsce zgodnie z zasadą pomocniczości, a zatem jedynie wówczas, gdy matka i ojciec nie są w stanie sprostać problemom społeczno-wychowawczym lub ekonomicznym. Ostatecznymi instrumentami służącymi ochronie dobra dziecka są piecza zastępcza oraz przysposobienie.

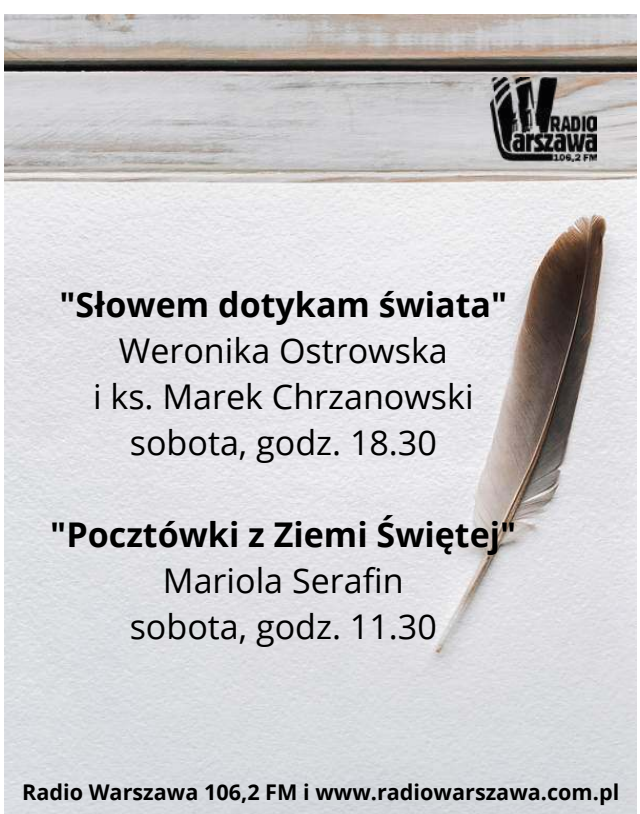
Piecza zastępcza ma zasadniczo charakter tymczasowy i stosuje się do chwili ustania stanu zagrożenia lub adopcji dziecka. Może być sprawowana w szczególności przez zweryfikowane rodziny lub instytucje. Znajduje ona zastosowanie, gdy występuje stan zagrożenia dobra dziecka, a inne uprzednio wdrożone środki okazały się nieskuteczne, albo gdy zaistnieje konieczność niezwłocznego zapobieżenia poważnemu zagrożeniu dobra dziecka, w szczególności dotyczącego jego życia lub zdrowia.

Do roku 2015 miało miejsce wiele tragedii rodzinnych, w których wbrew woli rodziców decydowano o odbieraniu im dzieci wyłącznie z racji problemów finansowych i niedostatku, z którymi trudno było im się mierzyć. Warto przypomnieć, że od 2016 r. obowiązuje zakaz umieszczenia dziecka w pieczy zastępczej wyłącznie z powodu ubóstwa rodziców. Z inicjatywy Prawa i Sprawiedliwości pięć lat temu parlament ogromną większością głosów uchwalił nowelizację Kodeksu rodzinnego i opiekuńczego zawierającą przepis stanowiący, że umieszczenie dziecka w pieczy zastępczej wbrew woli rodziców wyłącznie z powodu biedy nie jest dopuszczalne.

Szczegółowe zasady dotyczące form wspierania rodzin w trudnych sytuacjach życiowych zawarte zostały w przepisach Ustawy o wspieraniu rodziny i systemie pieczy zastępczej. Na koniec 2020 r. w Polsce w pieczy zastępczej pozostawało ponad 71 tys. dzieci, a ponad 16 tys. z nich umieszczono w instytucjach sprawujących tę formę opieki.

We wrześniu br. Ministerstwo Rodziny i Polityki Społecznej przedstawiło projekt nowelizacji ustawy, który pozostaje obecnie w konsultacjach społecznych. Zgodnie z prawdziwie przełomowymi założeniami nowelizacji państwo ma odejść od sprawowania opieki instytucjonalnej na rzecz wspierania rozwoju rodzinnej pieczy zastępczej. Uproszczone zostaną procedury tworzenia nowych rodzin zastępczych, które zyskają wyższe wynagrodzenia, a placówek opiekuńczo-wychowawczych nie będzie już przybywać. Wprowadzony ma zostać zakaz tworzenia nowych placówek opiekuńczo-wychowawczych typu socjalizacyjnego, interwencyjnego oraz specjalistyczno-terapeutycznego, regionalnych placówek opiekuńczo-terapeutycznych i interwencyjnych ośrodków preadopcyjnych. Proponowane rozwiązania dotyczą także zmiany w uprawnieniach do urlopów na warunkach urlopu macierzyńskiego. Osoba, która przyjmie dziecko na wychowanie i wystąpi do sądu opiekuńczego z wnioskiem o wszczęcie postępowania w sprawie przysposobienia dziecka, ma prawo do urlopu na warunkach urlopu macierzyńskiego nie dłużej niż do ukończenia przez dziecko 18. roku życia, a nie tak jak obecnie jedynie, gdy dziecko nie ukończyło 7. roku życia. Nowe rozwiązania mają także zapewnić skuteczniejsze wsparcie rodziców wychowujących niepełnosprawne dzieci.

REKLAMA



60/1021/F

eprasa.pl d4ace5c9e2

Zaburzone proporcje



Samuel Pereira

Mówią, że na Marszu Niepodległości płoną mieszkania, bo rok temu mężczyzna wrzucił rację do jednego z mieszkań. Mówią, że lekarze boją się ratować życie kobiet w ciąży, bo w ciągu roku znaleźli jeden tragiczny przypadek śmierci okołoporodowej. Pal sześć, że nikt nie płacze za dzieckiem, bo również tego człowieka, oprócz żony i matki, stracili mąż i córka Izabeli. Na ulice wyszli ludzie, którzy w większości pewnie nawet nie mają świadomości, że polskie prawo, zarówno przed wyrokiem Trybunału Konstytucyjnego z 22 października 2022 r., jak i po nim – w kontekście ratowania zdrowia i życia kobiety w ciąży – nie uległo zmianie. Kogo dziś interesują jakieś fakty, jakaś prawda? To nieważne, bo liczy się narracja. Im bardziej toporna, tym mocniej musi grać na emocjach, a do tego konieczne jest odrzucenie elementów racjonalnych, takich jak fakty czy chociażby kontekst.

By jakiś oderwany od rzeczywistości przekaz mógł odpowiednio mocno zarazić ludzkie umysły, potrzeba jednego przypadku. Wystarczy jedna raca, jedna śmierć czy – jak w przypadku Ryszarda Terleckiego – jeden przykry komentarz do zaczepiającej go agresywnie kobiety. Nagle finansowany przez lata Sok z Buraka, „wypierd...lać", osiem gwiazdek i cały ten latami działający przeciwko konserwatystom i katolikom przemysł pogardy przestaje istnieć. Terlecki nazwał kobietę – która dała się zmanipulować, bo przepis „przerwanie ciąży może być dokonane wyłącznie przez lekarza, w przypadku gdy ciąża stanowi zagrożenie dla życia lub zdrowia kobiety ciężarnej" przerasta jej umiejętności intelektualne – kretynką.

Koniec świata. Żyjemy w świecie zaburzonych proporcji. Oczywiście nie działa to w drugą stronę, bo w innych sytuacjach, gdy np. dowiadujemy się, że para homoseksualistów wykorzystuje seksualnie adoptowane dziecko – to nie, takich przykładów nie można przekładać na całą społeczność LGBT. Cytując klasyka, „to niedobra porównywać". Podobnie jest w sprawie migracji. Terroryzm jako skutek nielegalnej imigracji? Po co o tym mówić. Kilka lat temu w TVN reporterka „Gazety Wyborczej" wyjaśniła nam dosadnie, że w tej sprawie powinniśmy się kierować statystyką. Cytuję: „Załóżmy, że przyjmujemy te siedem tysięcy i wśród nich jest jeden zamachowiec. I wysadza w powietrze, ginie dziesięciu Polaków. Ale uratowaliśmy życie tych 6999 osób, które uciekały przed wojną".

Autor jest szefem portalu tvp.info

Bądźmy w kontakcie

Z Moniką „Mimi" Wydrzyńską, wokalistką, autorką piosenek, trenerem wokalnym Małego TGD, rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Czy można być online z niebem?

Monika „Mimi" Wydrzyńska: Nie tylko można, lecz trzeba i warto. To ten ukryty i mniej dosłowny przekaz singla „Online", promującego nasz najnowszy album pod tym samym tytułem. Bardzo lubię ten tekst Piotra Nazaruka. W trudnym czasie pandemii „online z niebem" jest pięknym i trafnym hasłem.

„Nie wiem, czy to tak fajnie/ cały dzień na online/ Patrzę w jeden punkt/ niby jestem tu/ale mało realnie [...] Modlę się o cud/żeby było znów... normalnie...". Małe TGD, jak piszecie, wykonuje „muzykę pop z chrześcijańskim przesłaniem". Co to znaczy?

Kiedy przygotowywaliśmy się do wydania materiału na trzecią już płytę – a działo się to w czasie mocno ograniczającym bezpośrednie spotkania, zarówno z głównym składem zespołu, jak i dziećmi biorącymi udział w zajęciach Szkółki TGD – rozmawialiśmy m.in., jak wspaniale, że Pan Bóg jest dla nas dostępny „online" non stop. Warto podnosić wzrok i skupiać się na tym, by łączność z niebem jak najczęściej nawiązywać. To było jedno z najważniejszych przesłań nowej płyty.

A jakie przesłanie ukrywa skrót TGD?

Trzecia Godzina Dnia to biblijny czas zesłania Ducha Świętego. Słuchacze „dorosłego" TGD zapewne nie mają problemu z rozszyfrowaniem tej nazwy. Małe TGD działa co prawda dużo krócej, ale nasz singiel „Góry do góry" był słuchany na YouTubie już blisko 19 mln razy. Spotykamy się na zajęciach wokalnych w ośmiu miastach oraz online. Można do nas dołączyć.



Fot. Materiały prasowe

eprasa.pl d4ace5c9e2



150 tys.

tyle osób uczestniczyło w tegorocznym Marszu Niepodległości.

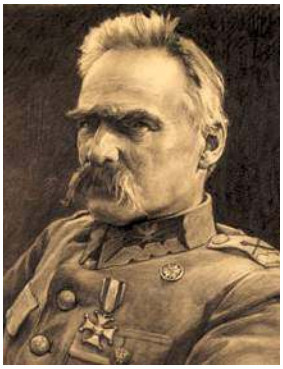
250 tys.

tyle złotych jest wart kontrakt, który celebrytka Barbara Kurdej-Szatan może stracić po swoim internetowym wpisie obrażającym Straż Graniczną.

4 tys.

nawet tylu imigrantów mogło brać udział w zeszłotygodniowym szturmie na polską granicę z Białorusią.

Fot. Andrzej Skwarczyński, Muzeum Narodowe w Warszawie, Julita Szewczyk



W tej ważnej chwili przynajmniej niektórzy ludzie, jeśli już nie cała Polska, niestety, wznieść się muszą ponad interesa stronnictw, klik i grup, do takich zaś ludzi chciałbym zaliczyć i Pana – Józef Piłsudski do Romana Dmowskiego miesiąc po odzyskaniu przez Polskę niepodległości

Polacy to psychopaci jni*** – taki wpis internauty podała dalej wiceprezydent Warszawy Aldona Machnowska



„Patrioci", wracając z błoni Stadionu, masowo szturmują alkohole 24. Strach wyjść po bułkę

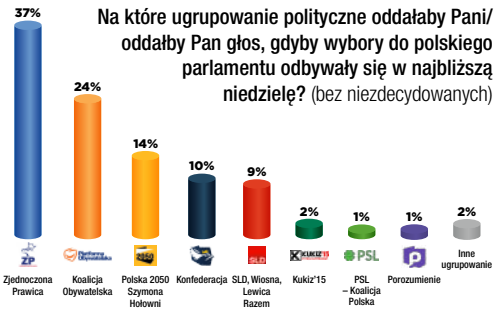
– przerażony Michał Szczerba komentuje Marsz Niepodległości

Zebrał Jakub Maciejewski

pracownia **Social Changes** dla **wPolityce.pl**

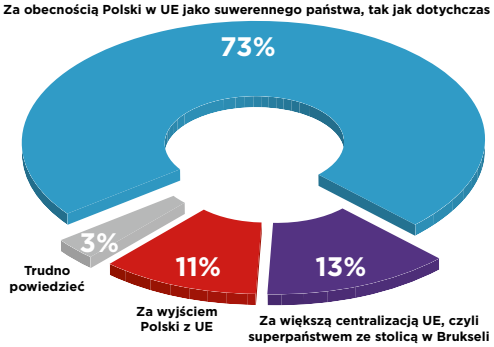
nasz sondaż

Na które ugrupowanie polityczne oddałaby Pani/oddałby Pan głos, gdyby wybory do polskiego parlamentu odbywały się w najbliższą niedzielę? (bez niezdecydowanych)

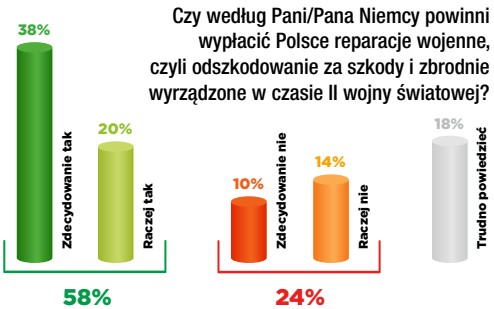


W jaki sposób zagłosowałaby Pani/zagłosowałby Pan w referendum dotyczącym obecności Polski w Unii Europejskiej, gdyby odbywało się w najbliższą niedzielę?

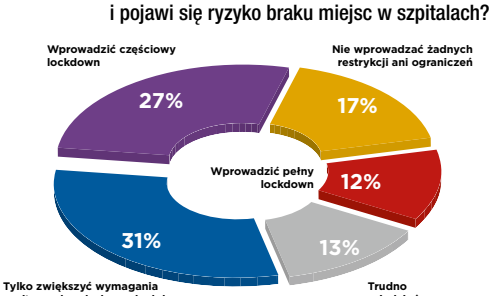
Za obecnością Polski w UE jako suwerennego państwa, tak jak dotychczas



Czy według Pani/Pana Niemcy powinni wypłacić Polsce reparacje wojenne, czyli odszkodowanie za szkody i zbrodnie wyrządzone w czasie II wojny światowej?



Co według Pani/Pana powinien zrobić polski rząd, jeśli nadal będzie przybywało zachorowań na koronawirusa i pojawi się ryzyko braku miejsc w szpitalach?



Badania zrealizowane metodą CAWI (Computer Assisted Web Interview) na panelu internetowym. Badania przeprowadzone na ogólnopolskiej, reprezentatywnej (pod względem: płci, wieku, wielkości miejsca zamieszkania) próbie Polaków. W badaniu wzięło udział N=1082.

Zakres czasowy badania 5–8 listopada 2021 r.

SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 616 36 00, (22) 255 93 32; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: ŁUKASZ ADAMSKI, GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI, TOMASZ ŁYSIAK, JAKUB MACIEJEWSKI, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO

PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK), ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL, LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, KATARZYNA LASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL,
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00, (22) 255 93 32 PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.WSIECIPRAWDY.PL

WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOŹNIAK – AGNIESZKA.WOZNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH" POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT. NA OKŁADCE: ANDRZEJ WIKTOR, NUR PHOTO/EAST NEWS, JAKUB KAMIŃSKI/EAST NEWS, AFP/EAST NEWS, LEONID SHCHEGLOV/AFP/EAST NEWS, MAREK MALISZEWSKI/REPORTER, SHUTTERSTOCK/GETTGG, BERNATSKAIA OKSANA, PROSTOCK-STUDIO

eprasa.pl d4ace5c9e2



Polska na wirażu

Kogokolwiek zapytać, odpowiedź jest taka sama: to będzie długi konflikt, którego eskalacji nikt dziś nie przewidzi. Jak jesteśmy na niego przygotowani? Na kogo możemy liczyć za granicą? Jaki jest rzeczywisty cel Putina i Łukaszenki? Oto polski plan obrony przed agresją ze Wschodu



MAREK PYZA MARCIN WIKŁO

Na granicy mamy do czynienia z operacją dużo szerszą, niż jesteśmy dzisiaj w stanie sobie wyobrazić – mówi nam jeden z najbliższych współpracowników Mateusza Morawieckiego. Pracujący dla rządu analitycy dodają, że „jesteśmy dopiero na bardzo wstępnej fazie tej operacji". To oni zasugerowali premierowi, by podczas nadzwyczajnego posiedzenia Sejmu zapowiedział, że „trzeba się przygotować na długie uderzenie, na politykę, która może być długotrwała". Szef rządu zapewnił, że jesteśmy na to przygotowani, choć nie ukrywał także, że szczególnie najbliższe miesiące będą dla nas bardzo wymagające.

ZADANIE 1: UTRZYMAĆ GRANICĘ

Potwierdzają tę diagnozę eksperci, z którymi rozmawiamy. Sytuacja jest dynamiczna, kilka miesięcy temu nikt z nas nie przewidywał, że będziemy świadkami prawdziwego szturmu migrantów ze strony Białorusi. Pierwszy atak został odparty, ale nie ma wątpliwości, że będą kolejne. – Musimy się liczyć z tym, że ta sytuacja szybko nie wygaśnie, nacisk na nas będzie kontynuowany. Nadchodząca zima jest do tego raczej zachętą, bo z punktu widzenia potrzeb propagandowych Białorusi i Rosji doda dramatyzmu tej sytuacji – mówi

Fot. @terytorialsi/twitter

eprasa.pl d4ace5c9e2

prof. Przemysław Żurawski vel Grajewski, politolog z Uniwersytetu Łódzkiego, ekspert od stosunków międzynarodowych i obronności.

Obrazki z Kuźnicy, gdzie kilkusetosobowy tłum rozwścieczonych migrantów ruszył w kierunku Polski, próbując łopatami i nożycami przerwać zasieki, spowodował przynajmniej chwilowe otrzeźwienie oraz falę bardzo życzliwych i empatycznych wobec Polski wypowiedzi. – Mamy teraz „miodowe dni" w Europie i na świecie, wszyscy nas wspierają, ale nie mam wątpliwości, że za chwilę machina propagandowa ruszy, a w tym fachu Rosjanie i Białorusini są naprawdę nieźli – mówi mi osoba, która na co dzień bierze udział w posiedzeniach sztabu kryzysowego w KPRM. W rządzie panuje determinacja, by tę chwilę „oddechu" jak najefektywniej wykorzystać. Zniszczone ogrodzenie jest szybko odbudowywane, ale celem nadrzędnym jest budowa trwałej zapory. Decyzja już zapadła, realizacja rozpocznie się – jak słyszymy – „lada dzień" i będzie prowadzona na kilku odcinkach jednocześnie. – Będziemy brali stal z polskich hut, mamy nadzieję, że nie będzie problemów z zaopatrzeniem. Trzeba zapewnić drogę dojazdową dla ciężkiego sprzętu itd. To duże wyzwanie logistyczne. Wszystko będzie prowadzone przy asyście wojska – zapewnia nas jeden z członków rządu.

> Polskę wsparły już i zapowiedziały dalsze kroki Kwatera Główna NATO, Komisja Europejska, amerykański Departament Stanu, rządy w wielu stolicach europejskich

Nasi rozmówcy proszą jednak, by unikać myślenia, że „ta zapora wyeliminuje wszelkie problemy". – Po pierwsze, bariera rzeczywiście da nam większą szczelność i pozwoli na przesunięcie części funkcjonariuszy na inne odcinki: litewski i ukraiński, które będą wymagały pilnej ochrony. Ale, po drugie, te pół roku, którego potrzebujemy, by postawić mur, trzeba będzie jakoś przetrwać – mówi nasz rozmówca i wraca do wątku wschodniej propagandy. – Z narracji o „biednych uchodźcach" i „dzieciach zamarzających w lesie" wcale nie zrezygnowano. Wraz z nadejściem dokuczliwych mrozów ten wątek wróci jeszcze mocniej. Bo tak najłatwiej rozpalić emocje.

Stanisław Żaryn, dyrektor Departamentu Bezpieczeństwa Narodowego w KPRM, ostrzega, prezentując film z grupą dzieci za zasiekami: „Dziś migranci koczujący przy granicy RP skupiają się na akcji propagandowej. Kluczową rolę pełnią dzieci. Gra emocjami prowadzona jest pod kontrolą białoruskich służb. […] akcja obliczona jest na granie emocjami społecznymi w Polsce i na Zachodzie oraz jest kolejną próbą wywarcia presji, by Polska zgodziła się na szlak migracyjny organizowany przez służby białoruskie".

WOJSKO NA GRANICE?

Trudno dziś opisywać sytuację bieżącą na granicy z Białorusią, bo zmienia się ona z dnia na dzień, a nawet z godziny na godzinę. Jasne jest jedno, trzeba tę linię wzmacniać, choć powstaje pytanie, na ile wystarczy nam sił i środków. – Mamy co prawda ponad 100 tys. zawodowych żołnierzy, ale sił operacyjnych, czyli takich, które możemy tam wysłać jak na front, jest ok. 30 tys. Połowa z nich już na granicy jest, a – jak wiemy – to dopiero początek operacji. Margines działania niebezpiecznie nam się kurczy – mówi nam osoba z resortu obrony.

Oczywiście w operacji ochrony granicy uczestniczą też Wojska Obrony Terytorialnej, policja i Straż Graniczna, więc polskich sił jest tam sporo. I to im teraz trzeba stworzyć warunki do pełnienia tej odpowiedzialnej służby. W ubiegłym tygodniu rząd skupił się na zakupach, które doposażą naszych funkcjonariuszy. W trybie pilnym należało zamówić sprzęt oświetleniowy, którego w magazynach było zbyt mało, i kontenery mieszkalno-sanitarne.

Eksperci, z którymi rozmawiamy, są też zgodni co do tego, że nie należy na granicę z Białorusią ściągać wojsk innych sojuszniczych armii. – Wojska amerykańskie już są na naszym pograniczu – w Orzyszu, Giżycku, Piszu. Nie ma powodów, dla których mielibyśmy wzywać ich na linię granicy – mówi jeden z wiceministrów. – Trzeba zachować „ciężką artylerię" na ciężkie czasy. Nie wszystko naraz. Pojawienie się wojsk amerykańskich na wschodzie Polski natychmiast spowodowałoby pojawienie się większej ilości wojsk rosyjskich na Białorusi, a na tym nam nie zależy – analizuje prof. Żurawski vel Grajewski. Dodaje też, że wyjątkowo przestrzelone są żądania opozycji, by wołać na pomoc Frontex, unijną agencję Straży Granicznej i Przybrzeżnej. – Polska dysponuje kilkunastoma tysiącami funkcjonariuszy SG, a Frontex ma 2 tys. pracowników, z czego kilkuset możliwych do użycia na wszystkich granicach naraz (i oni są zaangażowani np. na południowej flance Unii). Reszta to urzędnicy za biurkami. Byłoby więc to wsparcie symboliczne – mówi.

W poprzednim numerze „Sieci" mówił o tym także w wywiadzie komendant główny Straży Granicznej gen. dyw. Tomasz Praga: „Straż Graniczna nie potrzebuje dziś fizycznego wsparcia Frontexu, choć współpracujemy […] Na przejściach granicznych non stop obecni są funkcjonariusze Frontexu. Tyle że zdolności operacyjne Frontex osiągnie dopiero za sześć lat. W ubiegłym roku to my szkoliliśmy pierwszą grupę ich funkcjonariuszy, bo wygraliśmy konkurs – okazało się, że zrobimy to najlepiej".

ZADANIE 2: UMIĘDZYNARODOWIENIE

O tym, że na wschodniej granicy mamy do czynienia z sytuacją bez precedensu, przekonują się politycy oraz opinia publiczna również na Zachodzie. Dociera do nich, że to także granica zewnętrzna Unii Europejskiej i strefy Schengen. Karl Nehammer, szef austriackiego MSW, wezwał Komisję

eprasa.pl d4ace5c9e2

Europejską do „udzielenia rządowi w Warszawie większego wsparcia przy ochronie granicy". W niemieckim dzienniku „Die Welt" ukazał się zaś artykuł w tonie zgoła odmiennym od tego, co czytamy tam o Polsce zazwyczaj. „W polsko-białoruskim kryzysie migracyjnym Unia Europejska hołduje szlachetnym zasadom i krytykuje Polskę za twardy kurs. Obrona granicy przez polski rząd pokazuje jednak, że Warszawa ma poczucie rzeczywistości, którego Unii Europejskiej brakuje od 2015 roku" – czytamy w komentarzu. „UE powinna zrozumieć, że Polska wyświadcza jej przysługę" – konkluduje niemiecki dziennik.

Takich głosów jest dużo więcej. Szef unijnej dyplomacji Josep Borrell jasno stwierdził, że „sytuacja może się zaostrzyć i mamy do czynienia z potencjalnym nowym szlakiem migracyjnym", a szef frakcji EPL w europarlamencie Manfred Weber opowiedział się za „udostępnieniem środków unijnych na budowę infrastruktury w Polsce". Premier Mateusz Morawiecki spotkał się w Warszawie m.in. z przewodniczącym Rady Europejskiej Charles'em Michelem. W oświadczeniach po rozmowach brzmiało jedno: Białoruś z pomocą Rosji dokonuje ataku na granice UE, którego nie można tolerować.

W naturalny sposób zrodziło się pytanie o bardziej stanowczą reakcję, np. użycie zapisów traktatu północnoatlantyckiego. Jego art. 4 mówi o tym, że „Strony będą się konsultowały, ilekroć zdaniem którejkolwiek z nich zagrożona będzie integralność terytorialna, niezależność polityczna lub bezpieczeństwo którejkolwiek ze Stron". Zgodna odpowiedź kilku pytanych przez nas osób jest taka, że „nikt na poważnie nie myśli o uruchomieniu zapisów bezpieczeństwa NATO", ponieważ: „nie mamy do czynienia z atakiem militarnym", „używa się go po wyczerpaniu własnych sił i środków, a to się nie stało", „takie konsultacje w zasadzie są prowadzone ciągle, choć nikt ich tak być może nie nazywa".

Zgoda panuje jeszcze co do jednego, na Białoruś trzeba nałożyć kolejne, bardziej dotkliwe sankcje. Unia Europejska już dysponuje listą firm białoruskich, których mogłyby dotyczyć restrykcje. – Należy to robić jednak bardzo ostrożnie, bo na przerwaniu współpracy z Białorusią może ucierpieć wielu polskich przedsiębiorców. UE musi dać nam gwarancje, że wynagrodzi naszym biznesmenom to, co stracą na Wschodzie – mówi osoba z otoczenia szefa rządu. Najpilniejszy wydaje się nacisk na linie lotnicze, które dostarczają migrantów do Mińska. Podczas wystąpienia sejmowego premier wskazał Turcję jako kraj, który działa „w pełnej synchronizacji" z Mińskiem i Moskwą, przerzucając migrantów państwowymi liniami lotniczymi Turkish Airlines. Turecki przewoźnik co prawda oficjalnie zaprzeczył, jakoby miał brać udział w przerzucie migrantów, ale niedługo potem pojawiła się informacja o zakazie sprzedaży biletów na Białoruś dla obywateli Syrii i Iraku, a więc krajów, skąd płynie najszersza fala nielegalnej imigracji.

Polskę wsparły już i zapowiedziały dalsze kroki Kwatera Główna NATO, Komisja Europejska, amerykański Departament Stanu, rządy w wielu stolicach europejskich, nie tylko w tradycyjnie przyjaznym nam Budapeszcie czy Lublanie, ale również np. Hadze.

> Nie mamy wątpliwości, że te napięcia potrwają długo. Jestem przekonany, że gdy wybudujemy naszą barierę, to za chwilę będziemy musieli umacniać granicę litewską i ukraińską – mówi jeden z ministrów resortów siłowych

ZADANIE 3: WSPÓŁPRACA Z SĄSIADAMI

Warunkiem niezbędnym do wypracowania solidarnej postawy społeczności międzynarodowej jest dobra współpraca Polski z sąsiadami, podobnie zagrożonymi agresją ze strony wschodnich reżimów. – Od kilku miesięcy mamy do czynienia z próbami skłócania państw poddanych tej presji. Gdy Litwa była głównym celem ataku migracyjnego, a tamtejsze służby osadzały zatrzymanych w obozach przy granicy, rosyjscy agenci wpływu rozpowszechniali wieści, że rządzący w Wilnie złośliwi nacjonaliści zmieniają przy pomocy muzułmańskich migrantów strukturę etniczną polskiej Wileńszczyzny. Trzeba pamiętać, że pogranicze litewsko-białoruskie jest po obu stronach etnicznie polskie. Na tym tle próbowano skłócić Polskę i Litwę. Na szczęście oba rządy zachowały zdrowy rozsądek, Polska wsparła sąsiada funkcjonariuszami, śmigłowcem, obie stolice zademonstrowały solidarność i ta akcja zgasła – przypomina prof. Żurawski vel Grajewski.

Jego zdaniem musimy się obawiać powtarzania tego typu prób w rozmaitych wariantach, np. na kierunku ukraińskim, dlatego potrzebna jest ścisła koordynacja reakcji naszych państw, z całą świadomością, że Rosjanie będą usiłowali nas skłócić. A im więcej będziemy zawczasu mówili o tych prowokacjach, tym trudniej będzie je wiarygodnie przeprowadzać.

Dlatego też jeszcze przed rozmowami polskich władz na szczeblu unijnym Andrzej Duda rozmawiał z prezydentami Ukrainy, Litwy, Łotwy, Estonii i Gruzji, którzy w oczywisty sposób wsparli Polskę w obliczu białoruskiego ataku.

Dziś skupia się on na naszej granicy, lecz wszyscy nasi rozmówcy podkreślają, że w każdej chwili może to się zmienić bądź rozszerzyć – o szlak ukraiński czy powrót większych mas migrantów na granicę z Litwą. Oznaczałoby to spore kłopoty, bo oba państwa mają dłuższe granice z Białorusią i mniejsze możliwości mobilizacyjne do ich obrony. Ale i na ten scenariusz – jak słyszymy – jesteśmy gotowi.

– Nie mamy wątpliwości, że te napięcia potrwają długo. Jestem przekonany, że gdy wybudujemy naszą barierę, to za chwilę będziemy musieli umacniać granicę litewską i ukraińską – to jest oczywiste – mówi nam jeden z ministrów z resortów siłowych.

eprasa.pl d4ace5c9e2



Fot. @terytorialsi/twitter

JEDNOZNACZNA STRATEGIA

Brawa dla żołnierzy, policjantów i funkcjonariuszy Straży Granicznej broniących wschodniej granicy rozległy się podczas uroczystości państwowych 11 listopada na pl. Piłsudskiego w Warszawie, ale także podczas specjalnego posiedzenia Sejmu. Wstali zgodnie politycy wszystkich opcji, którzy chyba w końcu zrozumieli, skąd płynie rzeczywiste zagrożenie. Wcześniej nie było to takie oczywiste, nie tylko w sferze symbolicznej.

Dopiero w Strategii Bezpieczeństwa Narodowego RP, przyjętej przez rząd Zjednoczonej Prawicy i podpisanej przez prezydenta Andrzeja Dudę w maju ub.r., wprost określono, że „najpoważniejsze zagrożenie stanowi neoimperialna polityka władz Federacji Rosyjskiej, realizowana również przy użyciu siły militarnej". I dalej: „Agresja na Gruzję, nielegalna aneksja Krymu oraz działania we wschodniej Ukrainie naruszyły podstawowe zasady prawa międzynarodowego i podważyły filary systemu bezpieczeństwa europejskiego". „Tak jednoznaczne zapisy nie są efektem naszych wymysłów, tylko szczegółowej analizy działań Federacji Rosyjskiej. Prezentujemy stanowisko, które jest w oficjalnych dokumentach NATO. Z Rosją chcemy prowadzić dialog, ale poprzedzamy go działaniami, które mają zademonstrować nasze zdolności obronne i odstraszania" – mówił portalowi wPolityce.pl Paweł Soloch, szef Biura Bezpieczeństwa Narodowego.

W poprzedniej strategii zatwierdzonej przez prezydenta Bronisława Komorowskiego 5 listopada 2014 r. zagrożenie płynące ze Wschodu nazywane było dosyć miękko, mimo że dokument powstał już po aneksji Krymu. Próżno jednak szukać w nim słowa „agresja", jest za to np. „konflikt z Ukrainą", co mogłoby sugerować takie samo zaangażowanie obu jego stron. „Relacje Rosji z Zachodem pozostaną ważnym czynnikiem oddziałującym na bezpieczeństwo Polski, regionu i Europy. Odbudowywanie mocarstwowości Rosji kosztem jej otoczenia oraz nasilanie się jej konfrontacyjnej polityki, czego przykładem jest konflikt z Ukrainą, w tym aneksja Krymu, negatywnie rzutuje na stan bezpieczeństwa w regionie" – to fragment tekstu z 2014 r., który był zapewne podyktowany osobliwą polityką „resetu" pomiędzy Warszawą i Moskwą.

Można powiedzieć, że to tylko strategia, ale w armii to akurat istotne, by jednoznacznie określić cele i potem konsekwentnie je realizować. Dziś widać to szczególnie wyraźnie.

ZADANIE 4: PRZESTRASZYĆ MIŃSK

Jeśli cały polski establishment polityczny zda sobie z tego wreszcie sprawę, skuteczniejsza będzie nasza odpowiedź na obecną agresję.

Jakie konkretne kroki możemy poczynić wobec Mińska? W wachlarzu naszych możliwości są m.in. działania ekonomiczne. Od jednego z ministrów słyszymy: – 25 proc. eksportu Białorusi trafia do Unii Europejskiej. Możemy Łukaszence ten eksport skutecznie zablokować, np. zamykając przejścia graniczne. Będzie to kłopot również dla Rosji. Czy wtedy znajdą inne trasy? Tak, ale nie wydarzy się to natychmiast i będzie dla obu satrapów oznaczało spore koszty. Jeszcze większe, gdy dostaniemy wsparcie państw zachodnich. Skuteczna presja gospodarcza musi być skorelowana z nimi. I tego w tej chwili dotyczą rozmowy polskiego rządu.

Nasz rozmówca zwraca jednak uwagę na możliwe „skutki uboczne" takich działań: – Co będzie dalej, gdy zniszczymy Łukaszenkę gospodarczo? Czy to plan nasz, czy może kogoś innego – Moskwy? Wyobrażam sobie scenariusz, w którym Rosjanie wchodzą na Białoruś i mówią: „My was wszystkich uratujemy. Europo, zakończymy tę migrację". I zakończą – na rok, półtora, może dwa. Dla nas długofalowy skutek będzie taki, że de facto wydłużymy sobie granicę z Rosją, Litwa znajdzie się w potrzasku, a naszym następnym zadaniem będzie umacnianie Przesmyku Suwalskiego.

Drugi scenariusz niosący zagrożenie dla Łukaszenki to kryzys humanitarny, który go obali. Być może nie docenił skali migracji z Bliskiego Wschodu i nie przypuszczał, że polska odpowiedź będzie tak zdecydowana. Bańka migracyjna na Białorusi pęcznieje. Widzieliśmy już sceny ich bitew z białoruskimi mundurowymi przy przejściu w Kuźnicy.

eprasa.pl d4ace5c9e2

Przybysze zaczynają się buntować. Spotkaliśmy się nawet z opiniami, że Łukaszenka może nie mieć już możliwości przerwania tego procederu. Jego służby zarabiają bowiem na tym tak potężne pieniądze, że mogą być skłonne go poświęcić, byle utrzymać to źródło dodatkowego dochodu.

Jak zachowa się Rosja? „Poważna, zwłaszcza niekontrolowana, eskalacja kryzysu, w tym w kierunku polsko-białoruskiego lokalnego konfliktu zbrojnego, rodzi dla niej ryzyka. Po pierwsze, Rosja najbardziej obawia się ewentualnej blokady granicy unijno-białoruskiej dla ruchu towarowego. Po drugie, znaczne zaostrzenie sankcji wobec Mińska niosłoby także negatywne konsekwencje dla FR, m.in. zwiększało koszty gospodarczego wsparcia Moskwy dla Białorusi. Mogłoby to uderzyć również w interesy firm rosyjskich. Po trzecie, pojawiłyby się prawdopodobnie dodatkowe ryzyka polityczne dla uruchomienia gazociągu Nord Stream 2, co stanowi doraźny priorytet Kremla. Po czwarte, mogłoby to utrudnić dialog w sferach politycznej i bezpieczeństwa rozpoczęty pomiędzy administracją Joego Bidena w USA i Rosją w sytuacji, gdy Moskwa – jak się wydaje – ma pewne nadzieje, że przyniesie on jej korzyści". To fragment analizy Piotra Żochowskiego i Marka Menkiszaka z Ośrodka Studiów Wschodnich. Jej autorzy przypominają, że wsparcie Kremla dla Łukaszenki nie jest całkowicie bezwarunkowe. „Moskwa nie chce bowiem urzeczywistnienia się scenariusza, w którym kryzys migracyjny na Białorusi zagrozi bezpośredniemu bezpieczeństwu jej samej, a zwłaszcza doprowadzi do prób powrotu migrantów do krajów pochodzenia poprzez terytorium rosyjskie, gdyż mogłoby to rodzić napięcia społeczne. W związku z tym oczekuje od Białorusi pełnej kontroli ruchów migrantów przez jej służby".

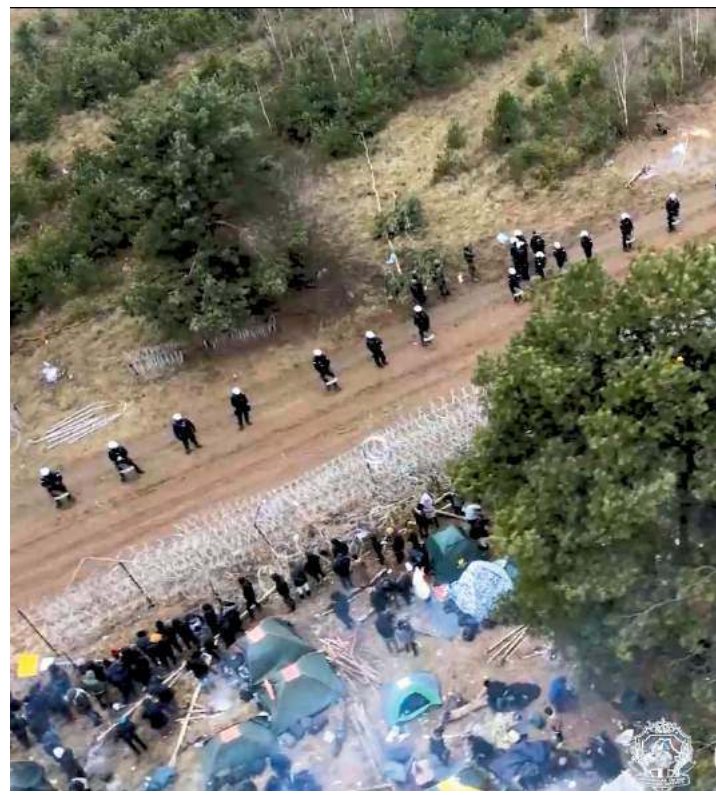
Na razie Rosja sprawia wrażenie, że w pełni wspiera Łukaszenkę. Szef rosyjskiej dyplomacji o wywołanie kryzysu migracyjnego oskarżył Unię Europejską i zaproponował, by Wspólnota po prostu... zapłaciła Białorusi, jak stało się to przed kilkoma laty w przypadku Turcji. Rzeczniczka MSZ w Moskwie jak zwykle buńczucznie oświadczyła, że Polska powinna przyjąć tylu migrantów, ilu wysłała żołnierzy do Iraku.

W tym samym czasie – jak odnotował w portalu wPolityce.pl ekspert ds. wschodnich Marek Budzisz – pod Kazaniem w Tatarstanie odbywały się ćwiczenia „sił pokojowych" Rosji, Białorusi i czterech innych państw byłego ZSRR. Plan ćwiczeń przewidywał „planowanie i prowadzenie operacji pokojowych, wspólne działania na rzecz organizacji obozu dla uchodźców i jego ochrony, eskortowanie konwojów z ładunkiem humanitarnym, a także pełnienie służby na punktach kontrolnych". Łatwo przewidzieć, jaki może być kolejny krok Moskwy i Mińska nad Bugiem: wielkie obozy migrantów „zabezpieczanych" przez wojska rosyjskie.

Tuż przed zamknięciem tego numeru „Sieci" pojawiła się informacja, że Łukaszenka oficjalnie poprosił Putina o przysłanie na granicę z Polską rosyjskich wojsk.

WOJNA PROPAGANDOWA

Oba wrogie nam państwa bardzo aktywnie prowadzą wojnę w mediach. Białoruski tyran udaje ofiarę, twierdząc, że nasz kraj „bezczelnie, bez uprzedzenia" skoncentrował na pograniczu nawet wojska pancerne, dlatego on musi się bronić. Sięga nawet po bzdury o rzekomych próbach przerzutu migrantom ze strony polskiej broni „z Donbasu". Wschodnia propaganda próbuje przedstawiać agresję jako jakiś „konflikt polsko-białoruski", w którym rząd w Warszawie łamie prawo międzynarodowe i niemalże torturuje „uchodźców".



Jak poinformował analityk z Uniwersytetu Jagiellońskiego Michał Marek, w rosyjskim serwisie społecznościowym Telegram pojawił się profil publikujący dane polskich funkcjonariuszy Straży Granicznej, przypisując im odpowiedzialność za wyimaginowane „zbrodnie" na migrantach. W białoruskiej telewizji zaś jeden z prezenterów groził nam i obrażał: „Polacy, igracie z ogniem. [...] Pszeki, uspokójcie się. Ameryka nie będzie za was walczyć. Zapomnieliście o swojej historii [...] Niczego was nie nauczył 1939? Nie macie szans, Pszeki! Jeśli nie przemawiają do was łzy dzieci, to przemówią bombowce Tu-22M3 sił powietrzno-kosmicznych Federacji Rosyjskiej. Możecie już wyrzucać swój NATO-wski złom. Uciekajcie!". Pszek to pogardliwe rosyjskie określenie Polaka, odwołujące się do brzmienia naszego języka.

W mediach rosyjskich i białoruskich epatuje się obrazkami dzieci i kobiet, rzekomo dowodzącymi bezduszności polskich władz. Podobną narrację uprawia szczególnie popularna w krajach arabskich telewizja Al Jazeera. Nawet część zachodnich stacji – jak CNN czy Euronews – potrafi wykrzywiać obraz kryzysu, akcentując kwestie humanitarne, a zapominając o jego clou – hybrydowym ataku Białorusi, precyzyjnie zaplanowanym i zorganizowanym przez tamtejsze KGB.

eprasa.pl d4ace5c9e2



Skądś to znamy? Niestety tak, niektóre polskie redakcje nie porzuciły podobnego tonu i powtarzają kłamstwa o łamaniu prawa przez nasze służby i domagają się wpuszczania do naszego kraju migrantów atakujących granicę.

Przed Polską wyjątkowo trudne zadanie, bo gdy już wydawało się, że 8 listopada wraz ze szturmem na granicę przyjdzie powszechne otrzeźwienie, sprzedające najwięcej egzemplarzy spośród tygodników opinii pismo „Polityka" postanowiło na okładce numeru wychodzącego w przededniu Święta Niepodległości brzydko zabawić się polskim godłem.

Trudno się bronić przed agresją z zewnątrz, jeśli agresor może liczyć na pomocników w atakowanym kraju.

NASZ EGZAMIN

– Wiele osób nie zdaje sobie sprawy, na jakim wirażu historii jesteśmy. Nie wierzę w to, że zostanie zajęta Warszawa czy nawet Łomża, ale w to, że będziemy mieli permanentny, zaogniony konflikt graniczny, już tak – mówi nam jeden ze współpracowników premiera.

Pewną nadzieję na najbliższą przyszłość daje zmiana języka sporej części opozycji. Czy będzie trwała, czy to tylko emocjonalna reakcja po scenach na granicy przed tygodniem? – Zrozumieli, że to będzie dla nich totalna klęska, jeśli teraz zaatakują. Dlatego w czasie debaty głos zabrał Tomasz Siemoniak. Według mnie to było dobre wystąpienie – merytoryczne. Mówił o różnych rozwiązaniach, które PO teoretycznie proponuje, zgadzał się z diagnozą rządu, choć nie zgadzał się ze sposobami radzenia sobie z kryzysem. Wydźwięk był taki, że to Europa musi nam dać gwarancje bezpieczeństwa. A czy w 1939 r. to nie dwa najsilniejsze państwa europejskie dały nam gwarancje, a w momencie próby nie przyszły z pomocą? Dziś też tak będzie, jeśli sami nie będziemy wystarczająco silni – mówi nam poseł z władz klubu PiS.

Na razie Platforma wykonała nagły zwrot, deklaruje wsparcie dla rządu w obronie granic (choć dotychczas głosowała inaczej), a Donald Tusk zamiast głupkowatych tweetów napisał sensowny list do przywódców unijnych (dopiero po wizycie w Berlinie). Sprawa granicy była szeroko omawiana na posiedzeniu klubu PO. – Marszałek Borusewicz ostro domagał się, by nie dopuszczać do głosu harcowników, którzy nie rozumieją powagi sytuacji. Mam nadzieję, że szefostwo rzeczywiście ich powstrzyma, bo kompromitują nie tylko siebie, ale i nas wszystkich – martwi się w rozmowie z tygodnikiem „Sieci" posłanka Platformy.

> Wiele osób nie zdaje sobie sprawy, na jakim wirażu historii jesteśmy. Nie wierzę w to, że zostanie zajęta Warszawa czy nawet Łomża, ale w to, że będziemy mieli permanentny, zaogniony konflikt graniczny – mówi współpracownik premiera

Poważny egzamin z patriotyzmu ma do zdania każdy z nas. Nawet najlepszy plan rządu i najsilniejsze wsparcie międzynarodowe nie wystarczą. Podstawową potrzebą jest jedność wszystkich Polaków, którzy staną murem za niepodległością ojczyzny, wesprą żołnierzy i funkcjonariuszy chroniących granicy, zrozumieją, że rząd broni elementarnych interesów narodowych i nie będą ulegać propagandzie wschodnich reżimów.

Nie wiemy, czy ostatecznym celem operacji inspirowanej – czy przejętej – przez Putina jest Białoruś, Ukraina, państwa bałtyckie, czy może nasz kraj. Wiemy za to jeszcze lepiej niż dotychczas, że śp. prezydent Lech Kaczyński w 2008 r. w Tbilisi doskonale odczytał ówczesne sygnały neoimperialnej polityki Kremla. Jeśli ktoś miał co do tego jakiekolwiek wątpliwości, dziś powinien je porzucić.

Przed 13 laty polski prezydent powiedział Gruzinom i całemu światu: „Po raz pierwszy od dłuższego czasu nasi sąsiedzi z północy, dla nas także z północy, ze wschodu, pokazali twarz, którą znamy od setek lat. Ci sąsiedzi uważają, że narody wokół nich powinny im podlegać. My mówimy: nie! Ten kraj to Rosja. Ten kraj uważa, że dawne czasy upadłego, niecałe 20 lat temu, imperium wracają. Że znów dominacja będzie cechą tego regionu. Otóż nie będzie! Te czasy się skończyły raz na zawsze. Nie na 20, 30 czy 50 lat!".

eprasa.pl d4ace5c9e2



Dlaczego Łukaszenka to robi? Bez uważnego i spokojnego namysłu nad tym pytaniem żadną miarą nie będzie można sformułować właściwej polskiej odpowiedzi na akcję mińskiego tyrana

Odwet tyrana

eprasa.pl d4ace5c9e2



JAN ROKITA

Dość łatwo szermować w takich razach pełną uniesienia frazeologią o „prawdziwej wojnie" (w co uwierzyły nawet ostro antyrządowe gazety, np. „Rzeczpospolita") i patriotycznym obowiązku obrony polskiej granicy. To oczywiście absolutne pryncypium, że skoro polski rząd zdecydował się na wybór taktyki siłowej blokady granicy dla nasyłanych przez Łukaszenkę imigrantów, nie należy czynić niczego, co skuteczność takiej blokady osłabia albo rujnuje. To jest bowiem wymóg lojalności wobec własnego kraju.

Jednak zarazem trzeba być świadomym, że na granicy z Białorusią nie mamy żadnej wojny i (Bogu dziękować) nic nie wskazuje, abyśmy ją mieli mieć w nieodległej przyszłości. Ale raczej mamy poważny kryzys polityczny, który na dodatek – jak wszystko dotychczas wskazuje – może się okazać trudny do rozwiązania na krótką metę, ciągnący się, przewlekły. Tak samo jak trudne do rozwiązania i nieustannie odnawiające się są już od sześciu lat podobne kryzysy na granicach Włoch, Grecji czy Hiszpanii. Jesteśmy niestety frontowym państwem Unii i NATO, „przedmurzem" (jak zwykle w historii), co nigdy nie jest położeniem geopolitycznie wygodnym. Płacimy za to i będziemy płacić w przyszłości jakąś cenę.

LOGIKA ODWETU

A skoro na naszej wschodniej granicy dzieje się polityka, a nie wojna, to polityka niemal nigdy nie jest bezalternatywna. Sześć lat temu, 4 września 2015 r., w sytuacji dość podobnej, acz nie takiej samej, węgierski premier Orbán i austriacki kanclerz Faymann podjęli decyzje odmienne niż obecnie Morawiecki. W obliczu zalewu imigrantami, przepuszczanymi swobodnie „szlakiem bałkańskim" przez Turcję, i grożącego obu krajom chaosu Orbán i Faymann podstawili setki autobusów, które przewiozły ponad 20 tys. maszerujących ludzi na granicę Bawarii, czyli tam, dokąd i tak zamierzali się udać. Erdoğan chciał wówczas wziąć odwet na Grecji, Niemczech oraz całej Unii Europejskiej za doznane wcześniej porażki i upokorzenia. Sam skłonny jestem sądzić, że dzisiejsze pragnienie odwetu na Polsce ze strony Łukaszenki jest bardziej dzikie i niepohamowane niż tamta cyniczna i kontrolowana akcja Erdoğana. A niebłaha różnica jest i taka, że Turcy istotnie, ze względów humanitarnych, przyjęli wcześniej setki tysięcy uciekinierów z Syrii, nie sprowadzali ich zaś specjalnie samolotami jako „nowej broni", tak jak czyni to teraz reżim białoruski.

Warto pamiętać, że bez odwetu nie ma polityki. Odwet jest najprostszą i najstarszą zasadą polityki, a nie biorą go tylko ci, którzy są tak słabi, że wziąć go nie są już w stanie. Nawiasem mówiąc, to jest ta najważniejsza przyczyna, dla której swego czasu Max Weber – świetny znawca polityki – dostrzegł w jej uprawianiu nieustanne ryzyko paktowania z diabłem, Machiavelli z naciskiem zaś podkreślał, że polityk musi bardziej kochać ojczyznę, niż pragnąć zbawienia swojej duszy.

Ze swego punktu widzenia Łukaszenka ma powody, aby brać dziś odwet na Polsce. Jeszcze w ub.r., w trakcie ludowej rewolty demokratycznej na Białorusi, Polska wdała się w licytację o to, który europejski rząd stanie na czele politycznej walki o obalenie Łukaszenki. Pamiętamy przecież owe sławne, wyciekłe na dodatek e-maile, jak ten, gdy Morawiecki gani swoich współpracowników, iż pozwalają Litwie na wybicie się na czoło tej akcji. „Dzisiaj wygląda to tak – pisał wtedy premier – że Litwa gra tutaj pierwsze skrzypce, co przy całym szacunku dla Litwy...". Morawiecki uważał, że to on sam winien być europejskim liderem walki z Łukaszenką, a jeden z wiceszefów MSZ przestrzegał nawet, iż rząd musi działać szybko, by nie zostać na tym polu „wyprzedzonym przez »Wyborczą« i posła Szczerbę".

Jedna rzecz to ta, czy wówczas była to kalkulacja słuszna. Nie ma żadnej wątpliwości, że Polska winna była wsparcie i solidarność zbuntowanym Białorusinom. Jednak logika zależności geopolitycznych winna była podpowiadać, że rolą Polski jest jak największa realna pomoc dla demokratów w Mińsku (pieniądze, materiały, cicha a skuteczna dyplomacja na Zachodzie etc.), nie zaś kreowanie się w roli lidera antyłukaszenkowskiego widowiska. Jak ktoś ma 400 km granicy z sąsiednią tyranią, a na dodatek tyran trzyma mu w garści zbiorowego zakładnika, czyli tysiące Polaków żyjących na Białorusi, to winien dwa razy się namyślić, nim cokolwiek w takiej sytuacji zrobi. Pech chciał, że jeszcze wszystkie polskie starania w tej materii obnażyły ujawnione „maile Dworczyka".

Zresztą wynika z nich, że to właśnie tylko sam minister Dworczyk, od którego afera mailowa wzięła swoją nazwę, nalegał wówczas, aby „we wszystkich działaniach na temat Białorusi zachować wyważony ton". Raczej nie posłuchano go wtedy.

Wymyślona przez Łukaszenkę inwazja imigrantów jest odwetem za akcję, której celem było pozbawienie go władzy. Podobnie jak coraz mocniejsze represje wobec społeczności polskiej na Białorusi, której los będzie w najbliższym czasie opłakany. Walka z polszczyzną przypominająca coraz bardziej czasy Apuchtinowskie (znane z „Syzyfowych prac") to dopiero początek. Miński tyran trzyma przecież w zanadrzu dobrze znaną na tych terenach sowiecką metodę zbiorowych wysiedleń.

RYKOSZETEM W BERLIN

Szef rosyjskiej dyplomacji Ławrow mówi teraz, że co do imigrantów to Białoruś zachowuje się bardzo odpowiedzialnie, sam Putin zaś odsyła telefonującą doń w tej sprawie Merkel do... suwerennego Łukaszenki. To bodaj ostatnia akcja Merkel podjęta w interesie Polski (i oczywiście Niemiec, te interesy teraz idą wyjątkowo zgodnie), a zarazem jej jeszcze jedna i chyba ostatnia porażka w kontaktach z władcą Kremla.

Wbrew temu, co się sądzi w Polsce, to nie Kreml ani nie rosyjska FSB wymyśliły akcję masowego ściągania ludzi z Azji i Afryki do Mińska i wysyłania ich na

Fot. State TV and Radio Company of Belarus

eprasa.pl d4ace5c9e2

Polskę. Ale Moskwa wspiera i politycznie ochrania zemstę Łukaszenki, widząc swój oczywisty geopolityczny interes w uczynieniu ze swego (niepokornego jeszcze nie tak dawno) wasala głównego wroga Polski i całego Zachodu. Niejako swego nieformalnego „plenipotenta" do brudnej roboty, do której sam Kreml wobec Unii nie byłby gotów się zabrać.

Na Kremlu dobrze rozumieją, że choć widowiskowo jest to dziś akcja przeciw Polsce, to w sensie głębokich interesów politycznych kieruje się ona przecież przeciw Niemcom. I dlatego właśnie Rosja ani sama by takiej akcji nie podjęła, ani w żadnym razie nie weźmie za nią publicznie politycznej odpowiedzialności.

Ludzie, którzy z coraz większą agresją taranują polską granicę, czynią to przecież nie dlatego, że chcą się dostać do Polski. Chcą do Niemiec, a Polska przypadkowo leży na ich drodze. Większość z nich (bo zapewne zostały im jeszcze jakieś pieniądze) zapłaciłaby ochoczo Morawieckiemu za bilet, o ile ów chciałby tylko ich pokojowo przetransportować z Kuźnicy do Świecka. W istocie przecież bronimy przed imigrantami „wspólnej" (jak mówi szef niemieckiego MSW Seehofer), czyli w tym przypadku niemieckiej granicy. Tutaj tkwi właśnie najistotniejsza polityczna różnica pomiędzy wrześniem 2015 r. a listopadem 2021 r.: są nią Niemcy.

Sześć lat temu Merkel ogłosiła sławne „Willkommen!" dla imigrantów. Dziś rząd niemiecki, ustami Seehofera, mówi: „Nie wolno nam krytykować Polski za ochronę wspólnej granicy". Wrogi polskiemu rządowi szef EPP w Parlamencie Europejskim Weber pisze zaś specjalny artykuł dla francuskiej prasy, aby zaapelować o pomoc Polsce w budowie muru granicznego. I czyni to na przekór swej rodaczce von der Leyen, która dopiero co kategorycznie odrzuciła taką ideę, argumentując, iż „Unia nigdy nie będzie budować murów". Von der Leyen wkrótce będzie musiała pewnie zjeść swoje słowa, ale my otrzymujemy niestety kolejny dowód na to, iż szefowa Komisji Europejskiej nie jest nazbyt przenikliwym myślowo politykiem.

Atakując imigrantami polską granicę, Łukaszenka rykoszetem uderzył w podstawowe interesy niemieckie. Berlin nie jest gotów przyjąć kolejnej fali imigrantów, tym razem ze „szlaku wschodniego". I w Mińsku, i w Moskwie dobrze o tym wiedzą. Liczą więc na to, że to Berlin będzie musiał w końcu jakoś rozwiązać ten problem, tak jak niegdyś Merkel, z narażeniem własnego autorytetu, pieniędzmi „załatwiła" problem szlaku bałkańskiego, przekupując Erdoğana miliardami euro. Ławrow mówi o tym ostatnio otwarcie: „Zapłaćcie Łukaszence za niewysyłanie imigrantów".

Atakując imigrantami polską granicę, Łukaszenka rykoszetem uderzył w interesy niemieckie. Berlin nie jest gotów na przyjęcie kolejnej fali imigrantów. I w Mińsku, i w Moskwie dobrze o tym wiedzą. Liczą więc na to, że to Berlin będzie musiał w końcu jakoś rozwiązać ten problem

Jednak w przypadku mińskiego tyrana unijne przekupstwo nie wchodzi dziś w grę. Unia z trudem mogła niegdyś przełknąć opłacanie Erdoğana, ale Turcja przynajmniej naprawdę miała i ma nadal na głowie setki tysięcy autentycznych uchodźców. Gra Łukaszenki przekracza miarę perfidii, którą Niemcy byliby w stanie znieść. A poza tym już za parę dni nie będzie pragmatycznej Merkel, politykę zagraniczną w Berlinie na mocy ustaleń koalicyjnych mają zaś przejąć Zieloni. Przyszła szefowa niemieckiej dyplomacji pani Baerbock jest kompletnie niezdolna do dwuznacznych „dealów", a w dyplomacji uznaje zasadę pryncypialności. Zapewne trzeba będzie sporo czasu, aby realna polityka nauczyła ją roztropności.

ŁUKASZENKA W PUŁAPCE

Jeśli zatem rosnąca na naszych oczach oś polsko-niemiecka w sprawie blokady wschodniej granicy Unii się utrzyma, Łukaszenka może się znaleźć w pułapce. I taki chyba jest dziś roztropny politycznie cel działań polskiego rządu. To jednak oznacza, że tyran podejmie jeszcze kolejne próby sprawdzenia odporności całej unijnej granicy w różnych punktach. Przypomnijmy: Białoruś ma ponad 400 km granicy z Polską, ponad 600 km z Litwą, a jeszcze ponad 1000 km z Ukrainą, co w razie ostrego kryzysu z natłokiem migrantów w Mińsku też może się stać dla tyrana jakimś pomysłem do wypróbowania. Zmuszenie Polski i Niemiec do wznoszenia muru na granicy między Unią i Ukrainą byłoby zapewne szczególnym powodem do radości na Kremlu. Więc Łukaszenka za jakiś czas może być popychany w tę stronę, nawet jeśli konflikt z Kijowem byłby dramatem dla białoruskiej gospodarki.

Tyle tylko, że taki korzystny w sumie dla Polski scenariusz implikuje właśnie konflikt przewlekły, pozycyjny, zaostrzający się na przemian i słabnący, a przede wszystkim trudny do opanowania na tak rozległych terytorialnie wschodnich kresach. Może on oznaczać również jakieś krótkie spięcia zbrojne, czego nie wolno demonizować ani nazywać od razu „prawdziwą wojną". Prawdziwej wojny na wschodzie bowiem nie będzie, tak długo przynajmniej, jak na Kremlu siedzi sprytny, bezwzględny, ale bardzo rozsądny gracz, czyli Putin. Co będzie po nim, to tylko Bóg raczy wiedzieć.

Dla PiS taki przewlekły konflikt skutkowałby nieuchronnym przyszłym zwycięstwem wyborczym i utrzymaniem władzy. Dla polskiej opozycji – koniecznością całkowitego przemodelowania dotychczasowej politycznej strategii. Dla kraju – ciągłym niepokojem, powracającymi w coraz to nowszych wersjach stanami wyjątkowymi, niedobrą społecznie atmosferą „oblężonej twierdzy". No i przede wszystkim byłby to długi i ciężki sprawdzian dla służb zmilitaryzowanych, któremu w rozwleczonym czasie niekoniecznie musiałyby sprostać. Jednak w dzisiejszej sytuacji międzynarodowej ani Polska, ani Niemcy nie mają lepszego scenariusza odpowiedzi na odwet mińskiego tyrana.

eprasa.pl d4ace5c9e2

ОПЕРАЦИЯ „ЗАМОК"

Operacja „Śluza"

Rosyjskie media od początku kryzysu na polsko-białoruskiej granicy oskarżają Warszawę o wywołanie katastrofy humanitarnej. Skoro UE przyjęła w ciągu kilku ostatnich lat 1,5 mln uchodźców, to wpuszczenie do Polski kilku tysięcy migrantów obecnie nie powinno być problemem. Ale polski nacjonalistyczny rząd się uparł, wbrew unijnym obrońcom praw człowieka, i krzywdzi na swojej granicy małe dzieci i matki w ciąży, nie wpuszczając ich na swoje terytorium

Początkowo w rosyjskich mediach nikt głęboko nie analizował, skąd nagle pojawiły się grupy uchodźców na wschodniej flance Unii Europejskiej. Późniejsze tłumaczenia były proste: na Bliskim Wschodzie zaczęli kupować bilety lotnicze do Mińska, chcieli zwiedzać, więc dostali wizy turystyczne i przyjechali. A Białoruś przestrzega standardów praw człowieka (których cynicznie nie przestrzega dziś Zachód) dotyczących wolności osobistej i możliwości przemieszczania się. Łukaszenka, człek światły i praworządny, nie żaden tyran, musiał więc wpuścić wszystkich i nie miał prawa się wtrącać w kształt ruchu turystycznego. O tym, że w Polsce dobrze wiadomo, że to wszystko jest zaplanowaną operacją białoruskiego KGB o kryptonimie „Śluza" nie może być w tamtych mediach mowy.



PIOTR GONTARCZYK

Kiedy jeden z ukraińskich uczestników wieczornego talk-show na głównym rosyjskim kanale informacyjnym wspomniał, że ta historia o turystyce to hucpa, że białoruskie służby musiały dobrze wiedzieć o fali uciekinierów z Bliskiego Wschodu i mogły temu przeciwdziałać, jeden z najbardziej bezwzględnych cyngli Kremla, prowadzący wieczorny program autorski w wymiarze dwóch i pół godziny (!), Władimir Sołowiow pokazał mu marsową minę, jakby pytając: „Czyżby przedmówca był za zlikwidowaniem światowego ruchu turystycznego?".

Niektórzy uczestnicy tych programów próbowali podnosić, że to wszystko jest nielegalne i władze Białorusi dobrze wiedzą, po co ci ludzie przyjeżdżają, łamiąc w pierwszej kolejności prawo białoruskie. Bo najpierw przebywają w zamkniętej strefie przygranicznej, a potem nielegalnie przekraczają granice tego kraju. Autor tych uwag w popołudniowym programie „60 minut" został zakrzyczany, a w wieczornym programie Sołowiowa rzecz już w sposób przygotowany zbagatelizowano: milion uchodźców, którzy dostali się do Europy przez ostatnie lata, też był „nielegalny", więc o co chodzi. O tym, że nie o status uchodźców chodzi, tylko o rolę Białorusi i białoruskich służb w tym procederze, nikt już tam nie mówił.

eprasa.pl d4ace5c9e2

ZAPRASZALIŚCIE I BOMBARDOWALIŚCIE, TO MACIE

Od początku kryzysu rosyjska telewizja pokazywała wystąpienie Angeli Merkel zapraszającej uchodźców, jej zdjęcia, jak sobie robi selfie z imigrantami. Ale też jej gniewne wystąpienia z wypowiedziami pod adresem sąsiadów, którzy mają lodowate serca i chcieliby się zajmować „separowaniem ludzi". Pojawiła się też informacja, że nacjonalistyczna Polska od początku była przeciwna przyjmowaniu uchodźców i odniesienie się do wypowiedzi ówczesnego szefa Rady Europejskiej Donalda Tuska, który wobec odmowy przyjmowania uchodźców groził Polsce nieuchronnymi surowymi karami. Rosjanie puszczają to i komentują: „Chcieliście, zapraszaliście, to o co wam teraz chodzi?".

Potem w tamtejszych mediach pojawił się argument, że ta fala emigracji to także wina Polski, która uczestniczyła razem z USA w interwencji w Iraku i Afganistanie. Nie mam wątpliwości, że najpierw usłyszałem ten argument z ust polskiego politologa wypowiadającego się w jednej z komercyjnych stacji, a dopiero potem w rosyjskiej telewizji. Tu został on tylko wzbogacony o odpowiedzialność Polaków za bombardowania domów i niszczenia infrastruktury tych krajów, sprowadzając je do epoki kamienia łupanego (wiemy przecież, że Polacy niczego nie niszczyli ani niczego nie bombardowali).

Jednak w tej narracji rosyjskich mediów o praworządnym Łukaszence, który jako ostatni (w przeciwieństwie do UE) stoi na straży praw człowieka i swobody turystyki, pojawiają się czasem rysy. Oficjalnie o zemście na Polsce za stosunek do jego reżimu czy jakichś politycznych celach Mińska mowy być tu nie może. Ale w obszernym telewizyjnym wywiadzie z Łukaszenką dziennikarz Igor Korotczenko zapytał o loty białoruskich linii Belavia, które przywożą uchodźców do Mińska z Bliskiego Wschodu. Cóż – tłumaczył dyktator – w ramach sankcji zakazali maszynom Belavii latać do UE, to latają, gdzie mogą, i wożą, kogo chcą. A ponadto Białoruś, też na skutek sankcji, nie ma pieniędzy, by się tymi uchodźcami zajmować.

A w innym programie ktoś złośliwie rzuca: Bojkotują Łukaszenkę, to niech sobie teraz dzwonią w sprawie uchodźców do Cichanouskiej. Komunikat jest więc bardzo jasny: Mińsk chce uznania Łukaszenki, cofnięcia sankcji i pieniędzy.

CHULIGAŃSKA POLSKA

Prawicowy „reżim" w Polsce ma tak złą prasę w UE, a europejskie instytucje dodatkowo podgrzane przez różnej maści oburzonych „prawozaszczitników" (obrońców praw człowieka), ale też chętnie pokazywanych w rosyjskich mediach przedstawicieli polskiej opozycji, że sukces wydawał się w zasięgu ręki. Polskie władze miały zostać wdeptane w ziemię i zmuszone do przyjęcia pierwszej fali uchodźców. A potem drugiej i każdej kolejnej, na których białoruskie KGB będzie zarabiać krocie. Tyle że Polska stanęła okoniem. No i wywołała humanitarny kryzys na granicy, za który ponosi, jak twierdzi większość jej przeciwników, odpowiedzialność. A przecież Europa przyjęła ostatnio 1,5 mln uchodźców, więc te 1,5 tys. teraz nie powinno być żadnym problemem.

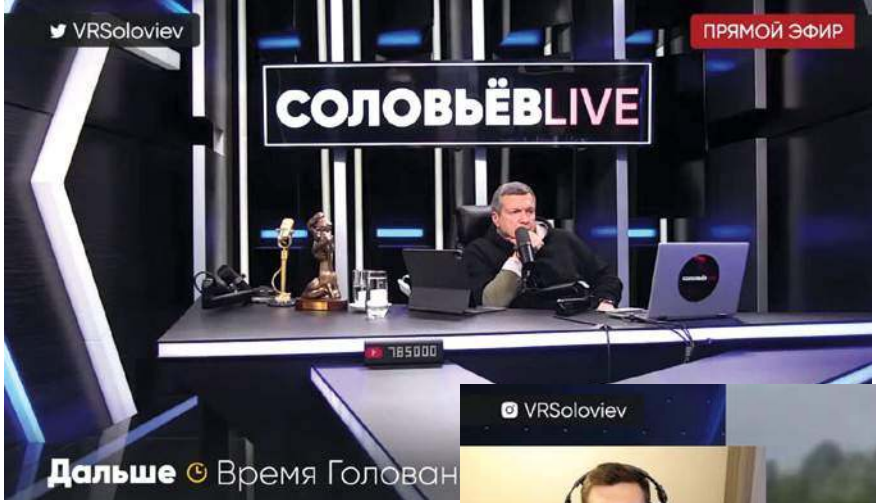
Rosyjskie media są tą polską prowokacją z jednej strony wzburzone, a z drugiej poruszone strasznym losem uchodźców i tymi lufami karabinów wymierzonymi przez Polaków w biedne dzieci. „Jadą" po polskich mundurowych tzw. Frasyniukiem, porównując polskie służby mundurowe do psów, które pilnują stworzonego przez Polskę na granicy obozu koncentracyjnego. Ale czego można się po nich spodziewać? To zawsze był kraj rusofobii i politycznych chuliganów, którzy chcieli budować wielką Polskę na Wschodzie i od „morza do morza". „Chwilowo zajęte" – żartuje Władimir Sołowiow, wywołując w studiu rechot. Kremlowski cyngiel dodaje coś jeszcze o przedwojennych planach podboju przez Polskę Ukrainy, masowych prowokacjach urządzanych w 1939 r. na granicy Związku Radzieckiego (!?) oraz o tym, że w latach 20. Polska zafundowała Ukraińcom tragedię na miarę „głodu" na Ukrainie (!).

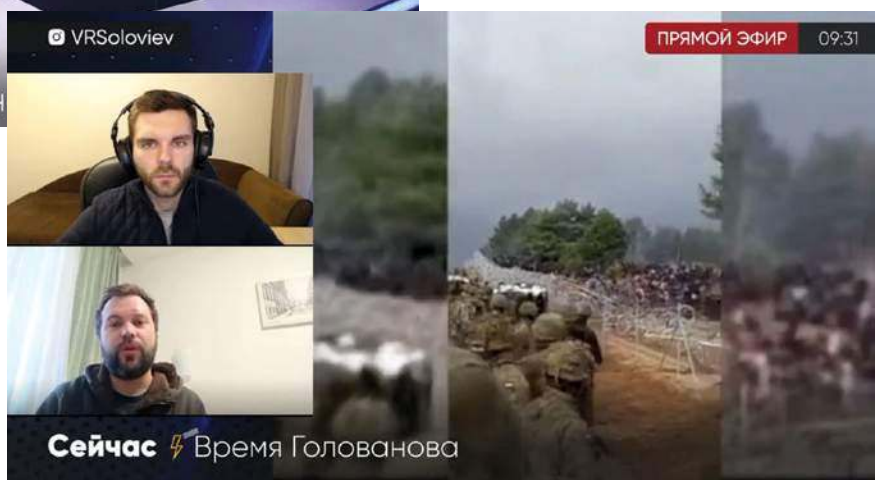
Stek bredni i wyzwisk pod adresem Polski przeplata się z opowieściami o biednych ofiarach Polaków: poranionych i atakowanych gazem dzieciach, zmarzniętych kobietach w ciąży tuż przed porodem albo z niemowlętami na rękach, chorych i kaszlących, leżących pod drzewami biedakach. Pojawiają się znane w Polsce migawki z wywiadu małego chłopca, u którego wcześniej sztucznie wywoływano łzy za pomocą dymu papierosowego, z tym że scena jest odpowiednio ocenzurowana. Jest też filmowy dowód na to, że Polacy strzelają nad głowami z broni maszynowej (w rzeczywistości to zamazany film wcześniej upubliczniony przez Polskę, a strzelają białoruscy pogranicznicy). Własnych, możliwych do „właściwego wykorzystania" materiałów z polskiej strony granicy rosyjskie telewizje nie mają. Ale rosyjska komentatorka, znajdująca się pod Kuźnicą, Anastazja Sachowska przekazuje straszne wieści na temat autorytarnej Polski, w której, nie tak jak w krajach praworządnych, jak Białoruś i Rosja, dziennikarze nie są wpuszczani do przygranicznej zony i ona nie może zrobić materiału. Dodatkowo dziennikarka boi się o siebie, bo w przypadku naruszenia zakazu wjazdu grozi jej zatrzymanie, deportacja „i nie wiadomo co jeszcze".

Dlaczego Polska zorganizowała ten stan humanitarnej katastrofy? Pierwszy powód jest ten, co zawsze: rusofobia i chęć przypodobania się USA, które z radością przyjmą wszystko, co uderza w Rosję i jej sojusznika, Białoruś. Drugi cel polskiego reżimu to chęć zorganizowania stanu zagrożenia, żeby „przykryć" gospodarcze kłopoty z inflacją. Innym celem Warszawy jest chęć wymuszenia na Brukseli pieniędzy: tych zatrzymanych ze względu na „brak praworządności" i kolejnych na mur i „obronę Europy". No i za te działania Polski muszą płacić kobiety i dzieci, takie jak ten chłopczyk z Irbilu, który ma osiem lat i amputowane obie nóżki. A Polacy nie dają biednym dzieciom nawet wody.

Jeden z dziennikarzy i wojskowych specjalistów występujący w programie „60 minut" Olgi Skabajewej ma jednak inną teorię na temat genezy całej tragedii. Otóż operację przerzutu uchodźców zorganizowały amerykańskie służby wywiadowcze. A po co? Żeby straszyć Europę Rosją i Białorusią, a potem przesunąć kolejne wojska na wschodnią flankę NATO. Tak towarzysze, nie oszukujmy się, wróg stoi u bram. Zaraz napadnie na „matiuszkę" Rosję.

eprasa.pl d4ace5c9e2





Show „Wieczór z Władimirem Sołowiowem" jest transmitowany na kilku kanałach rosyjskiej telewizji. Jego prowadzący to bezwzględny cyngiel propagandy Kremla. To właśnie w tym programie Polska jest szkalowana regularnie

OBAWY I NADZIEJE

Ponieważ rosyjskie programy publicystyczne to system naczyń połączonych i ręcznie sterowanych, można próbować wyczytać z nich sposób myślenia Kremla oraz przekaz podprogowy: jego oczekiwania, obawy, brane pod uwagę warianty rozwoju sytuacji.

Wprawdzie sam Łukaszenka gotów jest walczyć na granicy „do ostatniego uchodźcy", ale narasta świadomość, że nawet w rosyjskiej telewizji nie da się „przekręcić" faktu, że będą oni ginęli pod jurysdykcją władz Białorusi i na jej terytorium. A to będzie miało konsekwencje polityczne i wizerunkowe. Padają więc w programach różne propozycje szybkiego rozwiązania kryzysu, naturalnie pozwalające osiągnąć cele założone przez Mińsk na początku ataku. Niezbędnym warunkiem rozwiązania problemu ma być nawiązanie kontaktów z Aleksandrem Łukaszenką i szybkie wypłacenie Białorusi pieniędzy na poprawienie losu uchodźców. Doraźnie mogłoby to być 500 mln dol., choć wspomniany już Korotczenko dodał, że docelowo powinno to być 2 mld dol. Końcowym rozwiązaniem mogłoby być stworzenie „humanitarnego korytarza" przez Polskę i relokacja uchodźców do celu ich podróży, czyli Niemiec.

W czasie jednego z programów padło pytanie, co się stanie, jeśli Polacy się nie złamią i uchodźcy zaczną umierać. Władimir Sołowiow chyba zapomniał na chwilę, że tu ma być o humanitaryzmie, a nie o wojnie hybrydowej, bo odpowiedział szybko: „Wypchnie się ich w kierunku Ukrainy, bo tam przecież żadnej granicy nie ma". Po krótkiej dyskusji w studiu (i zapewne po stosownej instrukcji przez mikrofon w uchu) szczery dziennikarz wrócił do tematu „wypychania" i powiedział, że oczywiście żartował.

Europa nie uderzyła w Polskę, przeciwnie, czołowi przywódcy UE stanęli po stronie Warszawy, żądając zaprzestania hybrydowego ataku i niecnego posługiwania się uchodźcami. Oprócz mądrej i skutecznej polityki rządu Mateusza Morawieckiego do ewidentnej porażki rosyjsko-białoruskich działań przyczyniło się wiele błędów poczynionych przez samego Łukaszenkę. Mógł chociażby dużo skuteczniej zaatakować samą Polskę, a nie także Łotwę i Litwę, koncertowo pokazując wszystkim, że problemem nie jest Polska, tylko działania Białorusi.

Tak czy siak, Polska wygrała tę fazę potyczki w przestrzeni międzynarodowej, a nawet w Polsce wyraźnie przycichli pokazywani wcześniej w rosyjskich mediach politycy opozycji i „prawozaszczitniki". Doszło nawet do tego, że rosyjskie programy publicystyczne musiały pokazać i skomentować konferencje prasowe premiera Morawieckiego, a także jego ministrów Mariusza Kamińskiego i Mariusza Błaszczaka, w których padły oskarżenia o bezpośrednie kierowanie operacją przez Władimira Putina. Zarzuty zostały wyśmiane. Wyjątek stanowił jeden z rosyjskich politologów, który odwołał się do rygorów rozumu i żelaznej logiki: tak wybitny mąż stanu jak Władimirowicz bez wątpienia przewidziałby te dramatyczne sceny, które teraz dzieją się na granicy, więc gdyby ktoś mu zaproponował taką „wojnę hybrydową" za pomocą uchodźców, o której mówią Polacy, to z pewnością by ją odrzucił.

Ale w tej wojnie Białoruś i rosyjskie media na razie nie składają broni: dziennikarze i uczestnicy politycznych programów publicystycznych zapowiadają liczne interwencje w sprawie Polski, choćby w Organizacji Narodów Zjednoczonych oraz w krajach leżących dalej od granicy UE, nastawionych mniej „rusofobicznie" niż Polska, z którymi można się konstruktywnie dogadać. Można się tylko domyślać, że chodzi o Niemcy. Uchodźcom i „obrońcom praw człowieka" podpowiadają, że można spróbować „ugryźć" Polskę pozwami i w konsekwencji wyrokami Międzynarodowego Trybunału Praw Człowieka. „Oczekują" też zajęcia stanowiska przez wymienianych z nazwisk wybitnych europejskich filozofów i etyków, czekają też na głos „rimskiego Papy" (papieża). Może jednak uda się znaleźć jakieś narzędzie do złamania oporu Warszawy. Wyraźnie jednak nic w najbliższych dniach nie da się zrobić z tymi „polskimi chuliganami".

Autor jest pracownikiem IPN. Artykuł wyraża jego osobiste poglądy.

eprasa.pl d4ace5c9e2

Korwin: polski problem, rosyjska frajda

W ostatnich dniach, zaraz po szturmie imigrantów na polską granicę 8 listopada, internauci przypomnieli wypowiedź Janusza Korwin-Mikkego z połowy października. „Zobaczycie, co się stanie 8 listopada. Przez was!" – mówił w programie „Woronicza 17". I stało się. Pytanie tylko, o co chodziło Korwinowi?



JAKUB AUGUSTYN MACIEJEWSKI

W porannym programie TVP Info, prowadzonym przez Michała Rachonia, wybuchła gorąca dyskusja na temat Białorusi. Lider Konfederacji chwalił Łukaszenkę i przekonywał, że Polska powinna go wspierać, a tymczasem na zlecenie Amerykanów destabilizowała wschodniego sąsiada. Polityk nerwowo wypowiadał się o Rosji i Białorusi. – Teraz, zobaczy pan [Związek Białorusi i Rosji] zadziała de facto i rzeczywiście będziemy mieli wojska rosyjskie na granicy Polski, przez was, zamiast popierać Łukaszenkę... – gorączkował się poseł i zarzucał zarówno PiS, jak i Platformie Obywatelskiej: – To wywiad polski dał agentów polskich i przerobił Związek Polaków na Białorusi... – tu inni goście programu przerwali mu wypowiedź.

Fragment, w którym Korwin powiedział o 8 listopada, padł później, na podsumowanie wcześniejszej przestrogi. Trudno się dziwić internautom, że gdy zobaczyli tysiące przybyszy z Bliskiego Wschodu idących pod rosyjsko-białoruską eskortą w stronę polskiej granicy, skojarzyli to od razu z wypowiedzią lidera Konfederacji. Tymczasem z całości rozmowy nie wynika, że polityk przepowiadał tajemnicze wydarzenie. Gość Rachonia konkretnie wspominał o tym, że tego dnia „naprawdę powstanie" Związek Białorusi i Rosji, że wojska rosyjskie będziemy mieli nad granicą. – ZBIR 8 listopada powstanie naprawdę – rzucił.

Jak to zwykle u wyrazistego polityka bywa, wokół wyrwanego z kontekstu zdania zrobiono medialny szum. Wielu wyborców Korwina zachwyciło się jego mądrością, a wielu przeciwników znów skojarzyło posła z prorosyjskimi sympatiami. Ale problem z Korwinem polega na czym innym – pod kostiumem politycznego ekscentryka i bezkompromisowego wizjonera kryją się tezy rozgrzeszające zbrodnie rosyjskiego imperium.

GWIAZDA ROSYJSKICH MEDIÓW

Na początek warto wspomnieć, że założyciel dawnej Unii Polityki Realnej jest częstym bohaterem rosyjskich mediów – zwłaszcza jak na człowieka, który w rodzimej polityce niewiele znaczy. Czym sobie zasłużył na popularność? Kremlowi podobają się poglądy polityczne Korwina, a także jego wyraziste wypowiedzi, które pasują do imperialnej narracji – oto szalony Polak nienawidzi Unii Europejskiej (polityk przyznawał się do tego wprost), a poprzez rozmaite ekscesy (gest rzymski w europarlamencie) ośmiesza powagę Zachodu.

Lider Konfederacji wielokrotnie bronił i wybielał także współczesną Rosję. Nieszczęsnego 8 listopada, gdy nasza Straż Graniczna stała naprzeciw hord nielegalnych imigrantów, międzynarodowa stacja Russia Today zacytowała Korwina: – Rosja nie ma nic wspólnego z kryzysem na granicy [...].



Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl d4ace5c9e

Czy ktoś z was ma jakieś dowody, że Kreml ma z tym coś wspólnego? – pytał.

Do głównych serwisów informacyjnych w Rosji libertarianin trafiał już wielokrotnie. Kanał Rassija 24 pokazywał, jak Korwin mówił w Brukseli o niskiej inteligencji kobiet albo że Unia Europejska jest kompletnie bez sensu. Inna międzynarodowa agencja Sputnik cytuje liczne komentarze posła Konfederacji. Choćby w maju tego roku: – Z radością witamy odprężenie na linii Moskwa–Waszyngton. Rok temu Sputnik nazwał Korwina „jednym z najpopularniejszych polskich polityków", a różne jego drobne problemy są w Sputniku odnotowywane z troską: że skasowano mu konto na Facebooku albo że został ukarany mandatem. O Korwinie najczęściej pisze Leonid Swiridow, rosyjski dziennikarz, który na podstawie wniosku Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego ma zakaz wjazdu do strefy Schengen, czyli także do Polski.

W PIEKLE PUTINA

Jeśli ktoś uważa, że ekstrawagancja Janusza Korwin-Mikkego jest nieszkodliwa i dodaje jedynie politycznego kolorytu, to warto wskazać jeden z najbardziej agresywnych rosyjskich programów, w którym polityk wystąpił. Telewizyjny show „Wieczór z Władimirem Sołowiowem" jest transmitowany na kilku kanałach, a w serwisie YouTube ma 7,5 mln subskrybentów. Prowadzący jest żarliwym putinistą, ale formuła jego programu jest bardzo specyficzna – warto to zrozumieć, zanim poznamy szczegóły uczestnictwa w nim polityka z Polski.

Sołowiow organizuje coś na wzór debat, które zamieniają się często w spektakularne potyczki – kłótnie, wrzaski, a nawet rękoczyny czy wyprowadzanie zaproszonych ze studia. Bywalcami są u niego historycy, politycy i politolodzy – program komentuje bieżącą rzeczywistość w duchu imperialnej Rosji. Sołowiow często zaprasza gości z zagranicy, ale dobiera ich w sposób specyficzny – tak by pasowali do groteskowych wyobrażeń o obcokrajowcach. Jak Ukrainiec, to nacjonalista, jak Polak, to podekscytowany wariat. Kilkukrotnym gościem był Jakub Korejba, kiedyś dziennikarz polskiego „Newsweeka", wyrzucony za dziwnie proputinowskie teksty. Korejba skończył Uniwersytet Moskiewski (politologię) i gra rolę koncesjonowanego Polaka – to on w rozmowie Putina z narodem (doroczne wydarzenie medialne) zadawał pytania o tragedię smoleńską – pozwolił Putinowi na łagodne, współczujące wypowiedzi. Dziennikarz został nawet kiedyś wyprowadzony ze studia „Wieczoru z Sołowiowem", przy rechocie widzów i innych gości – tak właśnie Rosjanie mają widzieć Polaka.

I w tym programie pojawił się Korwin. Jego wystąpienie było więcej niż ekscentryczne. W kulminacyjnym momencie, w dyskusji z ludźmi, którzy twierdzą, że za zbrodnię katyńską odpowiadają Niemcy (!), Janusz Korwin-Mikke przeprosił – w imieniu Polski – wszystkich Rosjan. Za co? Za Feliksa Dzierżyńskiego. Stwierdził, że skoro założyciel Czeka przyczynił się do śmierci tylu mieszkańców ZSRS, a z pochodzenia był Polakiem, to trzeba Rosjan przeprosić. W programie wybrzmiało to jasno: z rąk Czeka zginęło więcej Rosjan niż Polaków w Katyniu.

> Kremlowi podobają się poglądy polityczne Korwina, a także jego wyraziste wypowiedzi, które pasują do imperialnej narracji – oto szalony Polak nienawidzi Unii Europejskiej, a poprzez rozmaite ekscesy ośmiesza powagę Zachodu. Często wspiera też putinowską Rosję

Zresztą to właśnie u Władimira Sołowiowa cytowano i omawiano tweeta Tomasza Sommera, prowadzącego zaprzyjaźniony z Korwinem tygodnik „Najwyższy Czas", w którym dziennikarz twierdził, że trzeba rozważyć rozbiór Białorusi – rosyjskiej propagandzie takie wypowiedzi były bardzo potrzebne.

Póki opinia publiczna nie zrozumie, czym są rosyjskie media, póty nie da się o Korwinie poważnie porozmawiać. W ich redakcjach siedzą nie tylko propagandyści, pracują tam odpowiednio przeszkoleni funkcjonariusze służb, którzy kierują złożonym przekazem dezinformacyjnym. Rozmawiając ze Sputnikiem czy z Rassiją24, spotykamy się tak naprawdę z wysłannikami precyzyjnie określonej polityki Kremla, którzy realizują jej cele. Branie udziału w takich inscenizacjach nawet przez „Newsweek" zostało uznane za nadużycie, skoro rozwiązano współpracę z Korejbą. Ukraiński dziennikarz Ajder Mużdabajew nazwał ten program gorszym od radia Goebbelsa, „stuprocentowym kłamstwem" i „piekłem".

CHWALENIE ZABORCÓW

Ale lista prorosyjskich gestów Korwina na tym się nie kończy. Polityk twierdził, że Polska powinna uznać aneksję Krymu (sam też odwiedził Krym), chwalił Putina za siłę i autorytet, wielokrotnie jego narracja na temat „spisków Ameryki" pokrywała się z agendą Moskwy. W marcu 2015 r. polityk mówił o amerykańskim podżeganiu Ukraińców do buntu przeciw Rosji w rozmowie z ukraińskim dziennikarzem Sawikiem Szusterem.

Także jego opowieści historyczne pokrywają się z rosyjskimi zapotrzebowaniami. Dla Korwina 11 listopada jest złą datą dla świętowania niepodległości, a Polska pod rosyjskim zaborem miała dobry czas dla rozwoju. W dyskusji z Antonim Macierewiczem dla kanału internetowego myPolitics, Korwin przekonywał: – Czy nie byli patrioci w wieku XIX? Nie było ich? Jak najbardziej byli. I nie było wtedy żadnego państwa polskiego, żadne państwo polskie ich nie wspierało, i taka jest prawda. [...] Na szczęście nie było państwa polskiego i dlatego ci ludzie się rozwijali.

Cóż, ludzie, którzy w Rosji tak bardzo lubią Korwina też mogliby się pod tym podpisać. „Na szczęście nie było państwa polskiego" – to sens całej narracji zaborców, o której wielu nie zapomniało do dziś.

eprasa.pl d4ace5c9e2



Czy można wywrócić filmowy stolik?

W świecie kultury mamy do czynienia z dyktaturą środowiskową. Jeśli się nie podporządkujesz, zwłaszcza jeśli nie masz jeszcze mocnej pozycji, to zostaniesz tak mocno potępiony, że naprawdę pożałujesz

Jacek Karnowski rozmawia z Piotrem Glińskim, wicepremierem, ministrem kultury i dziedzictwa narodowego

Podczas premiery filmu „Śmierć Zygielbojma" reżyser Ryszard Brylski uderzył naprawdę mocno. Stwierdził, że jego film „został zdegradowany do najgorszej kategorii kina – kina rządowej propagandy". Wysuwał zarzuty pod adresem Polskiej Fundacji Narodowej, która film współfinansowała, a także przeciwko panu, obecnemu na sali. Chodziło o upokorzenie przedstawiciela rządu? O odcięcie się od podejrzeń, że zrobił coś, co podoba się rządowi?

Piotr Gliński: Z tego typu wydarzeniami miałem już do czynienia wielokrotnie w czasie sześciu lat pełnienia mojej funkcji. To jest konsekwencja przyjęcia przez polską opozycję taktyki spalonej ziemi, popularnie znanej jako „totalność". To postawa, która w gruncie rzeczy odmawia prawa do sprawowania władzy legalnie, demokratycznie wybranemu rządowi. I z tym wiążą się takie, a nie inne sposoby mobilizowania zwolenników opozycji. To jest wbrew regułom demokracji, ale to też groźne po prostu dla Polski.

Mówi pan o naciskach środowiskowych, które sprawiają, że nawet jeśli reżyser Brylski zrobi dobry film za pieniądze PFN i we współpracy z rządem, to na końcu musi mocno kopnąć?

eprasa.pl d4ace5

Tak, te mechanizmy środowiskowe są bardzo silne zwłaszcza w środowisku ludzi kultury; w sporcie, który miałem okazję poznać bliżej przez ostatni rok, jest jednak zupełnie inaczej. Tam też są podziały, też są ludzie o innych poglądach i sympatiach, ale to nie rozlewa się na zewnątrz. Sportowcy wiedzą, że byłoby to destrukcyjne dla ich profesji. Ale mają też chyba więcej szacunku dla Polski.

Dlaczego świat kultury nie widzi, że długofalowo podmywa swoje fundamenty?

W świecie kultury mamy do czynienia z dyktaturą środowiskową. Jeśli się nie podporządkujesz, zwłaszcza jeśli nie jesteś geniuszem, jeśli nie masz jeszcze mocnej pozycji, to zostaniesz tak mocno potępiony, że naprawdę pożałujesz. To wszystko, co nas spotyka w obszarze kultury, jest efektem przyjęcia przez siły opozycyjne linii bardzo szkodzącej Polsce. Symboliczne są te wulgaryzmy, które zostały tak szeroko wprowadzone do obiegu publicznego; chodzi o zniszczenie przestrzeni wspólnej, o podzielenie nas do tego stopnia, że tego już nie da się skleić. Bo jak rozmawiać z kimś, kto mówi do ciebie takim patojęzykiem? Nienawiść, negatywne emocje, nie tylko zaślepiają, lecz uniemożliwiają jakąkolwiek debatę. Niszczą Polskę. I to jest robione celowo, jako metoda walki politycznej.

Może naprawdę tego nie da się już skleić?

Mam nadzieję, że jednak się da. Ale dziś po stronie opozycyjnej są nienawiść, agresja, dekonstrukcja, rozwalanie wszystkiego, co stanowi Polskę. W pewnych środowiskach kultury ten obraz skupia się niczym w soczewce. My musimy działać inaczej. Po pierwsze, są tam przecież także ludzie rozumiejący Polskę i reguły demokracji. Po drugie, my jesteśmy tymi, którzy szanują demokrację i wolność. Po trzecie, musimy rozmawiać z nieprzekonanymi, to nasz obowiązek wspólnotowy.

Pan konsekwentnie próbuje przerzucać mosty czy choćby małe kładki. „Śmierć Zygielbojma" to film sfinansowany przez państwo, broniący dobrego imienia Polski, zrobiony przez reżysera, który miał pełną swobodę twórczą. Wydaje się, że to się udaje, ale na końcu mamy katastrofę: akcję reżysera, który w pewien sposób sam depcze swoje dzieło, byle tylko nie powstało wrażenie, że „kolaborował". Czy współpraca z tymi ludźmi ma jeszcze sens?

> Myślę, że druga strona chciałaby naszych radykalnych działań. Po to przecież wali cały czas tym kijem w klatkę. Ja bym im nie dawał tej satysfakcji

Zacznijmy od początku. Prowadzimy politykę kulturalną. Zmieniamy kształt instytucjonalny wielu dziedzin, bierzemy większą odpowiedzialność za instytucje kultury. Podwoiliśmy liczbę muzeów i innych instytucji, które współprowadzimy. Zapełniamy białe plamy, budujemy liczne nowe instytucje czy muzea. Np. w tych dniach otworzyliśmy po remoncie dworek Milusin w Sulejówku. Powołujemy specjalistyczne instytucje poświęcone architekturze czy archiwistyce społecznej, dziedzictwu Solidarności, myśli narodowej. To przez lata leżało odłogiem. Zmieniamy także przepisy, np. przywracając artystom ulgi odebrane przez Tuska. Dajemy też znacznie więcej pieniędzy, bo liczne instytucje, zwłaszcza te spoza wielkich miast, były po prostu zagłodzone.

To wiemy. Filmowcy nie chcą jednak tego widzieć, nie chcą docenić. Założyli maski „demokratów", którzy walczą z „reżimem", i chyba dobrze się czują w tych kabaretowych przebraniach. Pan się stara, a oni ostentacyjnie wycinają kolejne numery.

Środowisko filmowe, tak jak środowisko teatralne, uważa w większości, że nie jest mu po drodze z tym, co robimy. To są fakty. Mimo to próbuję realizować politykę historyczną w takich warunkach, jakie są. Można to nazwać próbą budowania mostów. Uważam też, że działam dość twardo i skutecznie. O tym się nie mówi, choć my akurat mówimy, ale powstało lub powstaje ponad 200 filmów opowiadających o naszej historii. Są to filmy, które Polski się nie wstydzą. One też powinny być uwzględnione w całościowym bilansie.

Wróćmy do „Śmierci Zygielbojma". Reżyser Brylski uważa, że pan dopisał się do jego dzieła, umieszczając wśród napisów końcowych informację: „Pomysł filmu: Piotr Gliński". Jak to wygląda z pana perspektywy?

To jest temat, który od lat chciałem nagłośnić. Dlaczego? Bo to sprawa dla Polski ważna, a mi osobiście bliska. Pokazuje dramat człowieka, który był polskim politykiem, członkiem parlamentu na uchodźstwie, który nie powiedział złego słowa o Polsce. Przed popełnieniem samobójstwa w proteście przeciwko bierności świata zachodniego wobec Holokaustu skierował listy m.in. do polskiego premiera i prezydenta. Opisując relacje polsko-żydowskie w czasie wojny, podkreślał, że mury getta nie rozdzieliły obu narodów. To temat, który już dawno powinien zostać poruszony. Ale nie powstał, bo opis Zachodu, który obojętnie przechodzi wobec tragedii dziejącej się gdzieś na Wschodzie, nie pasuje do obecnego „kanonu". Sprawa była konsekwentnie przemilczana i w PRL, i – z nielicznymi wyjątkami – po upadku komunizmu. Uznałem, że to trzeba przypomnieć, trzeba o tym opowiedzieć. Zygielbojm, umierając w imię „narodu żydowskiego w Polsce", był także polskim patriotą, był zawsze uczciwy wobec Polski.

Są w Polsce ludzie, którym to się nie podoba?

Niestety są. Opis II wojny światowej ma przecież zmierzać w innym kierunku, w stronę oskarżania Polaków. Od chwili objęcia urzędu chciałem tematowi Zygielbojma nadać bieg.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl d4ace5c9e2

Nie była to sprawa pierwszorzędna, ale ważna, wyróżniająca się tylko tym, że to był mój osobisty pomysł. Inne pomysły – np. filmy o Pileckim czy o Cooperze – krążą w powietrzu. Ten nie krążył. Potem uruchomiliśmy cały proces: poprosiliśmy scenarzystę Wojciecha Lepiankę, aby przygotował i zgłosił pomysł do naszego konkursu scenariuszowego w 2016 r. Dostał wraz z innymi twórcami 3 tys. zł na dalsze prace. Nie wygrał konkursu, ale jego szkic został zakwalifikowany – jako jedna z dwóch propozycji – do realizacji. Pan Brylski wówczas się nie zgłosił ani nie mówił publicznie, że taki ma pomysł. Jeśli miał, był to pomysł bezobjawowy. A my konsekwentnie i konkretnie pracowaliśmy. Narodowe Centrum Kultury sfinansowało umowę z panem Lepianką na pierwszą wersję scenariusza.

Był więc scenariusz, była decyzja, ale nie było pieniędzy?

Nie było. Poprosiłem jednak Włodzimierza Niderhausa, ówczesnego dyrektora Wytwórni Filmów Dokumentalnych i Fabularnych w Warszawie, żeby rozpoczął przygotowania do produkcji filmu. Jednocześnie udało się przekonać PFN, żeby zaangażowała się w tę produkcję, równolegle do filmu o Pileckim. Oba filmy mają znaczenie dla wizerunku Polski, decyzje były więc w pełni uzasadnione. Oba filmy powstawały równolegle. Pilecki jest już na ukończeniu.

Film o Zygielbojmie powstał szybciej. Jak to się stało, że reżyserię powierzono Ryszardowi Brylskiemu? Pan znał tego twórcę wcześniej?

Pierwszym wyborem WFDiF był inny reżyser, z którego zrezygnowaliśmy z powodów pozamerytorycznych. Później pojawiło się jeszcze inne bardzo znane nazwisko. Brylski był chyba trzecim wyborem. W sumie dołączył do projektu dwa lata po tym, gdy zainspirowałem cały proces. Włodzimierz Niderhaus już nie żyje, a była to w tej sprawie osoba kluczowa. Współpracował ze wszystkimi środowiskami, był solidnym człowiekiem, bardzo lojalnym, doskonale znał swoje rzemiosło. I miał posłuch. To on „dowiózł" ten film, to on informował mnie na bieżąco, że wszystko dobrze idzie. Wiedzą o tym doskonale jego współpracownicy, z którymi mam stały zawodowy kontakt. To przy Niderhausie pan Brylski skończył swoje dzieło. Oczywiście, reżyser też wniósł zmiany do scenariusza, za co bardzo uczciwie mu zapłacono, absolutnie tego nie kwestionuję. Ale ten film by nie powstał, gdyby nie fakt, że bardzo chcieliśmy, by powstał. I uważamy, że to jest dobry film. I to już jest zasługa pana Brylskiego.

Włodzimierz Niderhaus zmarł jednak w maju 2020 r., a premiera odbyła się w listopadzie 2021 r.

Bo przyszła pandemia. Ale wracając do pytania, czy znałem pana Brylskiego. Otóż nie znałem. Poznałem go na pierwszym pokazie filmu po śmierci Włodzimierza Niderhausa. Nie miałem większych uwag, być może zmieniłbym parę akcentów, ale w sumie oceniam – podkreślam to raz jeszcze – że powstał dobry, potrzebny film.

Reżyserowi Brylskiemu nie spodobał się także komunikat PFN, która stwierdziła, że film dowodzi, iż Polacy nie mogli brać czynnego udziału w Holokauście, co zarzuca się nam często na Zachodzie.

Film nie mówi o tym wprost, ale przedstawiając postawę i opinie Zygielbojma, dowodzi właśnie tego: Polacy – w sensie państwowym i systemowym, narodowym i wspólnotowym – nie brali udziału w tej zbrodni i brać nie mogli. Nikt nie neguje, że byli szmalcownicy, zdrajcy i szubrawcy, a także ofiary terroru i szantażu, ale nawet ich czyny były przecież wywołane przez niemiecki terror, wojnę i zbrodnie. A pan reżyser wyciągnął dwa zdania z tysięcy komentarzy! Od kiedy to piarowe komunikaty są tak poważnie traktowane przez reżyserów? Rzecz nieistotna, o której można ewentualnie dyskutować, ale nie robić demonstrację, i to w takiej formie. I pan Brylski też by tych zdań nie zauważył, gdyby nie pan Grabowski, który dwa dni wcześniej wyciągnął te zdania i na antenie Tok FM nakręcił aferę, później podjętą przez inne media.

I reżyser Brylski, zgodnie z zasadą zewnątrzsterowności, uznał, że musi uderzyć w czasie premiery? Ktoś do niego zadzwonił, kazał?

Tego nie wiem. Podkreślam: powstał film dobry i ważny. Dlatego nie miałem żadnych obaw, tym bardziej że pan Brylski w czasie pokazu, na którym się spotkaliśmy, nie zabierał głosu w sprawach polityki historycznej, nie podnosił żadnych problemów.

Nie żałuje pan, że zabiegał, by w tzw. tyłówce pojawił się ów napis: „Pomysł filmu: Piotr Gliński"?

Nie żałuję. Chciałem, by pozostał jakiś ślad, że to nasze działania doprowadziły do dobrego finału. Drobny ślad, bo moje nazwisko pojawia się po cateringu, po wszystkich, którzy przy filmie pracowali. To nie jest kwestia megalomanii, to jest kwestia elementarnej prawdy, pokazania, że coś zapowiadamy w sferze polityki historycznej i to realizujemy.

Gdyby to był wicepremier z PO, to pewnie byłby to dla twórcy wielki zaszczyt?

Pewnie tak. Tu jest jeszcze kwestia psychologiczna – ten film został przemilczany przez filmowe elity. Na festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni został zignorowany, nie dostał żadnej nagrody. Nieoficjalnie podobno powiedziano reżyserowi, że to wina patronatu prezydenta, o który poprosił dystrybutor. Był to pewnie dla niego szok, bo przecież nie dość, że zrobił dobry film, to jeszcze o tematyce zawsze chętnie nagradzanej.

Atakuje się rząd za prowadzenie polityki historycznej, ale z tego, co widać, salon filmowy prowadzi własną politykę historyczną, dużo bardziej totalną i zamordystyczną. Bo skoro patronat prezydenta RP przekreśla film, to gdzie my jesteśmy?

To jest polityka od lat forsowana przez „Gazetę Wyborczą" i jej akolitów. Płaczą nad rzekomym wykluczaniem różnych grup, a sami bezpardonowo

eprasa.pl d4ace5c9e2



Fot. Andrzej Wiktor

wykluczają każdego, kto nie w pełni im się podporządkuje.

Fotograf Andrzej Hrechorowicz napisał po skandalu na premierze: „Kasę wziął, film zrobił. Na premierze wyszedł na scenę, i zwymiotował na Państwo Polskie. Bohater salonu". Celnie?

Trudno się z tym opisem nie zgodzić. I szkoda, że prawda tak niewiele tu znaczy. Ale powtarzam: najpierw była porażka w Gdyni, później interwencja prof. Grabowskiego i w efekcie reżyser zastosował to, o czym mówiliśmy na początku. A więc pedał gazu do dechy, panika moralna, wojna totalna. Nawet kosztem premiery własnego filmu, a może także jego dalszych losów dystrybucyjnych, bo nie wiem, jak ten skandal odbije się na frekwencji w kinach.

Czy reżyser Brylski zapytał pana wcześniej o te kwestie, które go oburzyły? Próbował się dodzwonić?

Ależ skąd, choć gdyby chciał, nie miałby z tym żadnego problemu. Wyszedł z wcześniej przygotowanym tekstem, żeby zrobić skandal. Zrobił to w sposób, który sugeruje, że nie zrozumiał przesłania własnego filmu. To on przylepił do tego dzieła, samobójczo, zarzut „rządowej propagandy". W samym dziele tego po prostu nie ma.

Czy ta sprawa nie powinna skłaniać do wyciągnięcia szerszych wniosków? Jakub Maciejewski napisał na portalu wPolityce.pl, że ta afera pokazuje, iż „żadnego »hollywoodzkiego« filmu o polskiej historii w następnym 50-leciu nie będzie". I trudno się z nim nie zgodzić. Tym razem 95 proc. procesu udało się przejść wspólnie, ale na końcu i tak wycięli numer.

Słyszę te opinie: że z tymi ludźmi nie ma sensu czegokolwiek robić. Czy mamy jednak inne środowisko filmowe? Nie mamy. Po drugiej stronie są pojedynczy twórcy, środowiska cenne, ale małe. To jest sytuacja niekomfortowa, ale innej nie będzie.

Czy jednak może być gorzej? Dziś jest tak: państwo polskie wydaje grube pieniądze na dziedzinę, która zajmuje się podmywaniem polskich fundamentów, która rozpowszechnia nieprawdziwy wizerunek Polski w filmach, w wypowiedziach i która atakuje demokratyczną władzę tak, jakby to była władza totalitarna. Czy to ma sens?

Zgodzę się tylko częściowo z tą analizą. Powstają różne filmy. Projekty „zdegenerowane", takie jak ostatni film Smarzowskiego, nie dostają dofinansowania w konkursach PISF. Przypominam, że mimo trudności wyprodukowaliśmy ponad 200 filmów dokumentalnych i fabularnych potrzebnych Polsce. Jest jeszcze inny aspekt sprawy. Dziś środowisko filmowe nie może nam wiarygodnie postawić zarzutu cenzury, nie może nam zarzucić, że w Polsce nie ma wolności. Nasi najwięksi krytycy kręcą filmy, jakie chcą, bo takie są nasze wartości. Jesteśmy realnie za wolnością twórczą i demokracją. A w praktyce oznacza to, że nie ma pretekstu, który doprowadziłby do jakichś wielkich protestów, do strajków, być może o zasięgu międzynarodowym. Dziś ci ludzie robią filmy, niektóre z nich czynią szkody, inne nie, ale robimy też filmy, które są cenne i opowiadają prawdę o Polsce. Tak, to jest wybór również polityczny.

Nie wszyscy muszą jednak być tak wyrobieni politycznie. Przeciętny wyborca prawicy myśli tak: wygraliśmy dwa razy, mamy prezydenta, a w kinach nadal trzy na cztery polskie propozycje to filmy, których jedynym celem zdaje się obrzydzenie polskości, wiary, dziedzictwa, zohydzenie Polaków. I te filmy zawsze zbierają nagrody w Gdyni. Co więcej, sytuacja się nie polepsza.

Nieprawda, że trzy czwarte. A festiwal w Gdyni nie jest przedsięwzięciem państwowym. PISF też nie jest instytucją stricte państwową, działa na podstawie ustawy, ma pieniądze ze składek z wielu źródeł, także z mediów komercyjnych. W sumie system jest złożony i tak zaprojektowany, by było bardzo trudno na niego wpływać. Do tego dochodzi dziedzictwo PRL, fałszywe przekonanie, że to reżyser jest właścicielem filmu; na Zachodzie właścicielem dzieła jest producent, a reżyser jest wynajętym fachowcem. Ten drugi model zastosowaliśmy przy „Śmierci Zygielbojma", ale reżyser tego nie zrozumiał.

Może trzeba więc wstrząsnąć całym systemem? Wywrócić stolik?

A co to da? Zniszczyć jest łatwo, ale za zniszczenia płaci się wysoką cenę. Jestem zwolennikiem inteligentnych ewolucyjnych reform. Myślę, że druga

eprasa.pl d4ace5c9e2

strona chciałaby naszych radykalnych działań. Po to przecież wali cały czas tym kijem w klatkę. Ja bym im nie dawał tej satysfakcji.

Sprawczość władzy politycznej jest tak bardzo ograniczona?

W dużej mierze tak jest. Trudno zmieniać świat w zderzeniu z totalnością środowisk, które w wielu dziedzinach mają faktyczny monopol. Bardzo ważny jest czas. Trzeba lat, by pewne procesy dobiegły do dobrego finału. By nowo powoływane przez nas instytucje zmieniały rzeczywistość. Mimo wszystko dziś mam w ręku więcej narzędzi niż na początku. Nie ma już np. zespołów filmowych, specyficznego dziedzictwa poprzedniej epoki. Dobre zmiany to wynik ciężkiej, konsekwentnej pracy na trudnym polu. Bylibyśmy znacznie dalej, gdyby nie pandemia. Są też ludzie, choćby w środowisku dystrybutorów czy producentów, którzy zmieniają nastawienie, przekonują się do współpracy, działają racjonalnie. Nie sądzę, by opcja atomowa przyniosła więcej sukcesów.

Dziś jednak mamy sytuację podobną do tej, która była kiedyś w radiowej Trójce: formalnie było to radio publiczne, faktycznie prywatne, przejęte przez pracowników. W świecie filmu państwo płaci, ale ani nic nie może, ani nie jest szanowane w stopniu choćby elementarnym. Można powiedzieć, że tamci biorą haracz za to, że nie robią majdanów.

Powtarzam: wstrząs byłby przeciwskuteczny, także dlatego, że koszty polityczne – które muszę brać pod uwagę – byłyby zbyt wielkie. Opozycja tylko o tym marzy, by otworzyć ten front. To byłby dla niej wymarzony prezent. A zmiany są, bo „ludzi dobrej woli jest więcej". I widzą, że jesteśmy wobec nich uczciwi. Poza tym ja jestem z przekonania także republikaninem i wolnościowcem. Zasady demokratyczne zobowiązują.

Czy naprawdę skutki czołowego zderzenia byłyby tak straszne? Co by się stało, gdyby państwo po prostu wycofało swoje wsparcie, dziś w dużej mierze automatyczne? Niech sobie kręcą, co chcą, ale za własne pieniądze. Albo inaczej: niech każdy reżyser dostanie 100 tys., a resztę zbierze sam, jeśli potrafi. Za pozostałe pieniądze państwo polskie kupi z wolnej ręki takie „produkty", jakie uzna za stosowne. W kraju albo, jeśli się nie da, na świecie. Trochę jak z zakupami broni: dopóki organizowano przetargi, wszystko się wlokło i kupowano bez sensu. Teraz jest to prostsze i działa wyraźnie lepiej.

> To reżyser Brylski przylepił do tego dzieła, samobójczo, zarzut „rządowej propagandy". W samym dziele tego po prostu nie ma

Zbrojenia można uzasadnić pilnymi potrzebami obronnymi. Tam być może było wielu cwaniaków wokół, ale nie było celebrytów. To są sfery nieporównywalne. W mojej ocenie najlepszą strategią, w istocie jedyną możliwą, są zmiany ewolucyjne. I ja te zmiany robię, krok po kroku, cierpliwie, znosząc różnego rodzaju despekty. Wreszcie pytanie o kadry, które o wszystkim decydują. Ludzie też zawodzą, wystarczy przywołać postać byłego już dyrektora Filmoteki Narodowej – Instytutu Audiowizualnego, który nagle okazał się takim człowiekiem, że przyjaciele go nie poznają. Jacek Kurski miał pełną rację, gdy w wywiadzie dla tygodnika „Sieci" opisywał słabość naszej strony w sferze twórczej, producenckiej.

„Wesele 2" Smarzowskiego, film wyjątkowo obrzydliwy, w mojej ocenie pełen nienawiści do Polski i Polaków, otrzymało jednak z PISF ponad 6 mln zł, czyli 20 proc. budżetu filmu.

Nie z PISF, ale z automatycznego mechanizmu zachęt filmowych: każdy, kto spełnia kryteria, dostaje do 30 proc. kosztów produkcji filmu. To mechanizm, któremu byłem przeciwny, a o którego ostatecznym kształcie nawet nie wiedziałem. Przeforsowali to różnego rodzaju lobbyści przy wsparciu niektórych przedstawicieli naszego obozu politycznego. Czy to można zmienić? Tak, ta zmiana jest już przygotowywana, ale za wcześnie mówić o szczegółach.

Dobrze, jest monopol po tamtej stronie. To może szeroko otworzyć drzwi? Dać szansę początkującym, otworzyć nową szkołę?

Kto w tej szkole będzie uczył? Jak sprawić, by nie stała się smutnym gettem? Jest wielu „Wujków Dobra Rada", ale jak trzeba do pracy, do działania, do ciężkiej pracy, do kierowania, do ponoszenia kosztów medialnych i społecznych, to nie ma wielu chętnych.

Polsce bardziej służyłaby sytuacja, w której kręcono by dziesięć razy mniej filmów, niż to, co mamy obecnie. Kino jako całość pracuje dziś przeciwko naszemu państwu.

Nie możemy sobie na to pozwolić. Jak to będzie wyglądało? Będziemy filmową pustynią? Poza tym to nie jest tak, że wszystkie filmy są wymierzone w polskość, to nieprawda. Jest wiele rzeczy bardzo wartościowych. I są też dobre wieści: „Wesele 2" poniosło w kinach klęskę, obejrzało je dziesięć razy mniej widzów niż „Kler" tego samego reżysera. Inna sprawa, że nie wiadomo, czy w obliczu zmian technologicznych i cywilizacyjnych kino w ogóle przeżyje. Być może czas rozwiąże te wszystkie dylematy w sposób dla wszystkich zaskakujący.

Czyli, podsumowując, filmowego stolika nie da się dziś wywrócić?

Pytanie jest zasadne. Ono wraca i będzie wracało. Dziś odpowiadam tak: zyski byłyby iluzoryczne, koszty ogromne. Jako odpowiedzialny polityk nie mogę udzielić innej odpowiedzi.

Reklama | 4/1121/F

eprasa.pl d4ace5c9e2



ORLEN paczka

Zawsze blisko
Zawsze wygodnie



Stacje ORLEN



Automaty paczkowe



Kioski RUCH-u i punkty odbioru

Usługa dostępna w kioskach RUCH-u, punktach partnerskich, automatach paczkowych i na wybranych stacjach ORLEN. Lista punktów dostępna na orlenpaczka.pl

eprasa.pl d4ace5c9e2

Front Jedności Narodu Tuska

Wersja zjednoczenia opozycji zaproponowana przez szefa PO to ultimatum i pułapka, a nie propozycja



STANISŁAW JANECKI

Grzegorz Schetyna i Borys Budka tylko apelowali o jedność opozycji w związku z wyborami parlamentarnymi w 2023 r. Donald Tusk uznał, że chodzi o to, żeby opozycję do tego zmusić: „W Polsce do wyborów pójdziemy zjednoczeni. Kto tego nie będzie akceptował, rozumiał, sam znajdzie się na marginesie polityki". I odwołał się nie tylko do tak sprawdzonych oraz skutecznych narzędzi jak „intuicja" oraz „przekonania polityczne", lecz także do woli „większości Polaków". Pierwsze zdanie tego tekstu dlatego parodiuje jedenastą tezę o Feuerbachu Karola Marksa, że Tusk wyznaje podobny do Marksa determinizm, gdy chodzi o procesy polityczne. Kto nie uznaje determinizmu dziejów, wypada na margines. „To jest moja misja, moje zadanie, do tego się zobowiązałem, żeby poprowadzić Platformę i pomóc, wspólnie, z innymi partnerami całej opozycji, żeby poprowadzić opozycję do zwycięstwa. [...] Inaczej te ciemności, które Polskę zalały będą dalej trwały" – mówił przewodniczący Platformy Obywatelskiej. Tusk używa retoryki jakby żywcem wyjętej z zakończenia „Manifestu komunistycznego": „Proletariusze nie mają w niej nic do stracenia prócz swych kajdan. Do zdobycia mają cały świat. Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się!". Zresztą jego apel do innych partii opozycyjnych: „Jestem absolutnie przekonany, że koleżanki i koledzy z innych partii opozycyjnych, nawet jeśli dzisiaj się trochę droczą albo szukają innych rozwiązań, ale jestem przekonany, że przyjdzie ten moment i będą dokładnie tak samo zdeterminowani, jak ja, żeby poprowadzić Polaków do zwycięstwa", przypomina tezy zawarte w IV rozdziale „Manifestu komunistycznego" („Stosunek komunistów do różnych partii opozycyjnych"). Tradycja jest więc ciekawa, nawet jeśli odwołanie do niej nie jest w pełni świadome, ale tak zwykle bywa z determinizmami.

PODWÓJNY FACEPALM

Na wezwanie Tuska, wzmocnione dodatkowo tezą, że jest to test patriotyzmu, nieprzypadkowo najszybciej zareagował Szymon Hołownia. A jego odpowiedzią był „double facepalm" (facepalm to gest wyrażający frustrację, wstyd, zażenowanie, rozczarowanie), czyli mem, w którym dwaj bohaterowie „Star Treka" zakrywają twarze dłońmi. A mniejszą czcionką jest wyjaśnienie, że „podwójny facepalm" potrzebny jest wtedy, gdy pojedynczy nie załatwia sprawy. Hołownia dlatego sarkastycznie (facepalm oznacza również sarkazm) zareagował na słowa Tuska, że w istocie to było ultimatum z elementami szantażu – jeśli nie jesteście z nami, nie będzie was wcale. Schetyna i Budka obok wspólnego celu podkreślali wspólny interes.

Liderzy pozostałych partii opozycyjnych dlatego nie zareagowali pozytywnie na ultimatum Tuska, że proponuje on zjednoczenie opozycji na własnych warunkach i pod własnym przywództwem. Władysław Kosiniak-Kamysz i Włodzimierz Czarzasty wiedzą z przeszłości, że Tusk nie jest partnerem, tylko dominatorem, w dodatku niewykazującym się specjalną lojalnością. Poza tym jeden komitet wyborczy skazywałby ich na zależność, także finansową, od tego, kto jest w tym układzie liderem, a liderem może być tylko PO pod wodzą Tuska. Obie partie są po przejściach finansowych i pójście na taki układ oznaczałoby pozbawienie ich suwerenności. Tak przecież stało się z partią Nowoczesna, gdy weszła w ściślejszy układ z PO. I teraz partia zakładana przez Ryszarda Petru jest wydmuszką. Zresztą podobnie na aliansie z PSL (w wyborach w 2019 r.) wyszedł ruch Kukiz '15, mający kłopoty przede wszystkim przez brak pieniędzy (domagali się od PSL 20 proc. subwencji, nie dostali nic), więc mechanizm jest uniwersalny. Czarzasty pamięta natomiast, jak Tusk apelował o co najmniej neutralność wobec siebie partii opozycyjnych, by potem wezwać wyborców, aby głosowali na silniejszego, bo inaczej zmarnują swoje głosy. Czarzasty nie po to tuż przed kongresem zjednoczeniowym z Wiosną Roberta Biedronia wygrał wewnętrzną wojnę ze zwolennikami podporządkowania się Tuskowi (m.in. Millerem, Cimoszewiczem, Senyszyn, Rozenkiem), żeby teraz iść ich drogą. Kosiniak-Kamysz i PSL redukowaliby



Fot. Radek Pietruszka / PAP

eprasa.pl d4ace5c9e2

do zera swoją strategię z ostatnich dwóch lat – budowania wokół tej partii bloku centrowo-konserwatywnego, czyli przyznawaliby, że ten czas kompletnie zmarnowali i znowu muszą się oddać pod opiekę Tuska. W PSL się pamięta, że wersja wielkiej koalicji opozycyjnej nie sprawdziła się w wyborach europejskich w 2019 r., kiedy najłatwiej było osiągnąć zwycięstwo nad PiS. Ale była przegrana, a najwięcej na tej koalicji straciło właśnie PSL. W dodatku w wyborach europejskich nie decydowały się kwestie finansowania partii po wyborach. Mimo słabych sondaży, zwykle znacząco za nisko szacujących poparcie dla PSL, liderzy tej partii wiedzą, że stworzona przez nich Koalicja Polska może im zapewnić lepszy wynik wyborczy niż w jakiejkolwiek większej konfiguracji. A poza tym poszerzenie formuły do chadeckiej i centrowej (z mocnymi elementami konserwatywnymi) czyni z PSL podstawowego rozgrywającego po wyborach. Bo Koalicja Polska może wejść do każdego układu po wyborach, a nawet może stawiać warunek, żeby premierem został Kosiniak-Kamysz. W wielkim bloku, o którym mówił Tusk, szanse na to są żadne. Blok powstałby przecież przed wyborami i wtedy ustalono by warunki oraz podzielono wpływy w ewentualnym rządzie, a to pod wieloma względami upośledzałoby PSL (Koalicję Polską), choćby ze względu na obecne notowania w sondażach. Nieprzypadkowo politycy PSL wpychają PO i Lewicę w tworzenie jednego bloku liberalno-lewicowego, gdyż taki blok byłby ograniczający dla obu tych partii, tym bardziej gdyby tylko one się jednoczyły. Wbrew temu, co sądzi Tusk, łatka liberała i lewicowca nie przysparza w Polsce głosów, jakkolwiek antypisowska byłaby potem retoryka.

> Tusk w zakulisowych grach ludzi Hołownię i Kosiniaka-Kamysza (Czarzastego niekoniecznie, bo ten nie jest naiwny), że jednak nie on musiałby być premierem w razie zwycięstwa opozycji

FRONT JEDNOŚCI MIĘSA WYBORCZEGO

Hołownia dlatego pierwszy zareagował na wezwanie Tuska, że on i jego Polska 2050 traciliby na takim układzie najwięcej. Najbliższe wybory parlamentarne będą pierwszymi, w których ugrupowanie Hołowni weźmie udział. I od razu w tej pierwszej próbie zrezygnowanie z własnej marki i świeżości lidera oznaczałoby wręcz samobójstwo. Hołownia ma przecież w miarę stabilne poparcie (na poziomie 12–16 proc.) z tego powodu, że jest w polityce nowy, że odcinał się od dłużej funkcjonujących partii, w tym od PO, że chciał się odróżniać od politycznego mainstreamu, że proponował inny sposób budowania i funkcjonowania partii. Przyjmując warunki Tuska i rezygnując z własnej marki, zawodziłby ogromną część swoich sympatyków. A poza tym przyznawałby, że tylko stary układ, ze starym liderem, jest w stanie coś osiągnąć w polskiej polityce. Czym podważałby sens istnienia własnego ugrupowania. Polska 2050 byłaby wtedy na wielu polach poszkodowana (także finansowo, co dla nowej partii jest szczególnie ważne), a zjednoczenie na warunkach Tuska wytrąciłoby mu z ręki wszystkie atuty, przede wszystkim te, które ma w stosunku do Platformy.

Wprawdzie tylko Hołownia nie ma negatywnych doświadczeń z Tuskiem w przeszłości, szczególnie w sprawowaniu władzy, gdyż nie ma żadnych tego typu doświadczeń, ale rozumie, jaką pułapkę na pozostałe partie opozycyjne Tusk wymyślił. Na razie Hołownia ani żaden lider oficjalnie i wprost nie odpowie Tuskowi negatywnie na jego propozycję, czyli ultimatum, ale to wynika wyłącznie z ogólnikowego przekonania, że nie warto palić wszystkich mostów.

Tusk wie, że jego propozycja została trafnie odczytana jako pułapka i ograniczenie dla ewentualnych sojuszników, ale w zakulisowych grach ludzi Hołownię i Kosiniaka-Kamysza (Czarzastego niekoniecznie, bo ten nie jest naiwny), że jednak nie on musiałby być premierem w razie zwycięstwa. Tyle tylko, że inaczej nie utrwaliłby przekonania, iż jest ojcem sukcesu, a to jest mu potrzebne w związku z chęcią wystartowania w wyborach prezydenckich w 2025 r. Tusk orientuje się także, że jego wizja zjednoczenia opozycji to powtórka z wersji komunistycznej, czyli Frontu Jedności Narodu, z którego list wyłącznie można się było dostać do Sejmu. Byli tam więc i przedstawiciele Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego, i Stronnictwa Demokratycznego, i reprezentanci organizacji katolickich (najczęściej tzw. koncesjonowani katolicy), tylko nie mieli nic do gadania. Tego właśnie się obawiają liderzy innych partii opozycyjnych. I wiedzą, że Tusk potrzebuje ich partii jako „mięsa wyborczego". A to nie wzmacnia jego pozycji przetargowej. Front Jedności Narodu Tuska wydaje się w tej sytuacji planem bez szans realizacji.





Mitologia antypisu

Niewielka skuteczność antypisowskiej propagandy powinna teoretycznie skłonić jej autorów do refleksji, do wycofania się, uspokojenia przekazu, tymczasem jest odwrotnie – im mniejszy społeczny odzew na rewelacje o „zbrodniczym" charakterze PiS, tym przekaz staje się bardziej ostry i coraz śmielej przekracza kolejne granice absurdu



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Tydzień temu, gdy polska granica pod Kuźnicą Białostocką została zaatakowana przez hordy imigrantów, we wspierających opozycję liberalnych mediach pojawiła się informacja, że polskie formacje graniczne użyły gazu łzawiącego. Informację ilustrowało zdjęcie zalanego łzami chłopca – rzekomej ofiary brutalności polskich służb. W rzeczywistości, jak się zaraz okazało, chłopca do zdjęcia odpowiednio przygotowano. Na zamieszczonym w internecie filmie zobaczyliśmy, że kilku dorosłych mężczyzn dmuchało mu wcześniej w oczy dymem papierosowym i gdy w końcu podrażnione oczy dziecka zaszkliły się, wystawiono go fotoreporterom do sesji zdjęciowej.

Mieliśmy więc do czynienia z manipulacją, zresztą jedną z setek, które pojawiały się w ostatnich latach w polskich mediach, byleby tylko uwiarygodnić polityczny przekaz o „niegodziwości" obecnej władzy. Można się zatem dziwić, że mimo iż manipulacje wciąż wychodzą na jaw, ich odbiorcy – zwykle zatwardziali zwolennicy opozycji – pozostają całkowicie głusi na rzeczywistość. Czasem wynika to z obsesji, a czasem z braku wiedzy. Można to przyrównać do sekty żywiącej się własnymi mitami. Mitami skonstruowanymi na bazie zmanipulowanych informacji, a niekiedy także całkowicie wykreowanych plotek.

Tych mitów wyprodukowano już tak wiele, że na ich zreferowanie potrzeba byłoby chyba kilku opasłych tomów. Wystarczy się przyjrzeć kilku najbardziej charakterystycznym.

NIELEGALNA WŁADZA

Za mit założycielski antypisu należałoby chyba uznać ten o nielegalności „pisowskiej władzy". Nie chodzi tu o kwestionowanie wyników wyborów, choć pojawiały się i takie zakusy, choćby podczas ostatnich wyborów prezydenckich, ale o utrzymywanie, że obecna władza narusza konstytucyjny ład i procedury, a zatem łamie prawo i narusza wolności obywateli.

W roli strażnika konstytucyjnego ładu stał najpierw Trybunał Konstytucyjny, potem Sąd Najwyższy, a dziś – gdy opozycja straciła nad tymi obiema instytucjami polityczną kontrolę – są nim po prostu sędziowie, którym wmawia się, że walcząc aktywnie z rządem, stanowią ostatni bastion wolności, prawa i trójpodziału władz. W rzeczywistości jednak konsekwencją takiej strategii jest jedynie ogromne upolitycznienie sądownictwa i trudny do odbudowania upadek jego autorytetu. Kto się opowiada bowiem po jednej ze stron (wszystko jedno czy rządowej, czy – jak w tym przypadku – opozycyjnej), nie może już aspirować do miana niezawisłego i obiektywnego.

Pozostawmy jednak na boku potencjalne negatywne skutki promowania przez antypis postawy buntowniczej

Fot. Wojtek RADWAŃSKI/AFP/EastNews

eprasa.pl d4ace5c9e2

wśród sędziów. Nie o nich tu przecież chodzi i nie o dobro sądów, lecz o brutalną walkę o władzę, w której najbardziej „niepokorni" spośród sędziów pełnią funkcję – świadomie lub też nie – użytecznego narzędzia w zmaganiach z PiS. Główną, również niesłychanie szkodliwą konsekwencją mitu „nielegalności" władzy PiS jest bowiem odrzucenie lojalności wobec własnego państwa.

MY I ONI

Antypisowcy przyjmują, że państwo polskie, nad którym w 2015 r. utracili kontrolę wskutek decyzji wyborczej większości obywateli, znajduje się dziś pod „pisowską okupacją", a zatem należy je wszędzie i za wszelką cenę zwalczać. To stąd biorą się donosy opozycyjnych polityków w instytucjach unijnych, kolejne głosowania za ukaraniem Polski i odebraniem jej funduszy oraz gościnne występy antypisowskich publicystów w zachodnich mediach, w których przedstawiają oni zakłamany obraz rzeczywistości w Polsce.

Na naszym polskim podwórku sprowadza się to do m.in. atakowania polskich instytucji, które – tak jak policja czy ostatnio w związku z napiętą sytuacją na granicy wojsko i straż graniczna – są oskarżane o służbę na rzecz „reżimu". Zasadniczą formą walki z „okupantem" jest odrzucanie jakiejkolwiek współpracy z władzą, w tym przyjmowania od niej nagród i ofert. A jeśli się już coś przyjęło, to – oczywiście po skonsumowaniu pomocy lub grantu – należy bezwzględnie się od „reżimu" odciąć i go potępić, tłumacząc – tak jak ostatnio pewien reżyser – że władza chciała „zawłaszczyć" i wykorzystać jego dzieło.

Nienawiść budzi zresztą wszystko, co ma jakikolwiek związek z „reżimem". Sekowane są nawet państwowe koncerny, takie jak Orlen, LOT czy – przykładowo – znacjonalizowana parę lat temu Pesa, której tramwajów nie chciały kupować opanowane przez opozycję samorządy największych miast (w Warszawie wybrano pojazdy koreańskiego koncernu Hyundai, byleby tylko warte blisko 2 mld zł zamówienie nie trafiło do „reżimowej" firmy). Prezydent stolicy Rafał Trzaskowski kpił zaś z budowy CPK, tłumacząc, że nowy port lotniczy jest niepotrzebny, bo podobny istnieje już przecież w Berlinie.

„Okupacyjny" mit ma wytworzyć i pogłębić w Polsce podział na „nas" i „ich". „Oni" – czyli pisowcy i ich zwolennicy – mają być kimś obcym, gorszym, kimś, kogo bez skrupułów należy zwalczać, pozbyć się i przykładnie ukarać. Wszystko, co „oni" robią, jest z definicji złe, niewłaściwe i służy nikczemnym celom. I pod żadnym względem nie wolno tego autoryzować pod rygorem oskarżenia o kolaborację z wrogiem oraz trwałego wykluczenia.

> W antypisowskiej propagandzie chodzi o to, aby jej odbiorca przestał się czemukolwiek dziwić oraz cokolwiek kwestionować i aby doszedł do wniosku, że „dzisiaj wszystko jest już możliwe"

KOSZMAR STASZEWSKIEGO

Skoro władza PiS jest – według antypisowskiej mitologii – nielegalna i obca, to oczywiście musi być jednocześnie zbrodnicza. Bo okupanci zwykle prześladują podbitą przez siebie ludność. Nie inaczej jest i tym razem.

Gdybyśmy żyli gdzieś daleko za granicą albo po prostu czerpali wszystkie informacje z „Wyborczej", z TVN albo z „Newsweeka" i brali to wszystko na poważnie, to zapewne życie w Polsce wydałoby się nam trudnym do zniesienia koszmarem. No bo jak żyć w kraju, w którym nie ma wolności słowa (pytanie, skąd się zatem bierze „Wyborcza", „Newsweek" i TVN, nikomu spośród wyznawców antypisu nie zaburza to wewnętrznej logiki), po ulicach grasują faszyści bijący czarnoskórych (to nie ja wymyśliłem tylko Radosław Sikorski, który opowiadał o tym przy okazji jednego z Marszów Niepodległości), a służby reżimu prześladują obywateli i opozycję – przypomnijcie sobie chociażby, jak policjanci wynosili z Krakowskiego Przedmieścia „legendarnego" Władka Frasyniuka.

Ofiarami represji są naturalnie także mniejszości seksualne (co z tego, że homoseksualizm zdepenalizowano w pierwszym polskim Kodeksie karnym z 1932 r. – znacznie wcześniej niż w wielu krajach postępowego Zachodu). Szczytem manipulacji było rozpropagowanie kłamstwa o rzekomych strefach wolnych od LGBT. Autor tej kampanii, aktywista gejowski Bart Staszewski, nie widział jednak nic nagannego w swojej akcji. Uznał bowiem, że skoro – w jego mniemaniu – mniejszości seksualne nie mają w Polsce odpowiednich praw, to sfotografowane przez niego fałszywe tablice informujące o rzekomych strefach wolnych od LGBT niejako odpowiadają rzeczywistości. I odniósł sukces, bo rzeczywistość nie jest dzisiaj postrzegana przez pryzmat faktów lecz – tak jak u bolszewików – jest jedynie ideologiczną projekcją.

WINA TRYBUNAŁU

Antypisowcy budują zakłamany obraz rzeczywistości, aby przekonać ludzi, że żyją w represyjnym państwie, którego macki mogą dosięgnąć każdego. Na tym tle wybuchł przecież zeszłoroczny tzw. Strajk Kobiet, mimo że orzeczenie Trybunału Konstytucyjnego, które stało się bezpośrednim powodem zajść, jedynie potwierdzało postanowienia obowiązującej konstytucji dotyczące ochrony życia. Ludzie wyszli na ulice, ponieważ udało im się wmówić, że ich prawa zostały ograniczone. Przy okazji wyszło na jaw, że niektórzy z nich – zapewne zatwardziali „obrońcy konstytucji" – w ogóle jej nie znają.

Nie inaczej jest i teraz, po śmierci 30-letniej pacjentki w ciąży w szpitalu w Pszczynie. Choć wszystko wskazuje na to, że przyczyną tragedii był fatalny stan szpitala zarządzanego według balcerowiczowych reguł zyskowności oraz błędy lekarskie, opozycja próbuje połączyć tę śmierć z zeszłorocznym wyrokiem TK i ponownie wzniecić akcję protestacyjną. Tak jakby to Trybunał ordynował zmarłej leczenie.

Antypisowcy nie pierwszy raz grają ludzką śmiercią dla politycznego zysku.

eprasa.pl d4ace5c9e2

Wcześniej mieliśmy przecież Pawła Adamowicza (rzekomą ofiarę „reżimu"), Piotra Szczęsnego, który spalił się pod warszawskim Pałacem Kultury, oraz próby wykorzystania przypadków śmierci wskutek nadużycia siły przez policję w stosunku do zatrzymanych we Wrocławiu i Lubinie – tu wzorowano się chyba na George'u Floydzie, od którego rozpoczęła się zeszłoroczna rewolta BLM w Ameryce.

DZIECI Z MICHAŁOWA

Brutalność „reżimu" uderza najbardziej, gdy bije on w najsłabszych, czyli w dzieci. Nie chodzi oczywiście o polskie dzieci, lecz o te imigranckie, które ich rodzice ściągnęli z sobą na zieloną granicę z Białorusią. Oczywiście każdy przytomny człowiek wie, że dzieci są tu bezwolnym narzędziem w rękach okrutnych dorosłych, nie tylko nieodpowiedzialnych rodziców, lecz przede wszystkim w rękach reżimu Łukaszenki. Białoruski satrapa ma nadzieję, że na granicy dojdzie w końcu do tragedii z udziałem dziecka (o co w zimową pogodę nietrudno), która pozwoli mu wreszcie przełamać opór ze strony Polski. Byłby to również prezent dla naszych nieszczęsnych antypisowców, zwłaszcza jeśli udałoby się przedstawić tragedię jako skutek obojętności „pisowskiego reżimu".

Na razie trwa jeszcze kanonada bez ofiar. Dlatego ofiary są – mówiąc brutalnie – kreowane. Każdy pewnie słyszał o dzieciach z Michałowa, które miały zostać rzekomo porzucone przez straż graniczną w lesie. I widział plakaty z twarzą zaginionej dziewczynki kolportowane w internecie. Te obrazki poruszają. I o to właśnie chodzi. Czy jednak powinniśmy z powodu tych obrazków, skądinąd o niepewnej wiarygodności, popełniać jako państwo samobójstwo, otwierać granicę przed każdym, kto się na niej pojawi i narażać się na niebezpieczeństwo?

Opozycja twierdzi, że tak. Nie wszyscy antypisowcy kierują się tu odruchem serca, wielu kalkuluje na zimno, bo przecież to znacząco osłabiłoby „reżim". A sam burmistrz Michałowa, lokalny aktywista PO, najwyraźniej wykorzystuje swoją chwilę „sławy" jako trampolinę w karierze.

POLEXIT, KTÓREGO NIE MA

O rzekomym polexicie napisano już wiele. Co z tego, skoro ten slogan wraca jak bumerang przy każdym zatargu z Unią. Zdaniem antypisowców jakakolwiek obrona własnych interesów, naturalna wśród państw członkowskich, jest otwarciem furtki do wyjścia z Unii. Początkowo straszono nas, że Unia się obrazi i nas wyrzuci. Tak było, gdy np. nie chcieliśmy przyjmować imigrantów w 2015 r., gdy jednak dziś okazało się, że to my mieliśmy rację, ten przekaz nieco się zmienił. Teraz opozycja otwarcie stawia zarzut, że „reżim" tylko udaje, że chce pozostać w Unii, a tak naprawdę dąży do jej opuszczenia. Oczywiście prosto w ramiona Putina, w którego jakoby PiS jest wpatrzone i zapewne z tego właśnie powodu „reżim" nie przedłużył podpisanego przez rząd PO-PSL kontraktu z Gazpromem i doprowadził do zwiększenia liczby wojsk amerykańskich w Polsce.

> Skoro władza PiS jest – według antypisowskiej mitologii – nielegalna i obca, to oczywiście musi być jednocześnie zbrodnicza. Bo okupanci zwykle prześladują podbitą przez siebie ludność

Logiki nie ma w tym żadnej, ale nie po raz pierwszy przekonujemy się, że nie o logikę w tym chodzi. Bo ona w żadnej mitologii nie jest potrzebna. Prawda jest taka, że jeśli kiedykolwiek osłabną w Polsce prounijne nastroje, to nie będzie to wina PiS, lecz samej Unii, która nagina i łamie własne traktaty, oraz nakłaniających ją do mieszania się w nasze wewnętrzne, „pozatraktatowe" sprawy opozycyjnych klakierów.

PRZESUWANIE GRANICY

Antypisowcy wszelkiej maści bardzo chętnie przypisują skłonność do ulegania kłamstwom swoim przeciwnikom. Choć sami mają w ręku wszystkie niemal narzędzia propagandy – poczytne portale, kanały telewizyjne, gazety, a także niezliczonych naganiaczy z kręgów opiniotwórczych – to i tak ciągle klepią farmazony o braku wolności i o ogłupiałej tłuszczy zmanipulowanej przez „reżim". Prawda jest jednak taka, że to nie „tłuszcza", lecz oni sami żyją w alternatywnej rzeczywistości i jest to aż nadto widoczne dla wielu ludzi. Nic więc dziwnego, że ich histeria nie udziela się bardziej przytomnej większości.

Oczywiście opozycyjna propaganda nie zawsze bywa nieskuteczna. W kwestiach dotyczących tzw. praw kobiet i aborcji antypisowcy osiągnęli spore sukcesy, głównie dlatego, że udało się przekonać wielu ludzi, że chodzi tu wyłącznie o kwestię wolności wyboru, a nie o zabijanie nienarodzonych dzieci. Jednak zwykle propaganda ta nie wykracza swoim zasięgiem poza dotychczasowych zwolenników. Teoretycznie jej niewielka skuteczność powinna więc skłonić antypisowców do refleksji, do wycofania się, uspokojenia przekazu, tymczasem jest odwrotnie – im mniejszy społeczny odzew na rewelacje o „zbrodniczym" charakterze PiS, tym przekaz staje się bardziej ostry i coraz śmielej przekracza kolejne granice absurdu.

Nie chcę tutaj powtarzać znanej frazy Goebbelsa o tym, że kłamstwo wielokrotnie powtórzone staje się prawdą, ale z pewnością idzie tutaj o przesunięcie granicy społecznej tolerancji na dezinformację, na takie zrelatywizowanie absurdu, aby odbiorca przestał się czemukolwiek dziwić oraz cokolwiek kwestionować i doszedł w końcu do wniosku, że przecież „dzisiaj wszystko jest już możliwe". Mówiąc krótko, aby stracił jakiekolwiek zaufanie do oficjalnego przekazu. Konsekwencją takiej strategii musi być również dalsze osłabienie autorytetu państwa i jego bezpieczeństwa, ale to nikogo wśród obsesjonatów zapamiętale wojujących z „pisowskim reżimem" dziś nie interesuje.

eprasa.pl d4ace5c9e2



Najlepszą obroną jest atak?

Choć NFZ i prokuratura wciąż wyjaśniają okoliczności śmierci młodej kobiety w ciąży w szpitalu w Pszczynie, proaborcyjna strona dyskursu publicznego już wie, kto jest winny śmierci pani Izy. To oczywiście TK i Jarosław Kaczyński. Tymczasem na światło dzienne wypływają kolejne wstrząsające doniesienia dotyczące okoliczności śmierci kobiety i funkcjonowania samego szpitala



DOROTA ŁOSIEWICZ

Wracamy oczywiście do sprawy pani Izy, 30-latki, która we wrześniu zmarła w szpitalu w Pszczynie. Była w 22. tygodniu ciąży, kiedy odeszły jej wody płodowe. U płodu już wcześniej stwierdzono wady rozwojowe. Kobieta zmarła w wyniku wstrząsu septycznego. Jej rodzina stoi na stanowisku, że lekarze zbyt długo zwlekali z zakończeniem ciąży, co przyczyniło się do śmierci kobiety. Pani Iza zmarła 22 września, jednak o sprawie zrobiło się głośno na początku listopada. Ta wstrząsająca i poruszająca historia młodej matki, która osierociła dziewięcioletnią córkę, zainspirowała w Polsce, a także za granicą protesty pod hasłem „Ani jednej więcej", które wiążą śmierć z ubiegłorocznym wyrokiem Trybunału Konstytucyjnego. Jednak czy słusznie?

Narodowy Fundusz Zdrowia 2 listopada rozpoczął kontrolę w szpitalu w Pszczynie. Postępowanie będzie trwało kilka tygodni. „Sprawdzamy, czy pacjentki na oddziale ginekologiczno-położniczym miały właściwą opiekę". Sprawę śmierci 30-latki bada także Prokuratura Regionalna w Katowicach. „Przejęliśmy je [postępowanie – przyp. red.] 7 października z prokuratury

Fot. Jakub Kamiński/East News

eprasa.pl d4ace5c9e2

rejonowej. Prowadzone jest w sprawie nieumyślnego spowodowania zgonu pacjentki" – poinformowała Agnieszka Wichary, rzeczniczka Prokuratury Regionalnej w Katowicach. Śledczy otrzymali już wstępne wyniki sekcji zwłok pani Izabeli, z których wynika, że zmarła ona z powodu sepsy, którą mogło wywołać zakażenie bakteryjne. Prokuratura gromadzi też dokumentację szpitalną oraz z poradni ginekologicznej, do której chodziła kobieta.

Po dramacie w Pszczynie Ministerstwo Zdrowia opublikowało wytyczne dla lekarzy dotyczące postępowania w sytuacjach, gdy dojdzie do przedwczesnego odpływania płynu owodniowego. Zwróciło też uwagę na obowiązujące obecnie regulacje prawne i rekomendacje medyczne w tym zakresie. „W przypadku sytuacji zagrażającej życiu lub zdrowiu kobiety (np. podejrzenia zakażenia dotyczącego jamy macicy, krwotoku itp.) zgodne z prawem jest niezwłoczne zakończenie ciąży w oparciu o obowiązujące przepisy Ustawy z dnia 7 stycznia 1993 r. o planowaniu rodziny, ochronie płodu ludzkiego i warunkach dopuszczalności przerywania ciąży. Ustawa ta wprost wskazuje na przesłankę zagrożenia życia lub zdrowia matki. Trzeba podkreślić, że są to przesłanki rozłączne. Wystąpienie tylko jednej z nich jest wystarczającą prawną przesłanką do podjęcia reakcji przez lekarza. Oczywistym jest, że pacjentka na każdym etapie prowadzenia ciąży musi być informowana o aktualnych ryzykach związanych ze zdrowiem i życiem" – czytamy na stronie resortu.

DRAMAT PACJENTKI

Już tydzień temu pisałam, że kluczowa jest odpowiedź na pytanie, dlaczego lekarze nie ratowali życia kobiety, skoro i medycy, i ona, co jasno wynika z esemesów, zdawali sobie sprawę z zagrożenia życia pacjentki. Dziennikarze „Uwagi" TVN ujawnili esemesy pani Izy, które ta wysyłała ze szpitala do mamy. To nie tylko zapis dramatu pacjentki. Musi się pojawiać pytanie o stojącą w sprzeczności z prawem i niemającą nic wspólnego z wyrokiem TK zwłokę.

„W sumie może być tak, że w każdej chwili sepsę dostanę. Ja jeszcze czekam na przyjęcie. Nie mam pokoju od rana" – pisała pani Izabela, będąc już w szpitalu. „Dziecko waży 485 gramów. Na razie, dzięki ustawie aborcyjnej, muszę leżeć i nic nie mogą zrobić".

„Zaczekają, aż umrze lub coś się zacznie, a jeśli nie, to extra mogę spodziewać się sepsy. Bo przyspieszyć nie mogą. Musi albo przestać bić serce, albo się coś zacząć".

„Ja się ogólnie czuję, jakbym miała stan zapalny jakiś. Kości mnie bolą. Zimno mi. Jakoś dziwnie jak na chorobę".

„Tragedia. Moje życie zagrożone. Noo idę spać. Dobranoc Buźki Mamuś".

„Hej, dali kroplówkę, bo z gorączki się trzęsłam. Dobrze, że termometr wzięłam, bo nikt tu nie mierzy. Miałam 39,9".

Równie szokująca jest relacja pacjentki, która leżała na sali z umierającą kobietą, do której także dotarli dziennikarze „Uwagi". Kobieta chce pozostać anonimowa. „Iza zgłaszała położnej, że ma jakieś zielonkawe upławy, czuła, że coś jest nie tak. Ale mówili jej, że serce dziecka cały czas bije" – opowiadała kobieta w reportażu.

Z jej relacji wynika, że lekarz przyszedł do konającej pacjentki na wizytę zaledwie raz. „Miała bardzo wysoką gorączkę. Około godz. 20 zobaczyłam, że siedzi po turecku na łóżku i cała się trzęsła z gorączki. Poszłam po położną, przyszła zobaczyć, po pewnym czasie przyszła z kroplówką. Powiedziała, że pewnie jest przeziębiona. A ona mówiła, że czuje, że to nie przeziębienie, że coś jest nie tak, że coś się z nią dzieje" – relacjonowała kobieta.

Jak dodała, po podaniu kroplówki gorączka ustąpiła, ale po dwóch–trzech godzinach temperatura ponownie wzrosła. „W międzyczasie poszła na jakieś wziernikowanie i lekarz powiedział, że serce cały czas bije. Czekał, aż płód obumrze – mówi koleżanka z sali Izy S. – Słyszę to do dzisiejszego dnia, jej słowa, że ona chce żyć, ona nie chce umierać, ona ma dla kogo żyć. Myślę, że była świadoma, że może umrzeć. Bała się spać, bo bała się, że się nie obudzi. Potem w nocy klęczała na ziemi, wymiotowała. Potem ją wywieźli. Lekarz powiedział, że dlatego, że następnego dnia miałam mieć zabieg i muszę być wypoczęta. Wolałabym być niewypoczęta, ale żeby ona żyła. Po tej pierwszej gorączce powinno im się zapalić jakieś światło, że coś jest nie tak. Mówili, że rano zrobią CRP, ale mogli to zrobić wieczorem".

Ta relacja stoi w sprzeczności ze słowami rzecznik prasowej Szpitala Powiatowego w Pszczynie Barbary Zejmy-Oracz: „Mogę powiedzieć, że była pod stałą opieką lekarską. Nie było sytuacji, w której pozostawiona była bez opieki. Dbał o nią cały zespół i proces leczniczy był prowadzony od samego początku".

Nim pani Iza zmarła, zdążyła porozmawiać z dziewięcioletnią córką. Mówiła jej, jakie ma wziąć ubranka, bo pojedzie do cioci i „będzie jej raźniej, nie będzie myślała, że mama jest w szpitalu".

SZPITAL GROZY?

Dla części dziennikarzy i opinii publicznej anonimowa relacja pacjentki i esemesy ze szpitala to dowód na to, że lekarze nie działali, bo ręce wiązało im nowe prawo, które jest wynikiem orzeczenia TK. Jednak w tym miejscu przypomnijmy ponownie, że Trybunał w ogóle nie zajmował się przesłanką dotyczącą ratowania zdrowia i życia matki. Zapis o legalności aborcji w tym przypadku w ogóle nie został zmieniony. Esemesy są natomiast zapisem tego, co działo się w szpitalu i jak reagowali lekarze. Brak choćby termometru, naszym oczom ukazuje się także niewielkie zainteresowanie pacjentką, bagatelizowanie objawów, zapowiedź, że „coś zrobimy, ale jutro". Czy to brzmi jak próba ratowania życia kobiety?

Niestety, ten szpital nie po raz pierwszy jest przedmiotem zainteresowania mediów. Był już na czołówkach gazet i portali w 2017 r. po miażdżącej kontroli NIK i w 2018 r. po śmierci bezdomnego mężczyzny. W styczniu 2017 r. m.in. „Gazeta Wyborcza" donosiła, że NFZ nałożył na szpital ponad 1 mln zł kary. „Kontrole wykazały, że warunki leczenia w Pszczynie są tragiczne. Lista uchybień jest długa. W szpitalu nie ma drogi ewakuacyjnej na wypadek pożaru. Na oddziale intensywnej terapii przyłącza tlenu okazały się atrapą. Pacjenci zostali stłoczeni na niższych piętrach, bo wyższe z oszczędności wyłączono z użytku. Zwłoki zmarłych na jednym z oddziałów zamykano w brudowniku. Windy były wiecznie popsute. W laboratorium używano przeterminowanych

eprasa.pl d4ace5c9e2

odczynników. Na położniczej izbie przyjęć kobiety do porodu zamiast położnej przyjmował ratownik medyczny. Na dyżurach brakowało lekarzy i pielęgniarek, nawet na intensywnej terapii i patologii noworodka. Kary nakładane przez NFZ po kolejnych kontrolach nic nie pomogły. Szpital na ogół nie stosował zaleceń pokontrolnych" – pisała „GW".

W styczniu 2018 r. w szpitalu w Pszczynie zmarł bezdomny mężczyzna. Trafił do placówki wyziębiony, a pracownicy izby przyjęć umieścili go w bocznej salce. Mężczyzna przez 27 godzin leżał na podłodze bez żadnej opieki. Zajęto się nim dopiero następnego dnia, po interwencji policji. Bezdomny był już w stanie krytycznym i po kilkunastu godzinach zmarł. W kwietniu 2018 r. „GW" informowała, że szpital w Pszczynie stracił kontrakt z NFZ, bo „panujące tam warunki zagrażały bezpieczeństwu i życiu chorych". Nakładane wcześniej wysokie kary nie pomagały.

DYREKTOR POLITYKIER

Dyrektor Szpitala Powiatowego w Pszczynie Marcin Leśniewski zawiesił realizację kontraktów dwóch lekarzy, którzy pełnili dyżur w czasie pobytu 30-letniej ciężarnej pacjentki w szpitalu. Lekarz tłumaczył to faktem, że wywierana na szpitalu presja oraz „bezkarnie krzywdzące opinie" mogą mieć negatywny wpływ na decyzje podejmowane przez medyków. „W związku z tym, dla dobra pacjentek i bezpieczeństwa lekarzy, zawiesiłem kontrakty naszych kolegów" – poinformował media Leśniewski. „W naszym szpitalu przestrzegane są wszystkie standardy postępowania zaprezentowane przez Ministerstwo Zdrowia. Nienaruszalność tajemnicy lekarskiej nigdy nie pozwoli nam na publiczną obronę przed fałszywymi oskarżeniami formułowanymi w mowie nienawiści – napisał dyrektor szpitala. – Osobną sprawą jest ocena stanu prawnego w zakresie dopuszczalności przerywania ciąży. W tym miejscu należy jedynie podkreślić, że wszystkie decyzje lekarskie zostały podjęte z uwzględnieniem obowiązujących w Polsce przepisów prawa oraz standardów postępowania" – zaznaczył. „Dziękując za liczne, choć ciche głosy solidarności, jako lekarz Oddziału Ginekologiczno-Położniczego i dyrektor Szpitala, pragnę docenić i wesprzeć moich najbliższych Współpracowników: położne, lekarzy, salowe oraz wszystkich innych Szpitalników oddanych Pacjentom. W stosunku do Bliskich naszej zmarłej Pacjentki niezmiennie pozostaję w głębokim współczuciu" – napisał dyrektor Leśniewski. Co warto zauważyć, w prywatnym gabinecie to on prowadził ciążę zmarłej pacjentki. To o tyle ważne, że media społecznościowe obiegła informacja, iż Leśniewski nie odbierał telefonów od rodziny pacjentki, by pomógł ich córce.

> Szpital w Pszczynie nie po raz pierwszy jest przedmiotem zainteresowania mediów. Był już na czołówkach gazet i portali w 2017 r. po miażdżącej kontroli NIK i w 2018 r. po śmierci bezdomnego mężczyzny. Nakładane na szpital wysokie kary nie poprawiały sytuacji

W społecznościówkach nie brakuje też zrzutów z Faceebooka zdjęć doktora Leśniewskiego, który chętnie zmieniał nakładki profilowe, jasno deklarując swoje poglądy. Napisy na nakładkach to m.in.: „Mam ugruntowane cnoty niewieście", „Wolne media", „Prawa człowieka" czy piorun – symbol tzw. Strajku Kobiet na tle sześciokolorowej tęczy. W normalnych okolicznościach poglądy dyrektora szpitala nie powinny mieć dla sprawy najmniejszego znaczenia, gdyby nie fakt, że próbuje się z tego zrobić sprawę polityczną.

„Zdaniem rodziny i moim przyczyną śmierci pani Izabeli były błędy medyczne: kobiecie w 22. tygodniu ciąży nie udzielono pomocy medycznej w takim czasie, aby zapobiec wstrząsowi septycznemu i uratować życie matki. Wiele jednak wskazuje na to, że obok względów medycznych lekarz, podejmując decyzje lecznicze, kierował się także swoim rozumieniem obowiązujących przesłanek dotyczących dopuszczalności terminacji ciąży" – powiedziała „Faktowi" pełnomocnik rodziny mec. Jolanta Budzowska.

Pytanie więc, czy na los pani Izy wpłynęło prawo czy raczej interpretacja tego prawa dokonana przez dyrektora i personel szpitala? Dyrektora o proaborcyjnych przecież poglądach, z czym nie krył się w mediach społecznościowych.

„W takich przypadkach, jak pani Izy, lekarze mają do dyspozycji jedną, dosyć pojemną przesłankę. Jeśli podtrzymywanie ciąży zagraża życiu lub zdrowiu kobiety, lekarz ma prawo taką ciążę terminować. W tym przypadku lekarze czekali na obumarcie płodu, prawdopodobnie dlatego, żeby uniknąć zarzutu o dokonanie nielegalnej aborcji – mówiła w rozmowie z TVN mecenas Budzowska. – Mówiąc kolokwialnie, to postawienie sprawy na głowie, bo lekarze bali się być może zarzutu aborcji, ale z pewnością nie skorzystali z legalnej furtki, którą mieli. Powinni terminować legalnie ciążę dlatego, że życie pani Izy było zagrożone. Ten stan zagrożenia życia dynamicznie narastał" – nie ma wątpliwości pełnomocnik rodziny.

Rodzina zmarłej kobiety i dziecka opublikowała list. Bliscy pani Izabeli dziękują za słowa wsparcia i współczucia. Proszą równocześnie, by ewentualną pomoc finansową oferować osobom w większej niż oni potrzebie. „Ponieważ jednak bliscy [...] są zdania, że wśród bezmiaru ludzkiej krzywdy są na pewno osoby będące w większej niż oni potrzebie finansowej, proszą, aby ewentualne wpłaty kierować na rachunek Fundacji Między Niebem a Ziemią, pomagającej rodzinom dzieci nieuleczalnie chorych, z dopiskiem #AniJednejWięcej" – czytamy na profilu Jolanty Budzowskiej.

eprasa.pl d4ace5c9e2

Kiedy kobieta wchodzi na ring – polityczny czy prawdziwy – musi się liczyć z ciosami. Ale te poniżej pasa nie mogą być akceptowane. Czasem jednak to kobiety faulują lub posuwają się zbyt daleko

Kobieta na ringu



Autopromocja

eprasa.pl d4ace5c9e2

W naszym życiu jest coraz więcej brutalności. To paradoks – z jednej strony przemoc się piętnuje i skrupulatnie opisuje wszelkie jej odmiany. Wprowadzano nawet pojęcie „mikroagresji", czyli drobnych działań, które mogą być odebrane jako przemoc. Z drugiej strony agresja wdziera się do mainstreamu, największą popularnością cieszą się najbrutalniejsze filmy typu „Squid Game" – mówi socjolog dr hab. Radosław Sojak.

Jak podkreśla, przemoc w stosunku do przeciwników politycznych zaczyna się od ich dehumanizacji. Kiedy używa się określeń „bydło" czy „wataha", neguje się ich człowieczeństwo i uznaje, że można sobie wobec nich pozwolić na wszystko. Spirala agresji coraz bardziej się nakręca.

– Nie ma już niewinnych. Właściwie przedstawiciele różnych sił politycznych powinni zasiąść do okrągłego stołu i się zastanowić, co w walce politycznej jest dopuszczalne, a co absolutnie nie. Tylko jak precyzyjnie nakreślić granice? – zastanawia się Sojak.

Nie potrzeba jednak socjologicznych analiz, by zauważyć, że w wojnie polsko-polskiej do tej pory funkcjonowały swoiste strefy bezpieczeństwa, podobne do tych, jakie powstają czasem w trakcie działań wojennych. Trafiają do nich kobiety i dzieci. Jeszcze do niedawna w naszej ideologicznej wojnie kobiety traktowane były mniej brutalnie. Jednak najwyraźniej się to zmienia.



MAJA NARBUTT

„Walnij się w zatłuszczony łeb" – te słowa polityka KO Radosława Sikorskiego skierowane na Twitterze do europosłanki PiS Beaty Kempy zaszokowały wielu. Są wręcz wzorcowym przykładem, jak brutalnie i bezpardonowo obraża się kobietę. Każdy element tej wypowiedzi jest nieakceptowalny – począwszy od agresji zawartej w sformułowaniu „walnij się w łeb", a skończywszy na użytej z premedytacją sugestii dotyczącej wyglądu. Fakt, że mężczyzna jednostronnie nie powinien przechodzić z kobietą na „ty", jest w tej sytuacji bez znaczenia, choć powinien być znany byłemu szefowi dyplomacji.

Zapewne gdyby Sikorski powiedział oponentowi politycznemu „walnij się w łysy łeb", przeszłoby to bez większego echa. Ale obrażanie kobiety nadal jest zdecydowanie nieakceptowane.

– Kiedyś mężczyźni używali wręcz innej konwencji w rozmowie z kobietami niż w rozmowie z mężczyznami. Nie opowiadali w ich towarzystwie ryzykownych dowcipów, te przeznaczone były dla męskiego grona. To oczywiście się zmieniło, ale chamstwo nadal pozostaje chamstwem – mówi psycholog prof. Kazimierz Pospiszyl, autor m.in. „Psychologii kobiety".

Argument Sikorskiego, który tłumaczył swoje zachowanie tym, że „wychował się na bydgoskim podwórku", uważa za zdecydowanie nietrafiony.

– Kilkadziesiąt lat mieszkam na warszawskiej Pradze, która nie cieszy się przecież najlepszą renomą. Ale i tam funkcjonuje określenie „damski bokser" i jest dyskwalifikujące – podkreśla prof. Pospiszyl.

22 listopada
w tygodniku SIECI

NASZE ORŁY ZNÓW W POWIETRZU
dodatek o skokach narciarskich

- **Zaczęła się zima na skoczniach**
  Stoch, Żyła, Kubacki i inni znów dadzą nam wiele radości i wzruszeń
- **Tak znajdują następców mistrza**
  Wyjątkowe programy szkoleniowe polskich skoczków narciarskich już od 17 lat budują potęgę naszej kadry



Fot. Shutterstock

PARTNER DODATKU:
LOTOS

eprasa.pl d4ace5c9e2

Tradycyjne konwenanse nie są już tak silne jak kiedyś, jednak nadal istnieją. Incydent z Sikorskim chyba zawstydził polityków KO, z tym większą ulgą przyjęli więc i nagłośnili fakt, że Ryszard Terlecki, wicemarszałek Sejmu z ramienia PiS, podczas wizyty w galerii handlowej powiedział krytykującej go kobiecie: „Jest pani kretynką".

I znów można założyć, że gdyby ta wypowiedź skierowana była do mężczyzny, nikt by się specjalnie nie przejął.

Chociaż na naszych oczach rozmontowano już pewien uświęcony tradycją system, w którym kobietę chroniły przynajmniej konwenanse i savoir-vivre, to polityk, który ją atakuje – traci. Tak jest jeszcze w tej chwili, nikt nie może jednak zaręczyć, że tak będzie w niedalekiej przyszłości.

ROZPOZNANIE BOJEM

„Spadł na nią grad ciosów" – mówił komentator sportowy relacjonujący pierwszą w historii polskiego MMA walkę kobiety z mężczyzną. Oszołomiona zawodniczka siadła na ringu, w końcu sędzia przerwał walkę, nie chcąc narażać jej na nokaut. Walkę powszechnie skrytykowano, odnotowały ją nawet brytyjskie tabloidy, pisząc o barbarzyństwie i zdziczeniu obyczajów.

Można powiedzieć, że w sensie dosłownym podczas gali MMA przeprowadzono rozpoznanie bojem tego, co jest akceptowalne w relacji mężczyzna–kobieta, a co nie.

I się okazało, że nawet ci, którzy nie stronią od brutalności i z satysfakcją patrzą, jak ich faworyt tłucze przeciwnika, mają zakodowaną barierę – nie lubią patrzeć, jak pod gradem ciosów słania się kobieta. Stało się oczywiste, że takich walk nie będzie już w polskim MMA w dającej się przewidzieć przyszłości.

Jest jeszcze jeden morał, który niekoniecznie spodoba się feministkom. Okazało się, że można nawet być mistrzynią w armwrestlingu, czyli siłowaniu się na rękę, i okazać się w walce słabszą od dość przeciętnego mężczyzny. To antropologiczny banał – kobieta ma mniejszą masę mięśniową, zasięg ramion i w konfrontacji fizycznej przegrywa. Dlatego nasza cywilizacja rozciągnęła nad nią parasol ochronny i przez wiele pokoleń wbijano mężczyznom do głowy hasło: kobiety nie bij nawet kwiatem.

Chcącemu, a raczej chcącej nie dzieje się krzywda – jednak negowanie oczywistych faktów często kończy się dla kobiety źle.

BEZKARNE HARPIE

Coraz więcej kobiet rwie się do konfrontacji z mężczyzną. Na płaszczyźnie fizycznej mogą przegrywać, na innej – niekoniecznie.

– Rozszerzyliśmy granice akceptacji dla kobiecej agresji. Przybywa kobiet nadagresywnych, które mówią o sobie, że są „w...ione". W brutalności prześcigają czasem mężczyzn. Jak mówi psycholog i autor bestsellerowych książek Jordan Peterson, mężczyzna jest bezradny, gdy zetknie się z „harpią", czyli kobietą, która nie zna granic – uważa socjolog Radosław Sojak.

Mężczyźni, zachowując się wobec siebie agresywnie, mają w tyle głowy świadomość, że każda kłótnia może się skończyć przejściem do rękoczynów i fizycznym starciem. To skłania do ostrożności i studzi emocje.

Kobiety takiego hamulca nie mają, rozkręcają agresję, uważając, że nie nie będzie dla nich fizycznych konsekwencji.

– Zobaczyłam kiboli w okolicach mostu Poniatowskiego. Zachowywali się fatalnie. Posłałam im najgorszy bluzg, na jaki mnie było stać. Stulili po sobie uszy i poszli, bo faszyści są tchórzliwi – opowiadała mi z triumfem znana feministka.

Nie dała się przekonać, że kibole odeszli nie dlatego, że przestraszyli się jej bluzgu, ale dlatego, że nie chcieli się kłócić z kobietą.

– Niektóre kobiety zaistniały w polityce dzięki agresji. Ale kobiety takie jak Marta Lempart czy Klementyna Suchanow tak naprawdę nie mają żadnej politycznej przyszłości. Owszem, są przydatne dla opozycji, budzą wręcz euforię, bo atakują to wstrętne PiS. Jednak są tylko szpicą zapuszczaną na teren przeciwnika. I na tym się ich rola kończy – uważa politolog i specjalista od marketingu politycznego dr Bartłomiej Biskup. Jak mówi, nie ma rozsądnego marketingowca, który doradziłby partii politycznej wzięcie Lempart na listy wyborcze. To zbyt duże ryzyko kompromitacji i odstraszenia własnego elektoratu.

NIE WIERZ ŁZOM

Można się zastanawiać, czy celebrytka i aktorka Barbara Kurdej-Szatan zamieściłaby na instagramowym profilu obficie okraszony wulgaryzmami wpis, w którym nazywa Straż Graniczną „mordercami", gdyby wcześniej drogi nie przetarła jej Marta Lempart. Zapewne Kurdej-Szatan uznała, że taki sposób ekspresji jest akceptowany, a nawet pożądany. A jeśli nie zacznie się komunikatu od słowa na „k", to tak jakby go nie było, bo nikt nie uwierzy, że sprawa jest ważna, autorka tekstu zaś naprawdę się nią przejmuje.

Jednak się przeliczyła. Opinia publiczna najwyraźniej doszła do wniosku, że obrażając Straż Graniczną, aktorka przekroczyła granice dopuszczalnej publicznie wypowiedzi. Na Kurdej-Szatan spadły gromy. Najpierw zareagował Play, czyli sieć telefonii komórkowej, z którą związana jest poprzez kampanię reklamową. Jednak była to reakcja anemiczna, wspomniano tylko, że są to jej prywatne poglądy. Kurdej-Szatan przeprosiła wówczas za wulgaryzmy.

Ale kiedy okazało się, że wypadła z serialu w TVP, a Polsat daje do zrozumienia, że raczej nie będzie miał dla niej nowych propozycji, aktorka przeprosiła naprawdę. A właściwie zaprzeczyła wszystkiemu, co stwierdziła wcześniej. Trudno jednak uwierzyć, że „szanuje ciężką pracę wszystkich mundurowych i docenia ich wysiłki, by zapewnić nam bezpieczeństwo", skoro pisała o nich „to są maszyny bez serca, bez mózgu, bez NICZEGO!!! Maszyny ślepo wykonujące rozkazy!!!".

Przestraszona krytyką zadbała też, by plotkarskie portale – powołując się na koleżanki aktorki – napisały, że „Baśka popłakuje na korytarzu".

– Łzy Sawickiej. Tak należy określić tę reakcję. Kiedy sytuacja zaczyna się rozwijać w niekorzystny sposób, należy się rozpłakać. Ale to już raczej nie skutkuje – mówi Bartłomiej Biskup.

Od czasu gdy posłanka PO Beata Sawicka, na której ciążyły zarzuty korupcyjne, rozpłakała się publicznie i wy-

13/0121/F

eprasa.pl d4ace5c9e2

znała, że uwiódł ją agent CBA, minęło kilkanaście lat. Zmieniło się bardzo dużo – tamten spektakl wywrócił polityczny stolik. Teraz nie byłoby to możliwe.

Ale kobiece łzy nadal płyną w życiu publicznym. Płaczą kobiety, które zostały sfaulowane – łzy zakręciły się w oczach Beaty Kempy, kiedy opowiadała w studiu telewizyjnym, jak potraktował ją Sikorski. Płaczą te, które przegrały – łzami zalała się w szatni walcząca w MMA i pokonana przez mężczyznę zawodniczka. Płaczą wreszcie te, które uświadomiły sobie, jak Kurdej-Szatan, że jednak będą musiały ponieść konsekwencje swoich słów.

Przyznajemy nadal kobietom prawo do łez, podczas gdy łzy mężczyzn działających w polityce traktowane są zupełnie inaczej. Szymon Hołownia płaczący nad konstytucją wywołał rozbawienie i się ośmieszył. Płacząca kobieta może się spotkać ze współczuciem, jednak prawdziwa lub udawana manifestacja kobiecej wrażliwości nie robi już specjalnego wrażenia. Od kobiet, które działają w życiu publicznym, coraz bardziej oczekujemy bowiem cech, które kiedyś uchodziły za męskie – czyli odporności psychicznej.

FEMINISTKI I FIGHTERKI

– Doprowadzam do wściekłości feministki, kiedy mówię im, że ich ikoną powinna być prof. Krystyna Pawłowicz. Osiągnęła przecież sukces w zdominowanym przez mężczyzn świecie, wspięła się na szczyt kariery zawodowej. Działa też w sposób zarezerwowany dawniej dla mężczyzn, ostro wchodzi w starcia, jest typem fighterki – mówi mi jeden z socjologów.

Brzmi to logicznie, jednak w życiu politycznym obowiązuje inna logika. Plemienne podziały okazują się ważniejsze niż wyznawana ideologia. Teoretycznie feministka zawsze powinna stanąć w obronie kobiety, ale bywa z tym różnie.

– Nie czas żałować róż, gdy płoną lasy. Proszę nie oczekiwać, że oburzę się brakiem elegancji Sikorskiego, znacznie bardziej oburza mnie antykobieca, pisowska postawa posłanki Kempy niż zarzut wobec niej, że ma tłuste włosy, zwłaszcza że ma. W naszym życiu politycznym do głosu dochodzi faszyzm, i to mnie przeraża, a nie brak etykiety polityków stojących po stronie demokracji – mówi mi prof. Magdalena Środa, feministka i etyczka.

Nawet poprawność polityczna idzie w kąt, gdy w grę wchodzi walka polityczna. I chociaż feministki oburzają się, gdy ktoś sugeruje, że kobieta w najmniejszym nawet stopniu przyczyniła się do tego, że padła ofiarą gwałtu czy agresji, to tę zasadę potrafią zawiesić. Najwyraźniej nie funkcjonuje ona w odniesieniu do wszystkich kobiet, a poniżanie z powodu wyglądu, czyli tzw. body shaming, okazuje się całkiem w porządku.

Tymczasem socjolodzy uważają, że kobiety w życiu publicznym będą się spotykać z coraz większą agresją. – Chwieje się porządek oparty na tradycyjnym podziale ról. Młodzi mężczyźni nie uważają już, że kobiecie należy się jakieś specjalne kurtuazyjne traktowanie. W dodatku wychowali się w bliskim kontakcie z pornografią, a ta ma w sobie zakodowaną przemoc wobec kobiet – mówi jeden z moich rozmówców.

REKLAMA

Lokata
na nowe środki PLUS

Ulokuj nawet do 50 000 zł
na lokacie 5-miesięcznej
i ciesz się zyskiem!

aż
2,22%
w skali roku

Szczegóły na temat warunków oferty dostępne
na **www.kasastefczyka.pl** oraz w placówkach.

kasastefczyka.pl
801 600 100
(koszt wg taryfy operatora)

KASA STEFCZYKA
Zawsze u siebie

eprasa.pl d4ace5c9e2

Profesura z blizną

Historia profesury Andrzeja Zybertowicza jest nie tylko „ciekawa”, z czego najbardziej korzystają media, ale nade wszystko posiada sporą moc diagnozującą. Pokazuje bowiem w jakimś wymiarze stan naszych elit



ALEKSANDER NALASKOWSKI

Oto bowiem odmawia się przedstawienia do tytułu profesorskiego człowieka o uznanym dorobku naukowym, który karierę polityczną zrobił dzięki swojej wiedzy naukowej, a nie na odwrót, jak miewa to miejsce, że karierę naukową robi się dzięki koneksjom politycznym. Obecna pozycja Andrzeja Zybertowicza (urzędnik w Kancelarii Prezydenta RP) wynika z jego wiedzy, którą gromadził przez całe lata pracy naukowej. To czyste wdrożenie teorii do praktyki. Tego wszak od nauki oczekujemy. Trudno byłoby mi znaleźć drugi przykład polityka tak bardzo ukorzenionego w nauce i tak rzetelnie bazującego w swojej pracy na twardych przesłankach naukowych. Dlatego niejednokrotnie mu współczuję rozmów z dziennikarzami czy politykami. Oni mniemają o tym, o czym Zybertowicz po prostu coś naprawdę wie.

Jako uczony i komentator życia społecznego w Polsce ma jednak (jak paru innych) zadanie utrudnione, gdyż w pospolitym odbiorze wtapiany jest w grupę ulepioną z tytularnych i nietytularnych profesorów, wśród których są i Joanna Senyszyn, i Wojciech Sadurski, Ireneusz Krzemiński, Maciej Gdula, Monika Płatek, Magdalena Środa, Marcin Matczak czy Adam Bodnar, którzy zabierając głos publiczny, korzystają ze swoich zasobów ideologicznych i emocjonalnych, nie zaś z namiastkowej chociażby wiedzy naukowej. A może ich naukowa wiedza jest bezużyteczna? Zybertowicz uwiarygadnia swój głos nauką i dowodami, a oni tym, że są profesorami.

Nic więc dziwnego, że dopuszczenie go do grona namaszczonych purpuratów spotkało się z gwałtowną i osobliwie zgodną reakcją powołanych do oceny jego dorobku socjologów. Jest tu jedna jeszcze rzecz, którą warto podkreślić. W oceanie „naukowych” publikacji nieistotnych, ledwie przyczynkarskich, powierzchownych i miałkich dorobek Zybertowicza jest „o czymś”, jest wyrazisty i metodologicznie nienaganny. To ważny kontekst tejże sytuacji.

PŁASZCZ BAREI

Na etapie wyznaczania recenzentów dopuszczono się dość farsowego błędu. Jego ilustracją jest wyznaczenie do napisania opinii profesora nie tylko kompletnie nieistniejącego w wąskim nawet obiegu międzynarodowym, lecz także będącego swoistym NN w Polsce. Tymczasem rozpoznawalność Zybertowicza (mierzona cytowaniami jego prac za granicą i zagranicznymi publikacjami) jest przy prostym podliczeniu większa niż wszystkich recenzentów razem wziętych! Najwyraźniej zasada, że księdza namaszcza biskup, a rycerza pasuje inny rycerz, tutaj nie obowiązywała. Świadczy to też o niestarannym, przypadkowym lub czynionym za pomocą nieznanego klucza dobrze rzeczoznawców. Takie rzeczy trzeba poddać wcześniejszemu rozpoznaniu, bo to pozwala uniknąć takich jak w tym przypadku absurdalnych piruetów.

Osobnym zagadnieniem są treść i forma recenzji. Tutaj wyjaśnię, że napisałem prawie 50 recenzji habilitacyjnych i niemal 20 profesorskich, wiem zatem, o czym piszę. Szokująca jest objętość kilku opinii. Półtorej strony,

eprasa.pl d4ace5c9e2

cztery strony..., a oceniany był dorobek składający się z kilku tysięcy stron! Pisząc recenzję negatywną, należy ją dokładnie i merytorycznie uzasadnić, tu nie ma nawet milimetra przestrzeni na widzimisię eksperta. Przejrzałem napisane przez siebie recenzje negatywne. Z wyjątkiem jednej mają od 16 do 27 stron. Ów wyjątek stanowi recenzja jednostronicowa, w której ujawniam ewidentny i obszerny plagiat habilitanta. Takie przestępstwo całkowicie dyskwalifikuje ambicje do awansu naukowego. Awans naukowy to nie tylko kwestia kariery, lecz także los człowieka. Dlatego swoje „nie" trzeba adekwatnie uzasadnić, każdy wątpliwy aspekt dorobku obejrzeć z wielu stron i jednoznacznie wskazać niedoskonałości. Aby to zrobić, należy dokładnie, słowo po słowie, akapit po akapicie zapoznać się z całym ocenianym materiałem. A to ogromna praca, bo coraz częściej bywa, że dorobek przysłany do recenzji mieści się w sporym kartonie. Jeśli na dodatek są w nim materiały obcojęzyczne, to trzeba znać ów język obcy. A nie udawać, że się zna lub „nie zauważyć" materiałów w niepolskim języku. Należę do tej grupy profesorów, którzy nie podejmują się recenzji, gdy dorobek kandydata zawiera teksty napisane w języku, w którym nie poruszam się dość swobodnie.

Zaskakuje i zdumiewa to, że recenzje negatywne profesury Andrzeja Zybertowicza na odległość zalatują pobieżnym albo rzekomym zapoznaniem się z jego dorobkiem lub tyleż krągłymi co kompletnie oberwanymi ze znaczeń generalizacjami. Dla pełni obrazu dodam, że sporządzanie recenzji nie jest bezpłatne, a kwota, którą zarabia recenzent, jest podobna do średniej krajowej emerytury (dane z 2020 r.). I na te pieniądze trzeba uczciwie i rzetelnie zapracować.

Osobną kwestią jest sposób napisania recenzji. Tutaj kilku rzeczoznawców udowodniło, że nie są w stanie oddzielić kandydata do tytułu naukowego od polityka. To umiejętność dla nich niedostępna, lecz jednocześnie jaskrawo wpływająca na formułowane opinie. Bywa, że recenzuję dorobek księży, osób o lewicowych poglądach, genderystów czy feministki i nie śmiałbym



Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl d4ace5c9e2

ich poglądów traktować jako atutu czy mankamentu dorobku. Oceniam to, co otrzymałem do oceny, a nie to, co usłyszałem w mediach czy wyczytałem o nich w gazecie. Mimo że niesłusznie przyklejono mi łatkę konserwatywnego profesora, nigdy nie usłyszałem zarzutu, że moje opinie mają charakter pozamerytoryczny. I nie jestem tu wcale rzadkim wyjątkiem. Grupa profesjonalistów wśród profesorów ciągle istnieje.

Jeśli jednak sformułowanie oceny dorobku naukowego odbywa się poza przestrzenią naukową, poza naukową argumentacją i zawiera uprzedzenia czy upodobania rzeczoznawcy, to rychło możemy się spodziewać, że do głosu dojdą argumenty w stylu „jest transfobem" czy „jest kurduplem" jako rozstrzygające o jakości przedstawionego do oceny dorobku.

W niektórych recenzjach profesury Zybertowicza znajdujemy ton drwiny, szyderstwa i całkowitej bezkarności w formułowaniu opinii. Owa barejowska bezkarność „nie mamy pańskiego płaszcza i co nam pan zrobi" już odbija się nam czkawką, a w przypadku tej profesury jest to czkawka głośna i cuchnąca. To winno wzbudzać środowiskowy wstyd. Wzbudza?

Nie cytuję tu omawianych recenzji. Można je znaleźć na oficjalnej stronie Centralnej Komisji ds. Tytułów i Stopni Naukowych. Mają charakter jawny.

ODWRÓCONA ABSORBCJA

Profesura Andrzeja Zybertowicza znalazła nie tyle szczęśliwy, bo trudno tu mówić o szczęściu, ile sprawiedliwy finał. Dzięki postawie Prezydium Rady Doskonałości Naukowej (a w tym gronie pedagoga, prof. Bogusława Śliwerskiego) i pozbawionemu pozamerytorycznych przesłanek wglądowi w dorobek kandydata został mu przyznany tytuł profesora nauk społecznych, a niebawem prezydent potwierdzi to zapewne wręczeniem nominacji. To konstruuje nadzieję, że nie całe środowisko nauk społecznych traktuje ocenianie innych jak medialną polemikę czy pyskówkę publicystyczną, że nie wszyscy sędziowie są gotowi dać zawodnikowi czerwoną kartkę jeszcze przed rozpoczęciem meczu.

Dlaczego nie można tego jednak uznać za szczęśliwy finał? To oczywiste. Wraz z tytułem profesora powstanie przekaz o „sprawie Zybertowicza", który za jego profesurą będzie się krzywdząco wlókł. Skaleczono człowieka, ranę zdezynfekowano i zaopatrzono, ale blizna pozostanie.

Ta historia mówi nam jednak więcej niż tylko o jednym przypadku. Pokazuje bowiem w jakimś wymiarze stan naszych elit, które ulegają niejako „odwrotnej absorbcji". Coraz częściej bowiem nie wytwarzają wzorców, a można tu mówić już o całych instytucjach akademickich, nie kształtują postaw, nie są w awangardzie zmiany i ulepszania świata, lecz zasysając „zewnętrzność" – są kształtowane. Absorbując myślenie, język, zachowania ulicy, same stają się ulicą. Tomasz Sobierajski, socjolog edukacji z UW, stwierdził publicznie, że dla niego „Szalenie wyzwalające było +Wypierdalać!+" [słyszane na ulicy – przyp. A.N.]. Tego w wywiadzie nawet nie wykropkowano. Zatem już nie prawda nas wyzwala, ale...?

> Mamy do czynienia z ogromnym kryzysem podstawowej kategorii naukowej, jaką jest prawda. Sprawa Zybertowicza ilustruje, jak w majestacie prawa można się z nią mijać, biorąc za to honorarium

KRYZYS PRAWDY

Maksyma „amicus Plato, sed magis amica veritas" przestaje obowiązywać, zwłaszcza w tych naukach, gdzie badamy najszerzej pojętą kulturę, a nie naturę, której praw nie jesteśmy w stanie zmieniać. Mamy więc do czynienia z ogromnym kryzysem podstawowej kategorii naukowej, jaką jest prawda. Sprawa Zybertowicza ilustruje, jak w majestacie prawa można się z nią mijać, biorąc za to honorarium. Jak można właściwe kryterium oceny zmienić na dowolnie inne. Czy wreszcie, jak beztrosko i nieodpowiedzialnie podchodzi się do oceny dorobku.

A przecież może to działać także w drugą stronę. Czy nie istnieje niebezpieczeństwo, że stopnie naukowe i tytuły otrzymają miernoty, twórcy naukowej makulatury czy hochsztaplerzy akademiccy, ale będący po właściwej stronie, po stronie zasysających? Ależ istnieje! Być może trzeba by rozważyć całkowite wykluczenie z grona ekspertów tych, którzy piszą recenzje zideologizowane, zdawkowe, nierzetelne, ogólnikowe, niezgodne z kompetencjami, nasycone drwiną czy bezkarnie stronnicze?

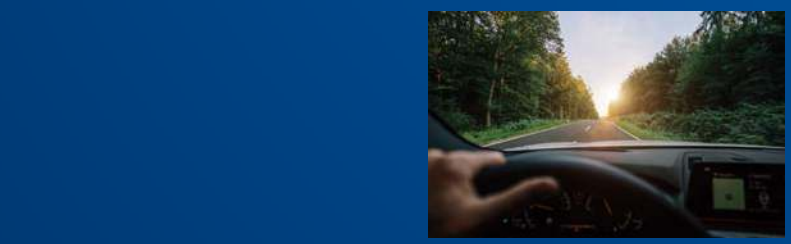
I jeszcze jedna sprawa, o której warto tu napomknąć. To kwestia grantów międzynarodowych w szeroko pojętej humanistyce. Wystarczy przejrzeć ich ofertę, aby dostrzec, że naukowe (podkreślam – naukowe!) badanie istnienia społecznych źródeł homoseksualizmu czy transseksualizmu, faktyczny wymiar i przyczyny ruchów BLM, zbadanie rozmiarów i sfer zdominowanych przez poprawność polityczną etc., jest w zasadzie poza szansami na sfinansowanie, co wyraźnie wskazuję, że tych badań międzynarodowi skarbnicy nauki sobie po prostu nie życzą.

Nie sądzę, aby w najbliższych latach coś się tutaj zmieniło. Dzisiejszą Akademię trawi ogromny bezwład, wystraszona, nijaka i milcząca większość, pozory nauki i urzędowe dekretowanie wielkości, czyli punkty, pozyskiwanie grantów, nadawanie statusu „uczelni badawczej" i mnożące się komisje ds. równości, tolerancji czy czego tam jeszcze. To nie ma nic wspólnego z nauką, która istnieje siłą niewielkich enklaw, małych – mniej lub bardziej formalnych – grup badawczych ulokowanych w pozaideologicznej niszy, w której nadal liczy się poszukiwanie prawdy.

Reklama | 38/1021/F

eprasa.pl d4ace5c9e2

PONAD 23 MILIARDY ZŁOTYCH NA INWESTYCJE







POLSKI ŁAD

RZĄDOWY FUNDUSZ POLSKI ŁAD
PROGRAM INWESTYCJI STRATEGICZNYCH

Ponad 23 miliardy z rządowego funduszu
– może z nich skorzystać każda gmina w Polsce.

To pieniądze przeznaczone przez rząd na: drogi, wodociągi, ekologię, edukację dzieci i obiekty sportowe.

Bo Twoja okolica zasługuje na wielkie inwestycje.

Rządowy Fundusz Polski Ład
Program Inwestycji Strategicznych.

Po prostu inwestujemy w Polskę.

Program realizowany jest poprzez promesy inwestycyjne Banku Gospodarstwa Krajowego.

www.bgk.pl

BGK
BANK GOSPODARSTWA KRAJOWEGO

eprasa.pl d4ace5c9e2

Pokolenie bumerang

Wybuch pandemii COVID-19 i wzrost bezrobocia wśród młodych ludzi wywołał falę tzw. boomerang kids, czyli wymuszonych ekonomicznie powrotów dorosłych dzieci do rodzinnego domu. Już wcześniej widać było jednak trend do coraz późniejszego wchodzenia w dorosłość i samodzielność



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Chrissy Walker miała wielkie plany. 22-latka skończyła w 2019 r. studia, tuż przed wybuchem pandemii COVID-19. Mieszkała w Nowym Jorku wraz z innymi studentami. Patrzyła optymistycznie w przyszłość. Wspólnie ze współlokatorami ukuli hasło, które miało im przewodzić przez cały 2020 r.: „Nasz rok, na pewno!" (Our year, for sure!). Zaczęli szukać pracy, mieszkań. Ale potem uderzył koronawirus. Dziś Walker mieszka u rodziców na przedmieściach Austin w Teksasie. – Czuję się, jakbym nie otrzymała szansy na start w dorosłe życie. Nie wiem co dalej – skarży się w rozmowie z portalem The Atlantic. 30-letni Eric Rivera, choć starszy pokolenie od Walker, ma podobne odczucia. Planował dalszy rozwój kariery w sektorze big tech, zakup własnego mieszkania i „eleganckich mebli, tylko nowych, nie z drugiej ręki". Ale w marcu 2020 r. zwolniono go z pracy. Teraz koczuje w piwnicy domu rodzinnego w New Jersey. – Byłem na drodze do bycia prawdziwym dorosłym, a wróciłem, chcąc nie chcąc, do okresu dzieciństwa – podkreśla. Jedyną zaletą mieszkania z rodzicami jest jego zdaniem „dostęp do zmywarki oraz pralki".

KRYZYS EGZYSTENCJALNY

Walker i Rivera to przedstawiciele tzw. pokolenia bumerang, 20- i 30-latków, którzy po krótkiej wyprowadzce i próbie usamodzielnienia się wracają pod skrzydła rodziców. Pandemia COVID-19 została optymistycznie nazwana „wielką pauzą" (The Great Pause). Miała dać okazję do przemyśleń, do ponownej oceny życia i priorytetów. Ale dla wielu młodych ludzi stała się przyczyną kryzysu egzystencjalnego: musieli spakować rzeczy i wrócić do rodzinnego domu, gdy stracili pracę (restrykcje sanitarne zablokowały branże z dużym udziałem młodych pracowników – np. restauracyjną, fitness, turystyczną czy eventową) bądź wprowadzono zdalne nauczanie. Kampusy uniwersyteckie opustoszały. Odsetek młodych Amerykanów mieszkających z rodzicami wzrósł w 2021 r. do 52 proc. z 47 proc. rok wcześniej.

Według portalu nieruchomości Zillow, który przeanalizował oficjalne dane amerykańskiego rządu, ok. 2,9 mln młodych dorosłych ponownie zamieszkało z rodzicami lub dziadkami w marcu, kwietniu i maju 2020 r. Większość miała 25 lat lub mniej. Część już wróciła bądź wróci na uczelnię, dla innych przyszłość wygląda bardziej niepewnie. Nie jest to też zjawisko ograniczone do USA, ale wspólne dla świata zachodniego.

26-letni Faissal Sharif, student neurobiologii, miał w 2020 r. odbyć staż naukowy w laboratorium w Imperial College London, ale pandemia przekreśliła tę możliwość. Wrócił więc do rodziców, do małej wioski w kraju związkowym Hesja w Niemczech. Było to dla niego ogromnym rozczarowaniem, bo w wieku 18 lat wyprowadził się z domu. Bronił się przed tym powrotem – jak podkreślił w rozmowie z portalem Deutsche Welle – ale nie miał się jak utrzymać w brytyjskiej stolicy, która „całkowicie opustoszała". – Nie było ani stażu, ani możliwości znalezienia pracy, ani żadnej rozrywki – dodał. Większość jego kolegów i koleżanek ze studiów wróciła do rodziców. Nie było ich stać na płacenie wysokich londyńskich czynszów, gdy możliwości znalezienia pracy spadły do zera. Jak podkreśliła w rozmowie z portalem The Atlantic Jennifer Caputo, socjolog z uniwersytetu w Chicago, która przeprowadziła badania wśród „dzieci bumerangów" w Stanach Zjednoczonych, szczególnie u tych, które zostały zmuszone do powrotu do domu rodzinnego z powodu COVID-19, występują objawy depresji. – Niezależność finansowa i społeczna, a także prosty fakt życia we własnej przestrzeni są postrzegane jako ważne kroki na drodze do przejścia w dorosłość. Gdy to się nie udaje, młodzi ludzie tracą nadzieję na przyszłość – dodała. 27-letnia Ruby Webster jest jedną z 3,5 mln młodych, bezdzietnych Brytyjczyków w wieku 20–34 lat, którzy według dziennika „The Guardian" mieszkali jesienią ub.r. u rodziców. Powrót do rodzinnego domu odczuła jako „nienormalny". Nie miała jednak innego wyboru, ponieważ straciła pracę w administracji publicznej. Dziś dzieli rodzinny dom w West

eprasa.pl d4ace5c9e2

Yorkshire nie tylko z rodzicami, ale i z młodszą siostrą, która musiała zrezygnować z pokoiku w kampusie, po tym jak wykłady na jej uczelni zostały przeniesione na tryb online.

Według danych amerykańskiego Biura Spisu Ludności (Census Bureau) z 2015 r. aż 82 proc. Amerykanów powyżej 40 lat uważa, że wyprowadzenie się z domu rodziców jest ważnym elementem osiągnięcia stanu dorosłości. Większość respondentów uznała ponadto, że powinno to nastąpić w wieku 21 lat. Tymczasem mniej niż połowa 21-letnich Amerykanów opuszcza rodzinny dom w tym wieku. Większość robi to o wiele później.

PRZEDŁUŻAJĄCA SIĘ MŁODOŚĆ

Myli się bowiem ten, kto sądzi, że powrót 20- i 30-latków, czyli przedstawicieli pokoleń milenialsów i zetów, pod skrzydła rodziców po kilku latach, a czasem kilku miesiącach samodzielności, jest zjawiskiem nowym lub ściśle związanym z pandemią, choć ona je oczywiście zaostrzyła.

Według danych amerykańskiego Biura Spisu Ludności (Census Bureau) od połowy lat 80. do końca lat 2000 odsetek osób w wieku 25–34 lat mieszkających w USA w rodzinnym domu oscylował w granicach 10–12 proc. Liczba ta zaczęła rosnąć wraz z wybuchem kryzysu finansowego w 2008 r., który pociągnął za sobą wzrost bezrobocia, stagnację płac, wzrost czynszów oraz cen nieruchomości i znaczne zmniejszenie się siły nabywczej Amerykanów. W 2010 r. ponad 13 proc. młodych mieszkało z rodziną, w 2015 r. było to 15 proc., by trzy lata później wzrosnąć do 17 proc. Wraz z wybuchem pandemii COVID-19 ten odsetek ponownie wzrósł. W styczniu Pew Research Centre opublikowało dane, z których wynika, że w minionym roku pandemicznym ponad połowa Amerykanów w wieku 18–29 lat mieszkała z rodzicami lub dziadkami. To najwyższy odsetek od czasów Wielkiej Recesji. W Irlandii odsetek ten wyniósł 78 proc.

Te dane odzwierciedlają stały trend. Coś zmieniło się w sposobie, w jaki młodzi ludzie rozpoczynają dorosłe życie. – Więcej ludzi uczy się dłużej, później zawiera małżeństwa i ma pierwsze dziecko w późniejszym wieku niż kiedykolwiek wcześniej – zaznaczył Jeffrey Jensen Arnett, psycholog z Clark University, w rozmowie z „The Washington Post". – W konsekwencji mamy więcej młodych osób pozostających w domu lub przeprowadzających się z powrotem do domu, niż było 40 lub 50 lat temu – podkreślił. Według Arnetta okres między 18 a 29 lat to dziś „otwarty etap rozwoju". Młodym dorastającym jest się do 30. roku życia, a nawet dłużej. Małżeństwo stało się trofeum, które następuje na koniec etapu dojrzewania, a nie na jego początku. Wielu młodych ludzi pozostaje więc długo bezdzietnymi singlami, którym zwyczajnie wygodniej jest

eprasa.pl d4ace5c9e2

mieszkać z rodzicami. Do tego dziś na rynku pracy coraz bardziej cenione jest wyższe wykształcenie. Kto go nie ma, tego często nie stać na samodzielne życie, bo nie jest w stanie znaleźć pracy, która pozwoliłaby mu opłacić wszystkie rachunki. Jak zauważa Karen Fingerman, wykładająca ludzki rozwój na uniwersytecie w Teksasie, na Zachodzie jest też coraz więcej młodych osób samotnie wychowujących dzieci. – Często wprowadzają się wtedy do swoich rodziców, bo mogą liczyć na ich pomoc – uważa Fingerman.

Nie wszyscy podchodzą jednak tak życzliwie do zwyczajów życiowych milenialsów i zetów. Pismo „Time Magazine" określiło ich jako „wiecznych Piotrusiów Panów", a amerykańska stacja telewizyjna CNBC wzywała milenialsów w 2017 r. do tego, „by się wreszcie wyprowadzili z domu i zaczęli układać sobie życie!". Nie brakuje także poradników dla rodziców, jak pozbyć się uciążliwych pociech, które nie chcą wyfrunąć z domowego gniazda.

POSTRACH PRACODAWCÓW?

Fingerman uważa, że to niesprawiedliwe, bo „uwarunkowane kulturowo". Tymczasem w takich krajach jak Włochy czy Hiszpania życie w ramach wielopokoleniowych rodzin jest „czymś normalnym". We Włoszech 66,5 proc. 25–29-latków mieszkało w 2018 r. z rodzicami. Niektórzy trzymają się matczynego fartucha zresztą o wiele dłużej i opuszczają rodzinny dom, jeśli w ogóle, gdy przekroczą czterdziestkę. Ukuto dla nich we Włoszech nawet specjalne określenie „bamboccioni", czyli duże dzieci. Przez włoskie sądy cywilne przetoczyły się setki spraw dotyczących „przymusowego" utrzymania tych dużych dzieci przez rodziców. W jednym przypadków sąd zdecydował, że para musi utrzymywać 35-letniego syna, aspirującego muzyka, ponieważ „nie można od niego oczekiwać, by przyjął pracę nieodpowiadającą jego talentowi". Bezrobocie wśród młodych we Włoszech (29,8 proc.) czy Hiszpanii (30,6 proc.) zapewne odegrało rolę w powstaniu „bamboccioni", jednocześnie wydaje się, że dążenie do samodzielności w młodych pokoleniach słabnie.

Większość amerykańskich milenialsów bowiem uważa, według Pew Research Centre, że wiek, w którym mieszkanie u rodziców staje się powodem do wstydu, to... 28 lat. A praca to przyjemność, dająca możliwość rozwoju osobistego, a nie przymusowa czynność w celach opłacenia rachunków. Zety są w tej dziedzinie zresztą jeszcze bardziej wymagające od milenialsów. Według niemieckiego ekonomisty Christiana Scholza, autora książki „Pokolenie Z", dla młodych ważniejsi są znajomi i czas wolny od wysokiego wynagrodzenia. – Żyjesz tylko raz – mówią (YOLO – You only live once). O dziwo, zdaniem Scholza, pokolenie Z nie jest w ogóle idealistyczne, inaczej niż boomersi. – Wiedzą, że świat pracy jest niesprawiedliwy, że prezesi koncernów zarabiają miliony, a inni są zwalniani z dnia na dzień, ale uważają, że tego i tak nie da się zmienić, więc nawet nie próbują. Nie zamierzają się też przepracowywać jak boomersi czy milenialsi, którzy próbują dogonić sukces rodziców. To oznacza niestety także, że gdy w weekend nagle trzeba zrobić prezentację, to szef musi sobie sam z nią poradzić, bo na zetów nie ma co liczyć – wyjaśnił ekonomista w rozmowie z „Wirtschafts Woche". Według niego nowe pokolenie młodych nie rozumie także pojęcia lojalności wobec firmy. – Jeśli im coś nie pasuje, zwalniają się po prostu z pracy. Potrzebują stałych pochwał i nie lubią, gdy są obciążani dużą odpowiedzialnością czy ponoszą ryzyko. Potrzebują jasnych wskazówek i sztywnych struktur – twierdzi Scholz. Są realistami, którzy od ideałów, ciężkiej pracy i ambicji wolą atmosferę loftu w pracy i dużo wolnego czasu. Co nie oznacza, że zety nie zajmują się polityką. Zajmują. To oni stanowią większą część aktywistów klimatycznych. Nie walczą jednak jak milenialsi o lepszą przyszłość tylko o to, by w „ogóle mieć jakąś przyszłość". Czują się jak małe trybiki wielkiej maszyny, która może ich zgnieść. W końcu urodzili się po 1995 r. w świecie w pełni scyfryzowanym i znajdującym się w permanentnym kryzysie.

> Około 2,9 mln młodych dorosłych Amerykanów ponownie zamieszkało z rodzicami lub dziadkami tylko od marca do maja 2020 r. Większość miała 25 lat lub mniej. Jest to niestety zjawisko wspólne dla świata zachodniego

Z badań Lorenza Schottera, dyrektora Instytutu ds. Badań nad Pokoleniami w Augsburgu, wynika zgoła coś innego. – Zety są roszczeniowe, przeceniają swoje umiejętności i wykazują się nadmierną pewnością siebie – podkreślił Schotter w rozmowie z dziennikiem „Die Welt". Według niego 72 proc. młodych Niemców w wieku 16–30 lat „może sobie wyobrazić przejęcie pozycji kierowniczej w ciągu najbliższych pięciu lat". – Praca ma być fajna i kolorowa. Masaże po południu czy kursy fitnessu, 40 dni urlopu i od razu na początek 80 tys. euro rocznie pensji – śmieje się badacz. Jednocześnie, jak zaznacza, zety nie wiedzą, czego chcą. Możliwości jest zbyt dużo i kieruje nimi strach podjęcia złej decyzji. – Jest to egocentryczne pokolenie, choć mniej niż milenialsi. Każdy chce się realizować, ale nie wie jak. Poczucie obowiązku jest u tych młodych jednocześnie bardzo słabe. Także wobec państwa. Jest to pokolenie, które ma duże wymagania, ale jest jednocześnie niesłychanie naiwne. Zety ciągle porównują się do innych, online i offline, boją się, że coś przegapią. W ogóle się boją i mają bardzo negatywny, wręcz cyniczny ogląd rzeczywistości. Z tym pracodawcy będą musieli sobie jakoś poradzić – konkluduje Schotter.

eprasa.pl d4ace5c9e2



Szansa na ograniczenie emisji CO_2

LOTOS Petrobaltic wraz ze swoimi partnerami – Grupą LOTOS i Grupą Azoty – zaprezentował na początku listopada zbiór rekomendacji co do zmian legislacyjnych mających umożliwić uruchomienie w Polsce wielkoskalowych, komercyjnych projektów dotyczących podziemnego składowania dwutlenku węgla (ang. carbon capture and storage – CCS)

„Zielona księga dla rozwoju CCS w Polsce. Postulaty biznesu w procesie legislacyjnym" obejmuje rekomendacje co do zmian przepisów. Uchwalone w 2014 r. prawo regulujące opisaną działalność nie przystaje do dzisiejszego stanu wiedzy, nauki i techniki. Dlatego też w ramach spółki LOTOS Petrobaltic utworzono zespół roboczy, który przy wsparciu partnerów z LOTOSU oraz Grupy Azoty opracował dokument opisujący zidentyfikowane problemy prawne, utrudniające prowadzenie działalności CCS oraz propozycje co do sposobu ich przezwyciężenia.

– Mamy świadomość, że zachodząca transformacja energetyczna stanowi dla Polski epokowe wyzwanie. Technologia CCS jest w naszej ocenie działaniem niezbędnym do jej skutecznego przeprowadzenia, uwzględniającym bezpieczeństwo energetyczne naszego kraju oraz minimalizującym nieuchronne skutki społeczne dekarbonizacji. Dlatego też zdecydowaliśmy się na ogłoszenie propozycji, które pozwolą na realizację i rozwój CCS w Polsce – podkreśla Grzegorz Strzelczyk, prezes zarządu LOTOS Petrobaltic.

W części I księgi zamieszczone zostały projekty nowego brzmienia przepisów regulujących działalność CCS oraz sugestie co do uchylenia niektórych obecnie obowiązujących. Zamieszczono tu analizy stanowiące przyczynek do dyskusji o nowych instytucjach prawnych, które w ocenie twórców powinny zostać wprowadzone w życie. Podstawę wniosków i rekomendacji „Zielonej księgi" stanowi, zawarta w II części, symulacja uruchomienia projektu CCS na złożu węglowodorów B3 zlokalizowanym w polskiej wyłącznej strefie ekonomicznej.

– LOTOS podejmuje wiele inicjatyw mających na celu ograniczenie wpływu swojej działalności na środowisko naturalne. Prowadzimy inwestycje związane ze zwiększaniem efektywności energetycznej oraz rozwijamy się w obszarze paliw alternatywnych. Równolegle angażujemy się w projekty z zakresu nowych technologii, takie jak CCS. To jedyny słuszny kierunek w dobie przyspieszającej transformacji energetycznej – dodaje Jarosław Wróbel, wiceprezes zarządu ds. inwestycji i innowacji Grupy LOTOS.

– Grupa Azoty opublikowała właśnie strategię na lata 2021–2030, zgodnie z którą istotna część zasobów badawczo-rozwojowych zostanie skierowana na realizację celów klimatycznych. Nowe projekty badawczo-rozwojowe koncentrować się będą m.in. na obszarze tworzyw biodegradowalnych, GOZ, ale również sekwestracji. Przedstawiony dziś zbiór rekomendacji to ważny krok w kierunku wdrażania technologii CCS, która jest bardzo istotnym elementem efektywnej transformacji energetycznej – mówi dr Grzegorz Kądzielawski, wiceprezes zarządu Grupy Azoty SA.

Zmiany klimatyczne, wywołane m.in. emisją gazów cieplarnianych, są wyzwaniem dla wszystkich. Polska, której energetyka oparta jest na wykorzystywaniu węgla kamiennego, emituje do atmosfery rocznie ok. 320 mln ton dwutlenku węgla. Międzynarodowe zobowiązania, których stroną jest także Polska, ustanawiają rygorystyczne wymogi w zakresie redukcji emisji do 2050 r. Jedną z metod osiągnięcia celu redukcyjnego, która z jednej strony powoduje uniknięcie emisji CO_2 do atmosfery, a z drugiej pozwala na kontynuację działalności w zakresie wytwórstwa energii lub przemyśle, jest podziemne składowanie dwutlenku węgla.

Technologia CCS wdrażana jest już przez czołowe światowe gospodarki: USA, Chiny, Norwegię, Francję, Holandię. Wstępne szacunki wskazują, że pojemność zlokalizowanych w Polsce struktur geologicznych nadających się do działalności CCS wynosi setki milionów ton CO_2. Ich optymalne wykorzystanie może się przyczynić do zaoszczędzenia miliardów złotych przez polskie firmy – emitentów CO_2, które dziś zmuszone są do nabywania uprawnień do emisji.

Tekst powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 26/1121/F

eprasa.pl d4ace5c9e2



Przemytniczy biznes

Irak, Syria i Afganistan – to głównie obywatele tych krajów szturmują od wielu tygodni polską granicę przy wsparciu białoruskich służb. Nikt rozsądnie myślący nie ma wątpliwości, że to element wojny hybrydowej. Przyznają to także przemytnicy ludzi, z którymi rozmawialiśmy, przebywając na Bliskim Wschodzie



MARCIN TULICKI

W Iraku niemal każdy ma kogoś w rodzinie lub wśród znajomych, kto próbował dostać się w nielegalny sposób na teren Unii Europejskiej. To temat, który na Bliskim Wschodzie nie jest żadną tajemnicą. Wręcz przeciwnie: o stawkach, trasach i europejskich miastach, które najbardziej przyciągają migrantów, porozmawiać można niemal z każdym: z kelnerem w restauracji, taksówkarzem czy pracownikiem stacji benzynowej. Najlepiej jednak zawsze pytać u źródła. W tym przypadku u przemytników, którzy tym nielegalnym biznesem trudnią się od lat. Mówią wprost, które trasy są najbezpieczniejsze i najlepiej sprawdzone oraz ile trzeba za taki „kurs do Europy" zapłacić.

SZMUGLERSKI CENNIK

Stawki zaczynają się od kilku tysięcy dolarów lub euro, a zamykają na nawet kilkunastu tysiącach. Wszystko zależy od tego, jak szybko imigrant chce się dostać do Europy, jakim środkiem transportu, do jakiego kraju i jaką trasą. Nie ma wątpliwości, że ten nielegalny biznes od lat funkcjonuje jak dobrze naoliwiona maszyna. Jeden z przemytników, z którymi rozmawialiśmy, zaproponował nawet zniżkę w przypadku, gdy uda się zebrać większą grupę migrantów, których będzie trzeba przemycić. – Koszty się wówczas rozłożą i nie dość, że stawka dla każdego będzie niższa, to jeszcze ty, jako osoba, która zebrała grupę, zapłacisz dużo mniej – zapewnił z rozbrajającą szczerością przemytnik.

Z wszystkimi przemytnikami rozmawialiśmy według tego samego schematu: chcemy z irackiego Kurdystanu dostać się do Niemiec. Najniższą stawką, jaka została zaproponowana, było 4 tys. euro. Taką cenę podał co prawda przemytnik z Turcji, ale od razu zaznaczył, że w tym przypadku klient może czekać na „przerzut do Europy" nawet kilka miesięcy. Dodał jednocześnie, że średnia cena mieści się w widełkach 6–9 tys. euro.

– Mamy duże doświadczenie w tej branży. Dzięki Bogu, pracujemy w tym biznesie od trzech–czterech lat. W całej naszej działalności, przez całe życie, żaden klient do nas nie wrócił, ponieważ wszystkim udało się dotrzeć do Niemiec – zachwalał swoje usługi. Ten akurat zaproponował trasę przemytu przez Gre-

eprasa.pl d4ace5c9e2

cję i Bułgarię. Inny namawiał na przemyt do Polski przez Białoruś, ale zażądał 10–11 tys. dol. – To dla ciebie lepsza opcja, masz 100 proc. gwarancji. Tam, w Niemczech, taką sumę zdobędziesz w ciągu dwóch–trzech miesięcy – zachęcał przemytnik. Podobnej zapłaty oczekiwał jeszcze inny szmugler za podróż do Niemiec, ale przez Włochy.

Z IRAKU DO BIAŁORUSKIEGO LASU

W Irbilu, stolicy irackiego Kurdystanu, idziemy do kilku biur podróży. Pytamy o wycieczkę i wizę na Białoruś. Gdy nie ukrywamy, że jesteśmy telewizją z Polski, słyszymy, że „to dramatyczne wykorzystywanie ludzi" i że rzecz jasna „akurat to biuro podróży taką działalnością niemal się brzydzi". Jednak gdy do jednego z biur podróży udaje się nasz arabski współpracownik, od razu zostaje mu zaproponowana wycieczka w pakiecie z wizą za 1250 dol. Widać jednak, że właściciele biur podróży starają się być ostrożni. Gdy pada pytanie: „Czy z Białorusi będzie się można dostać do Niemiec", odpowiedź jest krótka i wymijająca: – Nie wiem. Moja rola to dostarczyć cię na Białoruś – odpowiada pracownik biura podróży.

Droga przemytu przez Białoruś do Polski nie jest łatwa. To przyznaje większość przemytników, z którymi rozmowy udaje nam się zarejestrować. Poza oczywiście tymi, którzy o problemach nie wspominają ani słowem. Mamią migrantów wizją szybkiego przekroczenia granicy Unii Europejskiej, a ci, może nie wszyscy, ale ich spora część, wierzą im na słowo. – Nie jedziesz sam, tylko z grupą ok. 20 osób. Idziesz z nimi do Polski. Z Polski odbierze cię samochód i zawiezie do Niemiec – opowiada jeden ze szmuglerów, nie wspominając nawet, że granicy pilnują polscy strażnicy graniczni i żołnierze.

W kontekście polsko-białoruskiej granicy, od wielu tygodni oblężonej przez migrantów, najciekawsza jest jednak rozmowa z innym przemytnikiem, którego pytamy o to, czy białoruskie służby pomagają przy przestępczym procederze. Mężczyzna bez wahania przyznaje, że tak: – Bracie, oni pomagają. Powiedzą ci, że ta droga jest darmowa [droga na granicę – przyp. red.]. Kiedy już tam dotrzesz, nie wypuszczą cię. Dlatego ludzie tam utknęli – przyznaje przemytnik.

Nie jest zresztą jedynym, który potwierdza, że o ile białoruskie służby pomagają migrantom dotrzeć do granicy, o tyle w wielu przypadkach uniemożliwiają im drogę powrotną. Trudno się oprzeć wrażeniu, że na takie zagrywki musiała zostać wydana zgoda polityczna. Z Mińska na pewno, a prawdopodobnie również z Moskwy. Przemytnik, z którym rozmawiamy, jest wyraźnie zorientowany nie tylko w sytuacji na polsko-białoruskiej granicy, lecz również w jej politycznych przyczynach: – Otworzyli granicę tylko po to, by wywierać nacisk na Europejczyków. Między nimi są problemy – tłumaczy.



BEZ SKRUPUŁÓW

W Irbilu spotykamy się również z kilkoma osobami, które opowiedziały nam o doświadczeniach ich bliskich z przemytnikami. Wszystkie te historie spokojnie mogłyby robić za opowieści do scenariusza filmu akcji.

Jena Badri Habib mieszka w wysokim bloku przy zabytkowej irbilskiej cytadeli. To chyba najbardziej charakterystyczny punkt miasta. Na oko 40-letnia kobieta opowiada nam historię swojego kuzyna, któremu w końcu udało się dostać do Niemiec. W końcu, bo próbował trzy razy. Dwie pierwsze próby skończyły się dosyć groźnie: ukradzionymi przez przemytników pieniędzmi i dokumentami. – Wrócił wtedy do Turcji. Tam został zamknięty w więzieniu, które udało mu się opuścić tylko dzięki jego kuzynowi. Z Turcji wrócił do Iraku. To był drugi raz, kiedy go oszukali. Za pierwszym razem porzucili go w lesie – opowiada Jena.

Sąsiadka Jeny, Harleen, mieszka na tym samym piętrze z dwójką kilkuletnich dzieci. Opowiada o swojej siostrze, która też na własnej skórze odczuła, co to znaczy być zdanym na łaskę przemytników. – Moja siostra zapłaciła przemytnikom pieniądze, a ci je zwyczajnie ukradli razem z paszportem i zostawili ją w lesie na granicy Grecji i Turcji. Nie dali jej nawet szansy na powrót – opowiada oburzona Harleen.

Takie historie są niestety dramatyczną normą. Migranci często oddają przemytnikom oszczędności swojego życia, a ci, gdy tylko pojawiają się jakiekolwiek problemy, w najlepszym wypadku porzucają ich jak przedmioty, wcześniej okradając. Są też sytuacje dużo groźniejsze, o których opowiada nam nasz informator. – Mój znajomy zapłacił przemytnikom, a ci zabrali mu paszport i kazali czekać w hotelu w Turcji. Po tygodniu, gdy ten zadzwonił i zagroził, że jeśli dalej nic się nie ruszy, będzie musiał się wycofać, usłyszał od przemytnika: Uważaj! Mam twój paszport i mam broń.

Te historie dobitnie pokazują, jak bezlitośnie wykorzystywani są migranci. Przez przemytników, którzy robią na nich biznes. I przez wielką politykę. Tak było półtora roku temu na granicy grecko-tureckiej. Tak jest teraz na polsko-białoruskiej.

Autor jest dziennikarzem „Wiadomości" TVP1

Fot. Materiały prasowe

eprasa.pl d4ace5c9e2



Bo w niej był nie tylko seks

eprasa.pl d4ace5c9e2

Kalina Jędrusik stała się ofiarą własnego wizerunku, choć właściwie nie tyle własnego, ile stworzonego przez jej znanego męża. Wizerunku seksbomby. A w PRL nie było miejsca dla postaci tego typu, więc nie dostawała głównych ról. W przeciwieństwie do Marilyn Monroe, do której ją porównywano



STANISŁAW JANECKI

Wizerunek Marilyn, jako seksbomby, stworzył głośny dramaturg i scenarzysta Arthur Miller, w latach 1956–1961 jej mąż. Wizerunek Kaliny jako uosobienia seksu stworzył Stanisław Dygat, starszy od niej 16 lat, znany i szanowany pisarz, z którym wzięła ślub w 1955 r. Była jego żoną aż do śmierci pisarza w 1978 r. Reżyser Kazimierz Kutz tak widział relacje Kaliny i Stanisława: „Kalina była arcydziełem Stasia i prawdopodobnie najlepszą postacią, jaką napisał. Tyle że żywą. Była jego zrealizowanym snem o Hollywood, snem o zniewalającym, amerykańskim fenomenie banału. Była tym samym przykładem nieograniczonego wpływu mężczyzny na ciało i duszę kobiety".

Dygat, tak jak Miller, był kimś ważnym: i literacko, i towarzysko. A Kalina nie była tylko przekaźnikiem cudzych tekstów i realizatorem cudzych instrukcji. Była oczytana, świadoma tego, co się dzieje w USA i Europie. Z domu wyniosła szacunek do książek, do wiedzy, głód obcowania z dobrą sztuką. Urodziła się w Gnaszynie pod Częstochową, a jej ojcem był pedagog, filozof, wpływowy działacz Związku Nauczycielstwa Polskiego, piłsudczyk, od 1938 r. senator RP. Za to ostatnie komuniści odebrali mu prawo do nauczania. O ojcu mówiła: „Wybitny człowiek, taki renesansowy umysł. Interesowało go wiele spraw – biologia i filozofia, matematyka i literatura, muzyka klasyczna i jazz. Uczył mnie łaciny i włoskiego, francuskiego i angielskiego". Kalinę Jędrusik właściwie stworzyli ojciec Henryk Jędrusik i mąż Stanisław Dygat.

UTALENTOWANY PAN DYGAT

Stanisław Dygat był wnukiem powstańca 1863 r. Ludwika Dygata, synem nagradzanego architekta Antoniego Dygata. Pochodził z rodziny polsko-francuskiej. Studiował w Wyższej Szkole Handlowej w Warszawie, następnie na Politechnice Warszawskiej (architekturę) i Uniwersytecie Warszawskim (filozofię). Żadnego z tych kierunków nie skończył, ale dla jego pozycji nie miało to większego znaczenia. Jeszcze przed wojną został uznany za pełnoprawną postać warszawskiej bohemy. Obok m.in. Witolda Gombrowicza, z którym grał w tenisa. Ale było to nie dość oryginalne, więc zaczął trenować boks. Jego siostra wyszła za kompozytora Witolda Lutosławskiego, co przekładało się na znajomości ze znakomitościami świata muzycznego. „Był wdziękiem, dowcipem, inteligentną lekkomyślnością. Nie znosił celebracji, patetycznych póz i nudziarstwa. Wśród wielu swoich talentów posiadał talent do zabaw i weselenia się" – charakteryzował go pisarz Jerzy Andrzejewski.

Dygat miał francuskie obywatelstwo, więc po wrześniu 1939 r. został internowany w obozie dla cudzoziemców w Konstancji nad Jeziorem Bodeńskim. To doświadczenie opisał w debiutanckiej powieści „Jezioro Bodeńskie" (1946 r.). Jeszcze w czasie okupacji wrócił do Warszawy, po powstaniu wyjechał, ale w 1950 r. znów był w Warszawie.

W stolicy szybko stał się ważną postacią życia artystycznego i towarzyskiego: pisarzy, dziennikarzy, filmowców, muzyków, sportowców. Znał języki, miał odpowiedni bagaż biograficzny i kulturowy, więc dla Kaliny był porównywalny z jej ojcem. Spotkali się w gdańskim teatrze Wybrzeże, gdzie Dygat od 1953 r. był kierownikiem literackim. Kalina trafiła tam po studiach w krakowskiej Państwowej Wyższej Szkole Aktorskiej (ukończonych w 1953 r.). Jej kolegami z roku byli: Zbigniew Cybulski, Bogumił Kobiela i Leszek Herdegen. Ojciec był liberałem pod każdym względem (miał dwie żony, a Kalina była córką pierwszej – Zofii Kuklińskiej), więc Kalina miała dużą swobodę, także w życiowych wyborach. Ale w czasach liceum i studiów była skromną, nieśmiałą i ułożoną panienką z dobrego domu. Raczej nie jest prawdą, że została wyrzucona z jednego z liceów za to, że chodziła bez stanika, co jej biografowi, Dariuszowi Michalskiemu, opowiedział jeden ze szkolnych kolegów.

Dygat był żonaty (z aktorką Władysławą Nawrocką) i miał córkę (Magdę), ale uważał, że prowadzi zbyt drobnomieszczańskie życie. W Kalinie dostrzegł potencjał na nietuzinkową towarzyszkę życia. Dopiero później na wampa. Kalina w tę drugą rolę weszła. Choć początki ich życia razem były raczej krępujące: pod jednym dachem, w 40-metrowym mieszkaniu, z byłą żoną i teściową.

DOM OTWARTY

Dopiero w Warszawie (po 1955 r.) Kalina i Stanisław zaczęli odgrywać swoje role: on stwórcy, a ona wampa. Oboje stali się zakładnikami idei „domu otwartego", gdzie trudno było mieszkać, skoro filmowcy, literaci i sportowcy balowali tam często do rana. Kalina coraz bardziej wchodziła w rolę seksualnego wampa, więc musiała mieć kochanków, Stanisław zaś uważał, że jest zbyt oryginalny, żeby być klasycznym rogaczem. Ona zresztą pomagała mu nawiązywać jakieś kontakty z kobietami, żeby nie czuł się upokorzony, a gdy kogoś poznał, kibicowała temu romansowi, np. z pielęgniarką zwaną przez nią „Teresiskiem". To wszystko wyglądało na odgrywanie jakiegoś przedstawienia, bo w sumie Kalina tych kochanków miała kilku, choć legendy mówią o tabunach: aktorów Tadeusza Plucińskiego i Władysława Kowalskiego, operatora Wiesława Rutowicza, piosenkarza Wojciecha Gąssowskiego, sportowca Włodzimierza Sokołowskiego, muzyka Aleksandra Jedynackiego (z nim bliższe relacje nawiązała już po śmierci męża).

Tak o tym sama mówiła: „Przeżyłam kilka szalonych romansów, niedużo. No, kiedyś policzyłam – pięć. To wcale nie jest dużo na całe życie. Nie umiałam

Fot. East News/Polfilm

eprasa.pl d4ace5c9e2

ich ukryć – żer dla legendy. I jeżeli ktoś »życzliwy« opowiedział mężowi o mojej nowej fascynacji innym mężczyzną, on mawiał swoim cudownym wolterowskim »r«: »Gdyby ona była panienką na poczcie przyklejającą znaczki, to być może nie byłyby jej potrzebne takie fascynacje. Kalina jest wielką aktorką i potrzebne jej są niezwykłe, cudowne momenty«". Owszem, kochankowie Kaliny bywali (nocowali) w ich domu wtedy, gdy przebywał tam Stanisław, ale wcale nie było to nagminne. Ona jako wamp wcale nie czuła się pewnie, bo miała liczne kompleksy, a kochankowie te kompleksy leczyli. Chyba najlepiej ujął to aktor i reżyser Andrzej Łapicki: „Wbrew pozorom nie miała seksu, choć uważała się za królową seksu i na taką kreował ją jej mąż Stanisław Dygat. Miała wdzięk. Byłaby świetną aktorką komediową. Niepotrzebnie udawała wampa". Raczej nie udawała, tylko grała, i to z coraz większym trudem.

Kłopoty Kalina zajadała, co przychodziło jej tym łatwiej, że lubiła dobrą kuchnię. A z czasem kłopoty też zapijała. Grała libertynkę, a czasem też prostaczkę (klęła ostro i malowniczo), ale w istocie była romantyczką. Kazimierz Kutz tak ją opisywał: „Była nieśmiała. Według mojej wiedzy skończyła studia, będąc dziewicą. Cnotę chowała dla męża. Była strasznie staroświecka". „Na tle współczesnej rozbuchanej erotyki Kalina byłaby skromną dziewczynką" – mówił reżyser Jerzy Gruza.

Konwencja domu otwartego oboje Dygatów musiała męczyć, bo najlepiej odpoczywali, oglądając w telewizji melodramaty i wypłakując przy tej okazji wszelkie zgryzoty. Takie jak niemożność urodzenia dziecka. W 1955 r. była w ciąży, ale dziecko zmarło tuż po urodzeniu. A następnie już dzieci mieć nie mogła. Brak własnych dzieci upośledził relacje Kaliny z córką Stanisława – Magdą. W książce „Rozstania" Magda Dygat napisała: „Byłam świadkiem awantury między nimi, w wyniku której ona wyszła, trzaskając drzwiami. Kiedy zostaliśmy sami z ojcem, chcąc rozładować sytuację, stanęłam w jej obronie. Było to coś w rodzaju: »Zrozum ją, ona ma różne problemy«. Powiedział, że jestem naiwna, jeśli myślę, że podlizywanie się zmieni jej stosunek do mnie: »Ona cię nienawidzi, zawsze cię nienawidziła i robiła wszystko, żeby mnie do ciebie zrazić«. Chwilę potem trzasnął drzwiami pokoju i nie odzywał się do mnie przez następnych parę tygodni".

Faktycznie ta relacja była chyba bardziej skomplikowana. O swoim małżeństwie Kalina mówiła: „Przez dwadzieścia cztery lata byłam żoną Stanisława Dygata, człowieka kochającego wszystko, co piękne i doskonałe. Zazdroszczono nam naszej wielkiej miłości, ogromnej tolerancji, zrozumienia pewnych szaleństw w niektórych okresach życia".

NIE TYLKO LUCY ZUCKEROWA

Wbrew filmowemu wizerunkowi Kalina w teatrze (także w Teatrze Telewizji) była dobrą, technicznie biegłą aktorką. I świetnie śpiewała (przed aktorstwem myślała o śpiewie operowym). Jej talent wokalny dostrzegli Jeremi Przybora i Jerzy Wasowski, zapraszając ją do Kabaretu Starszych Panów. Jeremi Przybora tak to widział: „Kiedy wcieliła się w wymyśloną przez siebie (czy Stasia) »polską Monroe«, popadła w manierę, której bardzo nie lubiłem. Dlatego Kalina w Kabarecie mniej mówiła, a dużo śpiewała". Za najważniejszą jej rolę filmową w karierze uważa się postać Lucy Zuckerowej w „Ziemi obiecanej" Andrzeja Wajdy. Ale wbrew pozorom tam pokazała, jakim problemem może być funkcjonowanie w roli nienasyconego seksualnie wampa. Że takie zaszufladkowanie może kobietę nie tylko redukować, ale wręcz poniżać. Pokazała nie tylko dramat Lucy, ale i Kaliny. Pragnącej miłości, a niemogącej jej doświadczyć z powodu postrzegania jako wampa właśnie. Ale aktorsko najpełniej wyraziła się we wschodnioniemieckim serialu „Hotel Polanów i jego goście" (z 1982 r.). Józefina Polanów to kreacja wybitna, pokazująca jej niebywałe możliwości, gdy nie musi grać roli wampa ani realizować jakiegokolwiek stereotypowego oczekiwania. Tę rolę chciałaby zapewne pokazać mężowi, tyle że on już nie żył. A może właśnie dlatego mogła ją tak znakomicie zagrać, że robiła to dla siebie, nie „dla Stasia". A może nawet wbrew niemu.

Kiedy w 1962 r. swój mocno eksponowany biust udekorowała krzyżykiem, do telewizji przyszły listy od oburzonych widzów, szczególnie kobiet. Na przykład list „kobiet z Rybnika" zapamiętała sama Kalina: „Dwadzieścia się ich podpisało pod tym, żeby mnie nie pokazywać, bo gorszę ich mężów – biedne, niemądre kobiety w rozdeptanych pantoflach, a co najgorsze, niepragnące się zmienić". Uważała, że to nie ona gorszy, lecz one jako uwięzione w stereotypach i wymyślonych dla nich rolach. Problemem jest to, że ona sama była więźniem roli, tylko uważała tę rolę za dobrą. Nie uważał tak ówczesny władca Polski, Władysław Gomułka. Sama Kalina tak o nim mówiła: „Słyszałam, że pan Gomułka rozbił telewizor, kiedy zobaczył moje omdlewające spojrzenie. Kiedy pokazywałam się w spódnicy ściśniętej w pasie, z wypiętym biustem, i to jeszcze – o zgrozo – bez stanika, towarzyszyły mi różne wyzwiska: »Jak mogłeś tę kurwę puścić na ekran?!«. I pewnego dnia wezwano mnie do dyrekcji telewizji na »poważną rozmowę«. Rozmawialiśmy o tym, jak powinnam być ubrana w programie, który przygotowywałam. Postawiono warunek, że wejdę przed kamery, jeżeli będę ubrana od stóp do głów. Wystąpiłam więc w czarnej sukience z golfem. Zaśpiewałam piosenkę, ukłoniłam się i odwróciłam tyłem. Oczom telewidzów ukazały się moje gołe plecy. Sukienka miała z tyłu dekolt aż do granic możliwości".

Zainteresowanie Gomułki może być legendą, ale nie była legendą narastająca świadomość, w jakim kraju żyje, czym jest realny socjalizm. W tym względzie salon Dygatów (a nie tylko Stanisława) stanowił swego rodzaju uniwersytet, gdzie spotykali się zarówno konformiści wobec władzy (sam Dygat był w PZPR, ale z niej wystąpił), jak i osoby wyraźnie ją kontestujące. Kalina była bystra, więc wyciągała wnioski, że wbrew propagandzie realny socjalizm to nie jest najlepszy z ustrojów. Pamiętała też to, co ojciec opowiadał jej o II Rzeczypospolitej, która mimo wielu wad była przez dużą część swego istnienia demokracją. Kalina była w tamtym czasie jedną z najbardziej świadomych politycznie oraz krytycznych osób w swoim środowisku.

KOBIETA SAMOTNA

Stanisław Dygat zmarł (na zawał) 29 stycznia 1978 r., mając ledwie 63 lata. To był dla Kaliny wstrząs i katharsis jednocześnie. „Stasio miał niesamowite poczucie odpowiedzialności za Kalinę, starał się żyć możliwie długo, żeby nie stało się jej nic złego" – mówił Kazimierz Kutz. Wtedy się ochrzciła, zaczęła chodzić do kościoła. I prawie przestała udzielać się towarzysko. Ona, która zawsze była duszą towarzy-

eprasa.pl d4ace5c9e2

stwa. Daniel Olbrychski tak to opisywał: „Bywali tam [w domu Dygatów] Holoubek, Konwicki, przysłuchiwałem się ich rozmowom, to było dla mnie jakby wyższe studia. Przewijała się w tym wszystkim Kalina, wchodziła w jakimś szlafroczku, popatrzyła trochę, gryząc jabłko. Potem wracała do drugiego pokoju spać z aktualnym narzeczonym". Końcowe zdania są uszczypliwe i niesprawiedliwe:

Kalina słuchała, rozmawiała, miała własne zdanie, nie była tylko roznegliżowaną postacią w szlafroku. Wielu bywalców salonu Dygatów wspominało Kalinę jako osobę, która dbała o relacje, zarządzała ludźmi, robiła atmosferę. Tak to wspominała aktorka Magda Zawadzka: „Kalina na początku akceptowała mnie z powodu Gustawa [Holoubka]. Później mnie polubiła, miałam liczne dowody jej wielkiej wobec mnie życzliwości. Kiedy umarł Stanisław Dygat, byłam w ostatnim miesiącu ciąży. Kalina zadzwoniła do mnie z wiadomością o jego śmierci – a był to luty, zimno, ślisko. Powiedziałam, że w moim stanie raczej nie powinnam pójść na pogrzeb. A ona: »Och, jaka szkoda! Stasiek bardzo by się cieszył, że Gustaw będzie miał synka!«. Jak się urodził Jasiek, Kalina była jednym z nielicznych gości na jego chrzcie. Podarowała mu piękną wazę do zupy Rosenthala, »żeby Jasiowi nigdy nie zabrakło jedzenia«".

Kalina miała więcej problemów z własnym ciałem niż z własnym umysłem. W pierwszym wypadku miewała liczne kompleksy, które przykrywała wyzywającym stylem. W przypadku umysłu kompleksów mieć nie musiała.

W czasie stanu wojennego dostarczała paczki internowanym kobietom. Kilka miesięcy przed śmiercią tak podsumowała swoje życie: „Byłam tak delikatną, intymną, ciekawą, śliczną dziewczyną i w porównaniu z tym, co dzieje się dzisiaj – byłam zakonnicą, a ludzie mnie kamienowali".

Zmarła w nocy 7 sierpnia 1991 r. z powodu ataku astmy, na którą cierpiała. Była uczulona na kocią sierść, a mimo to nie pozbyła się kotów z mieszkania. Nikt nie czuwał przy niej, gdy umierała. Pochowana została obok męża, z którym tworzyła jeden z najbardziej intrygujących związków w czasach PRL. Na pogrzebie Andrzej Łapicki cytował słowa piosenki Jeremiego Przybory napisanej specjalnie dla Kaliny: „Nie, nie, nie budźcie mnie, śni mi się tak ciekawie, jest piękniej w moim śnie niż tam na waszej jawie".

Fot. Bartosz Mrozowski



Maria Dębska o roli Kaliny Jędrusik:

Zależało mi, żeby to było moje i prawdziwe

Kluczem do sukcesu filmu „Bo we mnie jest seks" – który 19 listopada trafi do polskich kin – jest odtwórczyni głównej roli. Maria Dębska już odebrała nagrodę za pierwszoplanową kobiecą kreację na tegorocznym festiwalu filmowym w Gdyni. Teraz znalazła się wśród nominowanych do Nagrody im. Zbyszka Cybulskiego. Reżyserka i współautorka scenariusza Katarzyna Klimkiewicz, szukając ekranowej Kaliny Jędrusik, postawiła na aktorkę znaną wcześniej z takich m.in. filmów jak „Moje córki krowy" i „Demon" (oba z 2015), „Cicha noc" (2017), „Zabawa zabawa" (2018), a także kostiumowych obrazów z 2019 r.: „Piłsudski" oraz „Czarny mercedes". W obu Dębska udowodniła, jak swobodnie czuje się w kostiumie sprzed kilku dekad.

Historia opowiedziana w filmie „Bo we mnie jest seks" (także przez twórców: zdjęć – Weronikę Bilską, scenografii – Wojciecha Żogałę, muzyki – Radka Lukę, kostiumów – Annę Imielę-Szcześniak, charakteryzacji – Ewę Kowalewską, Janusza Kaleja) przeniosła aktorkę w początek lat 60. ubiegłego wieku. Na planie towarzyszyli jej m.in.: Leszek Lichota (jako Stanisław Dygat), Borys Szyc (Kazimierz Kutz), Paweł Tomaszewski (Tadeusz Konwicki), Rafał Rutkowski (Jeremi Przybora), Dariusz Basiński (Jerzy Wasowski), Krzysztof Zalewski (piosenkarz Lucek).

Na przygotowanie do roli Dębska miała półtora roku. Był to czas na skonfrontowanie się z licznymi wspomnieniami na temat Kaliny Jędrusik, fizyczne zmiany (plus dziesięć kilogramów) i odnalezienie własnego klucza do postaci. Pomogła jej w tym praca nad wokalną stroną projektu. Wykształcona muzycznie aktorka (kilkunastoletnią edukację zamknęła pierwszym rokiem na wydziale fortepianu łódzkiej AM) wszystkie utwory wykorzystane w filmie śpiewa sama.

– Zależało mi, żeby to było moje i prawdziwe. Żeby nie było kopią, tylko emocjonalną wypowiedzią. Pół roku przed rozpoczęciem zdjęć zaczęliśmy nagrywanie piosenek. Kiedy wchodziłam na plan, musieliśmy mieć już wszystkie utwory gotowe. W filmie pojawia się 11 największych przebojów Kaliny Jędrusik, ale produkcję promuje też piosenka „Nie będzie romansu", napisana współcześnie przez Krzysztofa Zalewskiego i wykonana w duecie z Marią Dębską.

Wszystkie utwory związane z filmem ukazały się na płycie „Bo we mnie jest seks". Będą też prezentowane podczas trasy koncertowej, która rozpoczęła się 14 listopada w Katowicach, a zakończy 12 grudnia we Wrocławiu.

JGZ

eprasa.pl d4ace5c9e2

Zielone forum wGospodarce.pl

Zapraszamy do obejrzenia na żywo transmisji z **Zielonego Forum wGopodarce.pl**, specjalnej edycji Forum poświęconej tematyce sprawiedliwej transformacji energetycznej dla dobra gospodarki.

Oglądaj na żywo 22-23 listopada godz. 11:00 na profilu FB wGospodarce.pl

PARTNER STRATEGICZNY:

ORLEN

PARTNERZY:

Energa GRUPA ORLEN

KGHM POLSKA MIEDŹ

LOTOS

Państwowe Gospodarstwo Wodne Wody Polskie

PFR Polski Fundusz Rozwoju

PZU

GAZETA BANKOWA

SIECI

wPolityce.pl

W POLSCE PL

wGospodarce.pl

eprasa.pl d4ace5c9e2



Adele, Lady Gaga, Ed

Jej muzycznemu powrotowi towarzyszy spektakularna zmiana. Wielkie „wejście" Adele musi jednak dzielić z Edem Sheeranem czy Lady Gagą. Czy jej nowa płyta odniesie taki sukces jak poprzednie?

Fot. Simon Emmett/Sony Music Polska

Autopromocja

eprasa.pl d4ace5c9e2



JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

To miał być jej czas. Jej powrót. W nowej medialnej odsłonie. Z zapisanymi w tekstach utworów niełatwymi doświadczeniami.

Do premiery albumu „30” zostało kilka dni. 19 listopada, po sześciu latach od ukazania się poprzedniego krążka, trafi do fanów najnowszy album Adele. Zapowiadają go – opatrzony klimatycznym teledyskiem singiel „Easy On Me” i okładkowe zdjęcia, sesje, a także ekskluzywne wywiady w amerykańskiej oraz brytyjskiej wersji magazynu „Vogue”.

NIE PANIKUJĘ

To jest gorąca jesień. Na trzy tygodnie przed powrotem Adele premierowy show przy okazji swojego albumu zrobił Ed Sheeran. Adele, pytana o tę sytuację przez dziennikarkę Heart Radio, stwierdziła: „Nie panikuję. On może zacząć panikować”. Po czym natychmiast dodała: „Kocham Eda i naprawdę kocham jego żonę Cherry”.

A jakie zdanie ma wokalistka na temat wydarzenia, które kilka dni temu, za sprawą udziału m.in. Lady Gagi, rozgrzało media? Nie wiadomo, ale tu też relacje z czerwonego dywanu odciągały uwagę od jej płyty. Może to przypadek, jednak też z „9” w dacie, na dziesięć dni przed oficjalnym pojawieniem się na rynku albumu „30”, w londyńskim Odeon Leicester Square odbyła się premiera filmu „Dom Gucci” w reż. Ridleya Scotta (do polskich kin obraz trafi 26 listopada). Wśród gwiazd najmocniej błyszczała – jakże by inaczej – Lady Gaga.

Jako ekranowa Patrizia Reggiani odeszła daleko od scenicznego wizerunku. Na uroczystym pokazie – czołowa muzyczna skandalistka, która na szczyty show-biznesu wdarła się także dzięki obrazoburczym, perwersyjnym i szokującym aranżacjom i metamorfozom – pojawiła się w wersji, jak na nią, stonowanej. Nie zmienia to faktu, że stylizacja była wyrazista, świetnie przed fotoreporterami odegrana. I – przede wszystkim – miała ją na sobie nie Stefani Joanne Angelina Germanotta, ale Lady Gaga.



Adele dziś zupełnie nie przypomina korpulentnej dziewczyny z początku kariery

NA 33. URODZINY

Adele nie będzie łatwo konkurować z taką specjalistką od wizerunkowego show, chociaż zrobiła bardzo dużo. Przede wszystkim za sprawą spektakularnej fizycznej zmiany. Miała na nią sześć lat.

Zrzucając kilogramy, a także wracając do formy po reanimacji przeciążonych śpiewaniem strun głosowych, Adele rozliczała się z dawną sobą i zamykała kolejne etapy prywatnego życia. Inwestowała też w wizerunek. Dziś zupełnie nie przypomina korpulentnej dziewczyny z początku kariery (poza spadkiem wagi czujni internauci dopatrzyli się również interwencji protetyka, a nawet chirurga plastycznego oraz stałej opieki specjalistów od wizażu i wizerunku). Zyskała klasę.

Najnowszy album – zatytułowany, jak poprzednie, liczbą pokazującą wiek wokalistki w momencie nagrywania utworów (wcześniej były płyty: „19”, „21” i „25”) – trafia do słuchaczy, gdy Adele ma już za sobą przełomowe 33. urodziny. Świętowała je 5 maja tego roku.

Singiel „Easy On Me”, który od kilku tygodni jest już ze słuchaczami, przypomina o trudnym dzieciństwie, małżeństwie, które trzeba było zakończyć, a także innych niełatwych doświadczeniach związanych z rodziną, miłością, rozstaniem. Muzyczną „30” artystka zadedykowała synowi (premiera odbędzie się równo miesiąc po dziewiątych urodzinach Angela Jamesa).

„Poprzez tę płytę chcę wytłumaczyć światu, kim byłam w wieku 20 czy 30 lat i dlaczego dobrowolnie zdecydowałam się zdemontować całe swoje życie w pogoni za własnym szczęściem. [...] Czuję, że ten album jest autodestrukcją, potem autorefleksją, a potem rodzajem samoodkupienia. Ale czuję się gotowa. Naprawdę chcę, żeby tym razem ludzie usłyszeli moją wersję historii” – wyznała podczas pierwszego od wielu lat wywiadu.

Fot. DFree/Shutterstock.com

eprasa.pl d4ace5c9e2



Lady Gaga na londyńskiej premierze filmu „Dom Gucci”

Fot. Gareth Cattermole/Getty Images for Metro-Goldwyn-Mayer Studios and Universal Pictures

DLA SYNA

To w listopadowych wydaniach amerykańskiego i brytyjskiego „Vogue'a” 15-krotna laureatka nagrody Grammy, artystka z pierwszym i czwartym najszybciej sprzedającym się albumem XXI w., zdecydowała się opowiedzieć m.in. o rozstaniu z mężem Simonem Koneckim (kilka miesięcy temu oficjalnie się rozwiodła) oraz zmianach w życiu i wizerunku.

„Byłam nieszczęśliwa. Żadne z nas nie zrobiło nic złego, nie zraniliśmy się nawzajem. To było na zasadzie: chciałam, żeby mój syn widział mnie, jak naprawdę kocham i jestem kochana. To było dla mnie naprawdę ważne. Bardziej chodziło o mój rozwód z samą sobą” – wyjaśniła w wywiadzie dla amerykańskiego „Vogue'a”.

Tu też tłumaczyła, jak bardzo trudną dla siebie sytuację, decyzje, jakie podjęła, ale też ich skutki, chciała wyjaśnić swojemu synowi. W końcu dla niego doświadczenie rozwodu rodziców było jeszcze bardziej dojmujące.

Kiedy któregoś dnia Angelo zapytał: „Czy ty mnie widzisz?”, odczuła wstrząs. Od tamtej pory, jak zapewnia, więcej z synem rozmawia, również o relacji z Simonem. W piosence „What's Going On” śpiewa: „Widzę twoje oczy/ Rozszerzają się jak ocean/ Kiedy na mnie patrzysz/ Tak pełen moich emocji”.

Rok 2021 przyniósł artystce i jej bliskim ostateczne rozliczenie i pożegnanie. W maju zmarł na raka jej ojciec. Przez lata nie miała z nim kontaktu (Mark Evans odszedł od rodziny, gdy Adele skończyła trzy lata). Odezwał się, gdy zachorował. Zdążyli się pogodzić. Za pośrednictwem Zooma odsłuchali wspólnie najnowszy album artystki. Adele zapewnia: „Odnalazłam w sobie spokój i przebaczyłam mu”.

DLA SIEBIE

Tym, co od miesięcy najmocniej rozgrzewało emocje, nie tylko fanów Adele, była niesamowita fizyczna zmiana wokalistki.

Do reakcji ludzi na jej nowy wizerunek tak odniosła się w brytyjskim „Vogue'u”: „Ludzie są zszokowani moją utratą wagi [a udało jej się zrzucić aż 45 kg – przyp. red.], bo nie podzieliłam się procesem jej zrzucania w social mediach. [...] Schudłam dla siebie, więc dlaczego miałabym się tym dzielić? Nie uważam tego za fascynujące. To moje ciało”.

Nowa figura, jak podkreśla, nie jest wynikiem restrykcyjnych diet, ale regularnej aktywności. Teraz ćwiczy dwa lub trzy razy dziennie. Rano trening siłowy, po południu wędruje po górach lub uprawia boks, a w nocy – kardio. „Uzależniłam się od tego” – stwierdza.

Jednak to „uzależnienie” nie oznacza słabości. Wręcz przeciwnie, daje siłę. Pozwala też poradzić sobie z lękiem, niepokojem „Pomyślałam, że jeśli uda mi się fizycznie wzmocnić moje ciało, to może pewnego dnia będę w stanie wzmocnić także swoje emocje i umysł” – tłumaczy Adele.

A z problemami, jak zapewnia, najlepiej radzi sobie w studiu. Tu się z nimi konfrontuje: „Kiedy mój świat się wali, muszę o tym napisać”.

W ANGIELSKIM STYLU

Czas pandemii artystka spędziła w Beverly Hills, gdzie ma dom w „angielskim stylu”. Mieszka w nim z synem i wieloma zwierzętami. Mówi, że przeprowadzka do LA miała na celu poprawę jakości życia: „Chciałam świeżego powietrza i miejsca, gdzie mogę zobaczyć niebo. Stałam się fit, to trochę kalifornijskie”.

Jednocześnie wokalistka regularnie wraca do Londynu, bo – jak podkreśla – w Los Angeles brakuje jej różnorodności, jaka cechuje stolicę Wielkiej Brytanii. Poza tym zwyczajnie tęskni za Anglią, która pozwala jej poczuć się czasami „dziewczyną z gitarą z Brockwell Park”.

eprasa.pl d4ace5c9e2



ZAREMBA SŁUCHA RADIA

Prawdziwy teatr wyobraźni

Obiecywałem, że będę zaglądał tu czasem do radia. Szczególnie do Teatru Polskiego Radia. Nadarza się okazja: w poprzednią niedzielę Jedynka nadała słuchowisko „Requiem dla Stanisława Wyspiańskiego". Napisał tekst i wyreżyserował szczególnie obiecujący artysta teatralny i radiowy Michał Zdunik.

Nie boi się on tekstów trudnych, poetyckich. To podwójne wyzwanie dla publiki, zważywszy na to, że radio wymaga większego skupienia, nie podpierając się obrazem i odwołując do wyobraźni. Ale Zdunik jest w swoich nieraz prawda nieprostych metaforach i skojarzeniach wyzbyty pseudointelektualnego pustosłowia. Na ostatnim festiwalu Dwa Teatry słusznie nagrodzono jego „Rzeczy, których nie wyrzuciłem". To była adaptacja książki Marcina Wichy – o umieraniu lub raczej o żegnaniu osoby bliskiej. Tym razem Zdunik jest sam sobie sterem, żeglarzem, okrętem. Nieprzypadkowo, to jeden z lepszych znawców twórczości Wyspiańskiego w Polsce.

Sam nawet zrobił oprawę muzyczną – bo komponuje i świetnie dobiera utwory. Mroczna, gęsta opowieść o odchodzeniu wielkiego, acz mocno pogubionego pisarza została nam opowiedziana po części jego językiem. Ale nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że choć pojawiały się tu rozmaite pytania i dylematy dotyczące drogi Wyspiańskiego, także tej publicznej (konfrontacja z nawiedzającą go postacią Polski), autora najbardziej fascynowała metafizyka, pytanie, co nas czeka dalej, kiedy umrzemy.

Tak skutecznie się tym zainteresował, że mnie nieco przeraził. Ludzie mojej generacji myślą o śmierci bardziej na co dzień i konkretnie niż młodzi, tacy jak Zdunik. Odpowiedzi są niejednoznaczne, ale dla mnie to było coś dużo więcej niż gra wyobraźni.

Czy warto fundować słuchaczom takie wrażenia? Czy radio z natury rzeczy elitarne nie wędruje w rejony zbyt wyrafinowane? Nie, kiedy to jedna z ofert. Urobek radiowych słuchowisk jest potężny, to kilkaset tytułów rocznie, wszelkiego kalibru – od najlżejszych po najbardziej ambitnych. Ta produkcja trwała w najczarniejszych nawet pandemicznych czasach.

Nic tego bardziej nie uświadomiło niż niedawna ceremonia otwarcia Muzeum Teatru Polskiego Radia w Baranowie. To oczko w głowie dyrektora Janusza Kukuły przyciągało barwnością najprostszych symboli, choćby muralami przedstawiającymi Piotra Fronczewskiego, Magdę Zawadzką, Krzysztofa Gosztyłę czy Grażynę Barszczewską. Ci wielcy aktorzy naprawdę tam pojechali, ale było to spotkanie wszystkich pokoleń artystów pracujących w radiu. Uświadamiające mi potęgę ciągłości.

No ale właśnie, tam możemy się przenieść do świata wiecznych radiowych seriali: „Matysiakowie" czy „W Jezioranach". To jest drugi biegun wobec twórczości takich Zduników. Więź z życiem zwykłych ludzi trwająca od dziesięcioleci. Dyrektor Kukuła ma ambitne plany. Stworzył muzeum tak daleko od Warszawy z powodu życzliwości tamtejszych lokalnych władz. Ale Fundacja Teatr Wyobraźni potrzebuje kolejnych środków, choćby na to, żeby przyjeżdżający tam młodzi ludzie mogli w profesjonalnym studiu robić własne słuchowiska.

Na koniec powrót do „Requiem dla Stanisława Wyspiańskiego". Zawsze jestem pełen podziwu, gdy czołowi polscy aktorzy za małe pieniądze idą do tego studia i robią coś z niczego. Tu był Łukasz Borkowski, Katarzyna Dąbrowska, Konrad Żygadło, Mariusz Bonaszewski, Przemysław Stippa (ten ostatni w roli Polski) i inni. Wspaniali Bonaszewski czy Stippa, których głos jest także muzyką, godzą się zagrać w pojedynczej scenie, całość trwa wszak przepisowe 45 minut. Słyszymy ich przez chwilę. I mimo wszystko pamiętamy potem długo.

Piotr Zaremba

Reklama | 36/1021/F

eprasa.pl d4ace5c9e2

NAJCIEKAWSZE WYWIADY, NAJMOCNIEJSZE TEMATY

TERLIKOWSKI • SALAK
TEJCHMAN • MIKOŁAJEWSKA
BALINOWSKI

POPOŁUDNIOWA ROZMOWA W RMF FM O **18:02**

radio nr 1 w Polsce

RMF FM

eprasa.pl d4ace5c9e2



Burleska na „Titanicu”

Wydana właśnie nakładem PIW książka Bronisława Wildsteina „Lew i komedianci” składa się z trzech opowiadań i dwóch sztuk teatralnych. Na pozór niewiele wydaje się je łączyć, jednak układają się w logiczną całość. Odmalowują jeden z tych światów nieprzedstawionych, które nie znalazły dotychczas należnego odbicia w polskiej literaturze



GRZEGORZ GÓRNY

Chodzi o grupy dość dobrze opisane we współczesnej eseistyce, zwłaszcza o zacięciu socjologicznym, lecz niemal zupełnie nieobecne w prozie czy dramacie.

Dominują wśród nich postaci, które – jak powiedziano by dawniej – pragną dzierżyć rząd dusz, ale ponieważ nie wierzą w istnienie duszy, stawiają przed sobą inne zadanie: zarządzanie emocjami mas. Bohaterami zaludniającymi strony Wildsteinowej książki są więc przedstawiciele środowisk mainstreamowych: reprezentanci unijnej biurokracji, właściciele mediów, modni filozofowie, popularni prezenterzy, wykładowcy akademiccy, celebryci i aktorzy, jednym zdaniem kreatorzy zbiorowej wyobraźni. Gdybyśmy chcieli ich nazwać krótkim mianem, być może najlepiej pasowałoby nieco ironiczne w tym kontekście określenie Czesława Miłosza: „kasta wiedna”.

To nas odsyła do kolejnego łącznika między utworami, czyli obecnej w nich subtelnej groteski. W dużej mierze wiąże się ona z naturalnymi ograniczeniami opisywanych postaci, w których próżno by się doszukiwać głębi godnej pióra Dostojewskiego czy Manna. To raczej wydrążeni ludzie o ambicjach półbogów. Rozziew między ich rzeczywistymi zdolnościami poznawczymi a przekonaniem o własnej inteligencji czy też arcymistrzostwo w samooszukiwaniu się muszą budzić uśmiech. Dobór bohaterów z ich problemami warunkuje formę, stąd opowiadania Wildsteina, którymi on sam wydaje się nieźle bawić, należałoby nazwać właściwie powiastkami.

CHYTROŚĆ ROZUMU

Bohaterem pierwszej prozy jest Lew Aleksandrowicz, którego postać wzorowana jest na osobie Alexandre'a Kojève'a, właściwie Aleksandra Kożewnikowa, urodzonego w Moskwie francuskiego filozofa i polityka, jednego z architektów integracji europejskiej, a zarazem agenta sowieckiego. Ten wpływowy heglista sam sobie wydaje się wręcz wcieleniem ducha dziejów, demiurgiem, pod którego myślą ma ustępować plastycznie rzeczywistość. Potrafi mieć pretensje do siebie, że zachowuje się jak zwykły człowiek, ulegając pospolitym emocjom, podczas gdy osobom jego formatu obce powinny być niecierpliwość, żal czy tęsknota.

Lew dąży do zawarcia paktu ze współczesnym odpowiednikiem tyrana z Syrakuz, dla którego gotów jest zaprojektować doskonały ład światowy. Z chłodną precyzją prowokuje kontakt. Dionizos ma poczciwą twarz radcy sowieckiej ambasady ds. kultury Siergieja Kuzmina. Sprawy przybierają jednak niespodziewany obrót i oto człowiek, który uważał, iż po heglowsku przeniknął „chytrość rozumu”, sam został przechytrzony jak dziecko przez komunistycznego aparatczyka. Demiurg przeistacza się w marionetkę, a właściwie w kapusia, piszącego donosy i wykonującego posłusznie każde upokarzające zadanie. Nie traci jednak szacunku do siebie, ponieważ uruchamia mechanizm myślowy, pozwalający widzieć mu w swym postępowaniu heroiczne poświęcenie. Dzięki temu odzyskuje utracony na chwilę status boga.

INICJACJA W BRUKSELI

Drugie opowiadanie „Kryształowy gmach” przywodzi na myśl „Czaro-

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl d4ace5c9e2

dziejską górę", której akcja toczy się w zamkniętym świecie – w sanatorium w Davos – gdzie czas płynie innym rytmem, a życie wygląda inaczej niż gdziekolwiek. Jak pisał jednak Marks: „Historia lubi się powtarzać, raz jako tragedia, a drugim razem jako farsa". O ile powieść Thomasa Manna była egzystencjalnym dramatem, o tyle powiastka Wildsteina jest satyrą, której fabuła rozgrywa się także w odizolowanym od świata budynku, jakim okazuje się europarlament w Brukseli. W tej klatce ze szkła i aluminium życie toczy się inaczej niż na zewnątrz, przypominając nieco funkcjonowanie na innej planecie.

W obu przypadkach poza granicami owych hermetycznych mikrokosmosów przetaczają się wielkie kataklizmy dziejowe, jednak w samym ich centrum dokonuje się inicjacja głównych bohaterów. O duszę Hansa Castorpa na początku XX stulecia w Davos toczą spór strony, które przedstawiają swoje idee, programy i filozofie, stawiając pytania o przyszłość kultury europejskiej i cywilizacji zachodniej, a także dotykając najważniejszych spraw egzystencjalnych, takich jak miłość czy śmierć.

Jan z „Kryształowego gmachu" nie ma swojego Naphty ani Settembriniego. W powierzchownym świecie ludzi jednowymiarowych wszelkie problemy metafizyczne są automatycznie unieważniane. Najważniejsze, co liczy się dla mieszkańców luksusowego budynku, to konsumpcja i rozrywka. Taka sama była ideologia schyłkowego Rzymu, wyrażona w okrzyku „chleba i igrzysk". Duchowa i egzystencjalna pustka kroczyły przed upadkiem.

POMIESZANIE JĘZYKÓW

Bohaterem trzeciego opowiadania „Babel" jest wykładowca socjologii, który przeżywa kryzys, ponieważ odkrywa, iż nie jest w stanie wyjaśnić swym studentom otaczającej ich rzeczywistości. Nie chce dłużej posługiwać się utartymi kliszami, pełniącymi rolę protez zastępujących proces myślenia. Odrzucając zużyte matryce, przestaje jednak pojmować świat dookoła. Jak wyjaśnia autor: „To nowela o załamaniu się kultury, która przestaje rozumieć sama siebie".

Powyższe zdanie w pewnym sensie można odnieść do całej książki Wildsteina. Opowiada ona o świecie, który zagubił uniwersalne metrum, a zamieszkujące go postaci wydają się mówić różnymi językami. Jeśli używają tych samych słów, to podkładają pod nie odmienne znaczenie. Tak jak całkiem przeciwstawnie mogą być interpretowane takie pojęcia, jak „wartości ogólnoludzkie" czy „wartości europejskie".

Przy okazji pisarz rozprawia się z niektórymi poglądami, dominującymi we współczesnej debacie publicznej, takimi jak np. pozytywizm prawny czy odrzucenie etyki absolutnej. Nie robi tego jednak wprost przez otwartą polemikę, lecz za pomocą środka, który niegdyś do perfekcji opanował Michaił Zoszczenko, a mianowicie „negacji przez afirmację". Rosyjski pisarz ośmieszał w ten sposób absurdy systemu komunistycznego. Można powiedzieć, że Wildstein, także z lekkim przymrużeniem oka, obnaża nonsensy współczesnych ideologii lewicowo-liberalnych. Daje im się po prostu wypowiedzieć, a następnie zderza z rzeczywistością.

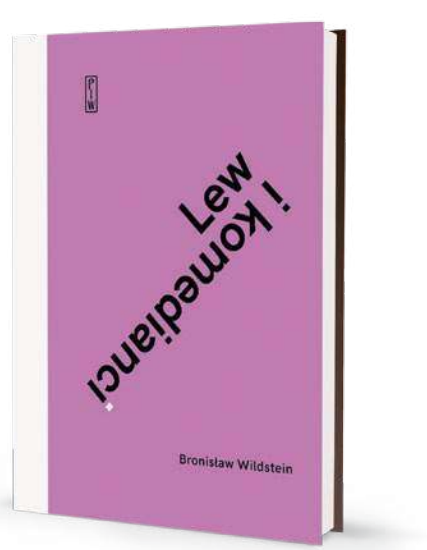
Skojarzenie z Zoszczenką nie jest zresztą przypadkowe: możemy się z tego świata śmiać, wyciągać na wierzch jego niedorzeczności, ale nie zmienia to faktu, że ma on uroszczenia totalitarne i nie toleruje krytyki.

CZEKAJĄC NA BLUSA

Groteskowy charakter mają również dwie sztuki teatralne. „Głos innego świata" to próba spojrzenia na naszą rzeczywistość z dalekiej, historycznej perspektywy, przywodząca na myśl „Legendę o cesarzu Kennedym" Leszka Kołakowskiego. Podobieństwo polega na przyłożeniu narzędzi badawczych jednej dyscypliny naukowej do analizy rzeczywistości, która przynależy do innej dyscypliny. W ten sposób w komedii Wildsteina jeden z bohaterów z odległej przyszłości analizuje współczesne nam wydarzenia społeczne i polityczne, sięgając po kategorie z dziedziny religioznawstwa.

W satyrze Kołakowskiego źródłem groteski była nieprzystawalność narzędzi naukowych do rzeczywistości, którą miały one badać. U Wildsteina jest odwrotnie: okazuje się, że to perspektywa badacza religii pozwala trafniej opisać role, zachowania i poglądy przedstawicieli dzisiejszego mainstreamu medialnego niż optyka socjologów czy politologów. Wynika to z faktu, że ideologie liberalno-lewicowe mają schemat wierzeń religijnych o charakterze gnostyckim ze swoimi kapłanami, dogmatami i świętymi tekstami, w związku z czym niektóre redakcje jako żywo przypominają dziś sekty.

Ostatnia sztuka „Komedianci, czyli Konrad nie żyje" to jakby współczesna wariacja komedii dell'arte, która równie dobrze mogłaby nosić tytuł „Dziewięć postaci scenicznych w poszukiwaniu reżysera". Bohaterami utworu są aktorzy w teatrze, w którym nie ma już dyrektora, ponieważ doprowadzili go do śmierci; nie ma też reżysera ani repertuaru. Aktorzy marzą o odgrywaniu wielkich ról, jednak sami z siebie nie są w stanie wymyślić żadnych kreacji. To słodko-gorzka paraboliczna opowieść o współczesnym człowieku, który chce wyzwolić się z ograniczeń wynikających z kulturowego porządku oraz wyrastającego zeń ładu metafizycznego. Emancypacja kończy się jednak pustką, a wyczekiwany Godot przybiera karykaturalny grymas salonowego celebryty Laki Blusa. Innego końca tego świata nie będzie.



eprasa.pl d4ace5c9e2



O świętym bez dewocyjności

„Nędzarz i madame" to nie tylko poruszające artystyczne kino. To dowód na to, że jest jeszcze szansa na konserwatywną polską kulturę



MARZENA NYKIEL

Bez wielkiej pompy, bez nadęcia, bez dofinansowania filmowych instytucji i milionowego wsparcia wielkiego świata kultury przyszło na świat wspaniałe, piękne, artystyczne dzieło „Nędzarz i madame". Kolejny film Witolda Ludwiga z toruńskiej Akademii Kultury Społecznej i Medialnej jest dowodem na to, że mylą się wszyscy, którzy twierdzą, że odzyskanie zawłaszczonej przez lewicę kultury jest niemożliwe. Ta filmowa historia św. Brata Alberta zachwyca malarskością, fantastycznym brzmieniem, poetycką wrażliwością, porywa autentycznością i głęboką duchowością. Nie ma przy tym nic z dewocyjności.

DRUGI FILM DEBIUTANTÓW

12 listopada na ekrany kin wszedł film „Nędzarz i madame". To drugie dzieło twórców, którzy debiutowali pięć lat temu filmem „Zerwany kłos", przedstawiającym historię bł. Karoliny Kózkówny. I był to wtedy debiut totalny, bo reżyserski, aktorski i producencki. Debiutował także autor zdjęć i montażysta w jednej osobie. I choć wydawało się, że to rzecz absolutnie niemożliwa, ta grupa debiutantów stworzyła rewelacyjny obraz. Pisałam wtedy, że gdyby przedstawić te założenia jakiemuś instytucjonalnemu gremium filmowemu, pewnie spisaliby film na straty: „Wydawało się, że taka rzecz nie może się udać. Fabularny film studentów, reżyserowany przez debiutanta (będącego jednocześnie autorem scenariusza), obsadzony w dodatku sporą gromadą debiutujących aktorów. Co więcej, debiutantem był także autor zdjęć, który jednocześnie montował film. Fabularnie debiutował również producent: Fundacja Lux Veritatis, nadawca Telewizji Trwam. Do tego katolicka historia o błogosławionej dziewicy, męczennicy. Gdyby przedstawić te wszystkie założenia światłym i postępowym producentom filmowym, trzasnęliby drzwiami, twierdząc, że pomysł nie ma rynkowego potencjału. A jednak! Studenci i absolwenci Wyższej Szkoły Kultury Społecznej i Medialnej w Toruniu wyprodukowali film, który w pełni zasługuje na miano dzieła".

POETYCKOŚĆ SCENARIUSZA

Pięć lat później ta sama grupa zaprezentowała swój kolejny niezwykle udany film „Nędzarz i madame". Wspaniały, subtelny, ale niezwykle uderzający obraz, który powinien zawstydzić wielu współczesnych twórców kina, wydających publiczne miliony na swoje pseudoartystyczne wizje. Scenariusz napisany przez reżysera filmu Witolda Ludwiga zachwyca poetyckością niezwykle głębokich, acz nieprzegadanych dialogów. W połączeniu z fantastycznymi zdjęciami Juliana Kucaja i poruszającą muzyką Krzysztofa Jańczaka sprawia, że historia św. Brata Alberta dotyka najgłębszych pokładów duszy.

Nie jest to przewidywalne katolickie kino hagiograficzne. To poruszająca opowieść o realnych zmaganiach człowieka, którego niespokojna dusza szuka pełni człowieczeństwa. Wybitny polski malarz Adam Chmielowski, służący z oddaniem obronie ojczyzny i okaleczony w powstaniu styczniowym, ukazany jest w samym ogniu swojej walki

eprasa.pl d4ace5c9e2

o „większą wolność” – wolność od pokus świata, od własnego egoizmu i pychy. Piotr Zajączkowski rewelacyjnie gra postać artysty z buntowniczą, ale piękną i czystą duszą, który przechodząc przez „ciemną noc” wiary, porzuca malarską karierę, by opiekować się biednymi i opuszczonymi. Wspaniale opowiedziana jest też historia jego przyjaźni z Józefem Chełmońskim, zagranym przez Tomasza Błasiaka. I choć film nie przedstawia całej historii życia świętego, wprowadza widza w stan niezwykłej zażyłości z tym – może wcześniej nieznanym mu bliżej – świętym, zachęcając do dalszych poszukiwań.

MALARSKOŚĆ OBRAZU

Ujmująca jest malarskość tego dzieła. Obrazy wplecione są w film niezwykle naturalnie. Niektóre osadzone są w kadrach podczas inscenizacji czytelnie, ale nienachalnie. Widz bez trudu dostrzeże w obiektywie Juliana Kucaja „Żurawie” i „Babie lato” Józefa Chełmońskiego, „Wigilię na Syberii” Jacka Malczewskiego czy „Ecce Homo” Adama Chmielowskiego. Malarskie są także: scenografia Marka Chowańca, kostiumy Joanny Walisiak-Jankowskiej, muzyka Krzysztofa Jańczaka, ale i poetyckie dialogi Witolda Ludwiga. Przepiękna jest rozmowa Chełmońskiego o obrazie „Odlot żurawi” – najpierw z Heleną Modrzejewską (Magdalena Michalik), później z głównym bohaterem. Mówi w niej, że jeden z żurawi umiera nie dlatego, że cierpi z powodu złamanego skrzydła, ale z tęsknoty do chmur. I właśnie o tej tęsknocie jest ten film. Mocno wybrzmiewa w nim wpleciony fragment listu Adama Chmielowskiego do Modrzejewskiej: „Wiele myślałem w życiu, kto jest ta królowa sztuka – i doszedłem do przekonania, że jest to tylko wymysł ludzkiej wyobraźni, a raczej straszne widmo, które nam rzeczywistego Boga zasłania... A jeśli w tych dziełach kłaniamy się sobie... to choć to nazywa się zwykle kultem dla sztuki, w istocie rzeczy jest tylko egoizmem zamaskowanym. Ubóstwiać siebie samego – to przecież najgłupszy i najpodlejszy gatunek bałwochwalstwa...”.

Porusza także mocna deklaracja św. Brata Alberta, ujmująco wpleciona w narrację: „Iść zawsze naprzód, choćby po gorzkich zawodach i szalejących bałwanach morskich, gdy opieka Boska nad nami, przed niczym zaś się nie cofać, a na wszystko być gotowym, jeśli Bóg czego od nas żąda”.

Oprócz aktorów niezawodowych pojawia się w filmie wielu zawodowców. Niektórzy zaledwie na jedną lub kilka scen, ale za to mocno i trwale. Starszego Brata Alberta gra niezwykle wymownie Krzysztof Wakuliński. Świetna jest kreacja księcia Władysława Czartoryskiego przez Mariusza Saniternika i genialna postać rotmistrza zagrana przez Pawła Tchórzelskiego. W jednej ze scen grają wspólnie Marcin Kwaśny, Michał Chorosiński i Jarosław Gajewski. Mocny Lech Dyblik w roli grabarza. Pojawia się także Radosław Pazura w scenie grozy. Wszystko znakomicie się dopełnia.

> Nie jest to przewidywalne katolickie kino hagiograficzne. To poruszająca opowieść o realnych zmaganiach człowieka, którego niespokojna dusza szuka pełni człowieczeństwa

KONSERWATYŚCI MAJĄ SWOICH TWÓRCÓW

Trzeba powiedzieć jasno, że „Nędzarz i madame” to dzieło bezkonkurencyjne wobec niektórych filmów wyprodukowanych w szkołach filmowych za obfite granty pod pieczołowitym okiem najbardziej znanych filmowców. Film został stworzony przez absolwentów i studentów Akademii Kultury Medialnej i Społecznej w Toruniu. Część z nich to pracownicy Telewizji Trwam (np. operator i montażysta), niektórzy współpracują z Radiem Maryja czy toruńską uczelnią. Wspólnie stworzyli profesjonalną produkcję, która ma szansę zachwycić ogromną widownię i ponieść postać św. Brata Alberta w świat.

Producentem filmu jest Fundacja Lux Veritatis, otrzymująca środki z datków słuchaczy Radia Maryja i Telewizji Trwam. Projekt został sfinansowany z wpływów otrzymanych w ramach 1-proc. odpisu podatkowego. Dzięki zaangażowaniu i wysiłkowi środowiska Radia Maryja powstało pełnowartościowe dzieło, będące dowodem na to, że sztuka może być prawdziwa, wartościowa i niebanalna. Może być katolicka i niekoniecznie zdewociała. Może być historyczna, ale nie musi być nudna.

To także dowód na to, że snobistyczne środowiska grantowo-kulturowe, uzurpujące sobie wyłączne prawo do stanowienia sztuki, mają realną konkurencję. Może więc czas na oddalenie bałamutnych argumentów, że kultura wciąż pozostaje w rękach lewicy, bo po stronie konserwatywnej brakuje ludzi zdolnych i profesjonalnych. Mamy ich mnóstwo, nie tylko w środowisku filmowym. Potrzeba tylko wysiłku decydentów, by opuścili swoją strefę komfortu i zaprosili ich do współpracy. W przeciwnym razie za kilka lat konserwatywna kultura będzie mogła się realizować jedynie w podziemiu za środki otrzymywane z datków.

FILM, KTÓRY TRZEBA ZOBACZYĆ

„Nędzarz i madame” to kawał pięknego, artystycznego, poruszającego kina. I choć ma też słabe momenty, całość chwyta za serce i zmusza do głębokiej refleksji. Można się chyba porwać na stwierdzenie, że wypełnia sens zawarty w podtytule filmu: „Mała iskra, wielki płomień...”. Zachętą do jego obejrzenia niech będzie utwór „Wciąż pytasz czemu” skomponowany przez Jakuba Lubowicza do słów Witolda Ludwiga, zaśpiewany przepięknie przez Andrzeja Lamperta. „Jeżeli serce dasz na spalenie, każda twa iskra wznieci płomienie...”.

eprasa.pl d4ace5c9e2

3 MIŁOŚCI

Traktacik o gnidach



ROBERT TEKIELI

Ośmieszenie kategorii prawdy jest najbardziej szkodliwą konsekwencją ponowoczesnego zmiażdżenia zachodniej kultury. Nauka, szkoła, uniwersytet okazały się w najlepszym przypadku wobec tego zjawiska bezradne. Bo nie jest dalekie od prawdy oskarżenie współczesnego establishmentu o celowe odwracanie sensów. Dziś można w biały dzień głosić bzdury o nieszkodliwych narkotykach, o zbawiennym wpływie na dzieci masturbacji, o tym, że prostytucja jest taką samą pracą jak inne, a Jan Paweł II – przestępcą. Na promocję użytecznych dla siebie kłamstw wydawane są miliardy – przez państwa, korporacje i ruchy rewolucyjne. Aby kłamstwo przeniknęło całe społeczeństwo, nie wystarczą jednak telewizje i portale informacyjne. Potrzebna jest też specyficzna kategoria ludzi. Przypomniałem sobie o niej, gdy przy okazji przeprowadzki wpadła mi w ręce książeczka Piotra Wierzbickiego „Traktat o gnidach". Spróbuję przyłożyć zawarte w niej obserwacje do realiów dnia codziennego.

Kim jest gnida? To człowiek mniej lub bardziej znany. W miarę ustawiony, który swej pozycji broni cichą pracą swoich szarych komórek, służąc rozdającym w Polsce zaszczyty i kasę. Gnida staje na dwóch łapkach i myśli. Nad czym? Nad tym, jak uzasadnić to, co akurat trzeba uzasadnić. Uzasadnienie nie jest najmocniejszą stroną możnych. W uzasadnianiu wyręczają ich gnidy. Regularnie zapraszane są więc do TVN.

Gnida nie jest cynikiem. Gnida cynikiem być nie umie. Cynik to ktoś mający odwagę kłamać, gnida trudząc się, by słuszne postępki uzasadniać, musi się jeszcze trudzić nad czymś dodatkowym: nad tym, żeby przekonać do tych postępków samego siebie. Gnida nieustannie zadaje gwałt swojej duszy. Gnida, w przeciwieństwie do cynika, który nie próbuje „być w porządku", stara się za wszelką cenę „być w porządku". Gdyby na amerykańskich czołgach wjechali pewnego dnia do Warszawy amerykańscy żołnierze, gnidy witałyby ich z ogromnym entuzjazmem. Tak samo byłoby, gdyby wjechały czołgi rosyjskie. I nawet gdyby nastąpiło to w odstępie miesięcy, gnidy nie miałyby problemu ze zmianą narracji. Gnida to intelektualny, naukowy lub artystyczny pomocnik klasy panów, prawdziwych właścicieli III Rzeczypospolitej, zajęty uzasadnianiem konieczności ich powrotu do władzy politycznej i swojej wobec nich uległości.

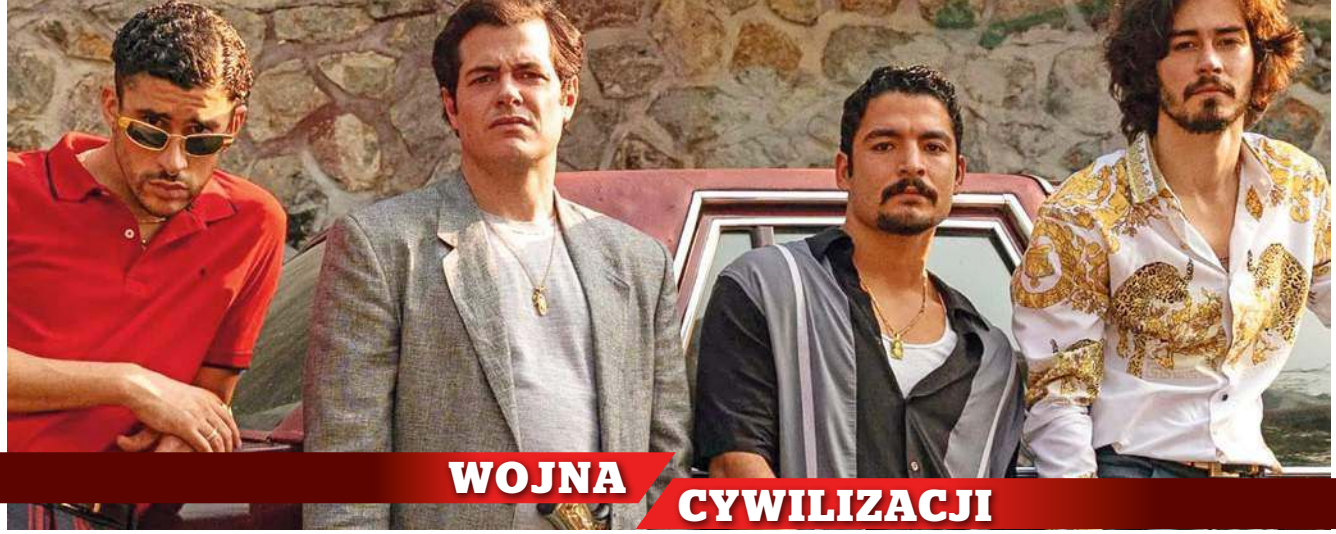
Gnidy zamieszkują głównie stolicę Polski oraz niektóre większe miasta. Są gnidy zadowolone z wypowiedzenia Polsce wojny hybrydowej. Widzimy dziennikarzy najpierw usprawiedliwiających głosowanie przeciwko budowie muru na granicy z Białorusią, a dziś krzyczących, że państwo jest z dykty, a mur powinien stanąć pięć lat temu.

Gnida zawsze ma swoich panów, nie zawsze ma ich w Polsce. Gnida rozpisywać się będzie o demonach polskiego patriotyzmu, absolutnie nie czyniąc tego w interesie nacjonalizmu rosyjskiego czy niemieckiego. Będzie atakować Marsz Niepodległości czy Straż Graniczną, tak jak kiedyś atakowała twórców Wojsk Obrony Terytorialnej. Gnida będzie pisać, że Polska powinna mieć małą armię. Z jakich powodów? Każda znajduje uzasadnienia na miarę własnego intelektu. Gnida będzie szkalować Polskę na każdym zagranicznym forum, będzie robić wszystko, by obalić rząd wybrany demokratycznie. No i oburzy się, gdy ktoś jej powie, że ociera się to o zdradę, że stawia się po stronie współczesnej targowicy.

Gnidami są dziennikarze usprawiedliwiający poselski rechot z chorego człowieka. Gnidami są sędziowie, którzy seryjnie wypuszczają na wolność przestępców, byle ci psuli krew swym politycznym przeciwnikom. Gnidą jest szef jednej z anten Polsatu, który twierdził, że soft porno na jego antenie jest prorodzinne. Są również gnidy odgrywające role polityków.

Gnidy chcą o sobie myśleć dobrze. Jednak na dłuższą metę kończy się to intelektualną degradacją, alkoholizmem bądź cynizmem. Gnida próbuje odwlekać taki koniec, zadając się tylko z gnidami. Gnidy są więc bardzo towarzyskie. Mają nawet swoje Towarzystwo.

eprasa.pl d4ace5c9e2



WOJNA CYWILIZACJI

Warte W piątek, 5 listopada, odbyła się na Netfixie wyczekiwana przez wielu premiera trzeciego sezonu serialu „Narcos: Meksyk". Nie jestem jakimś wielkim fanem tej produkcji, ale doceniam niespieszną, sitcomową narrację, przerywaną z rzadka eksplozjami czasami irracjonalnej i autodestrukcyjnej przemocy. Mamy na ekranie mordowane z zimną krwią kilkuletnie dzieci, które musiały oglądać wcześniej śmierć matki. I deklaracje: „Muszą się mnie bać. Bez tego nie byłoby tego wielkiego domu ani pieprzonej biżuterii, pokojówek, ogrodników i przyjęć na kilkaset osób". Jest w „Narcos" wszystko, co potrzebne w mafijnej opowieści: kłamstwa, dziwki i zdrada przyjaciela. A wszystko to na tle globalnych gier: nieistotne w sumie zatrzymanie jednego z bossów jest pretekstem do przyznania Meksykowi certyfikatu czystości, a co za tym idzie, oznacza to kolejne miliardy dla karteli narkotykowych oraz setki miliardów dla amerykańskich koncernów. Pozory, telewizja, teatr. W tle postać prezydenta Busha.

Przed każdym odcinkiem widzimy planszę z zapewnieniem, że serial opiera się na faktach. Mniejsza o to, pewne jest, że mówi się w nim o postaciach historycznych, takich jak Pablo Escobar, Miguel Ángel Félix Gallardo, twórca kartelu z Guadalajary, czy Carlos Hank Gonzáles, zmarły w 2001 r. meksykański polityk i wpływowy biznesmen. Drugi sezon serialu zakończył się upadkiem meksykańskiego megakartelu – Federacji. Składające się dotąd nań kartele rozpoczęły samodzielne działania. Amerykański prezydent mógł ogłosić sukces, ale aresztowanie szefa Federacji musi doprowadzić do krwawej wojny, jakiej dawno nie było.

Narkojuniorzy, aranżowane małżeństwa, instytucjonalna korupcja, w końcu Meksykiem rządziła przez dekady Partia Instytucjonalno-Rewolucyjna. Z jednej strony granicy policjanci zarabiają 2 tys. dol., z drugiej – 150. W „Narcos" sportretowany został świat narkotykowej arystokracji oraz świat slumsów i ich okolic: grube do nieprzyzwoitości dziwki i zapach prosektorium, w którym chronicznie nie ma prądu. A w tej scenerii główni bohaterowie: Walt, sfrustrowany agent DEA po przejściach, Amado, mafioso, który stworzył komórkową strukturę mafijną nie do rozbicia, Victor, policjant z wyrzutami sumienia, Andrea, idealistyczna dziennikarka, i w tle generał, który ku zdumieniu wszystkich jest uczciwy. Niszczy na przykład przechwycony, wart miliony towar, pali kokainę i oferowane mu w zamian za milczenie wielkie pieniądze. Bo choćby państwo było skorumpowane, a wielkie antynarkotykowe akcje utrącane przez niekompetencję i polityczne ambicyjki, zawsze po tej czy po tamtej stronie granicy znajdzie się samotny szeryf. Choćby toczył go kryzys wieku średniego.

Warte Już wkrótce szósty tom cyklu Roberta Wegnera „Opowieści z meekhańskiego pogranicza". Zgrabne, realistyczne fantasy, w którego świecie istnieją magia i potwory w różnych postaciach, ale w którym kwitnie też i zamiera zwykłe życie. Czyli lojalności, zdrady, przyjaźnie i nienawiści. Ale też duma i pamięć.

Jak się pisze takie książki? Bierzesz dużą kartę papieru, wrzucasz ją do pralki z brązową farbką i po wysuszeniu, na starodawnym pergaminie wyrysowujesz świat pomiędzy Morzem Białym a Szarym Oceanem. Trzy wielkie rzeczne doliny, zamykające krainę od północy i południa górskie pasma. Wielki Step od wschodu, a z zachodu ocean. Dwa miasta, jakieś jezioro i już masz teatr, który trzeba teraz wypełnić aktorami. Plemiona, klany, imperium jakoś podobne do rzymskiego; emocje, pragnienia, żądze oraz ludzcy i nieludzcy bohaterowie. Do tego systemy wierzeń i obrzędów, panteony bogów, półbogów i Bóg wie czego. Kapłani, kurwy i złodzieje. Walki wywiadu z kontrwywiadem, Ogarów ze Szczurami. Głowy toczą się po śniegu, piasku i miejskim bruku w rytmie niezłej fabuły. Akcja jest przeprowadzana zgrabnie w większości początkowych opowiadań, a potem również w rozbitej na kolejne tomy powieści. Honor górala, przebiegłość złodzieja z przedmieść, duma synów pustyni – stereotypy tkane w dającą w siebie uwierzyć materię.

Co będę pamiętał z tych tomów? Heroiczną obronę przełęczy do ostatniego niemal żołnierza, nie beznadziejną, bo ratującą życie tysięcy cywilów. Grę w stepowe szachy: starcie imperialnej i koczowniczej kawalerii z taką liczbą zwrotów akcji, że można by nimi spokojnie wypełnić pięć filmów Marvella. Autor przywołał też do życia niezwykłego bohatera zbiorowego, plemię Wozaków, z całą jego historią i współczesnością. Dumne opowieści o dawnych, pięknych czasach, powtarzane przy ogniu. I zwykłe słowa o klanowych egoizmach, sąsiedzkich zwadach, o małej nienawiści i jeszcze mniejszej zemście. Ta opowieść o nieistniejącym poza kartami tych książek plemieniu jest kompletna. Obejmuje nawet semiotykę trzech poziomów używanego przez plemię języka.



Kolejne odsłony opowieści z meekhańskiego pogranicza łączą się w większą strukturę. Czekamy więc na tom szósty, na kolejne puzzle tego zajmującego fresku. Wielbiciele literatury fantasy wiedzą, że warto.

Robert Tekieli
Polskie Radio

eprasa.pl d4ace5c9e2



Pospieszny Charona

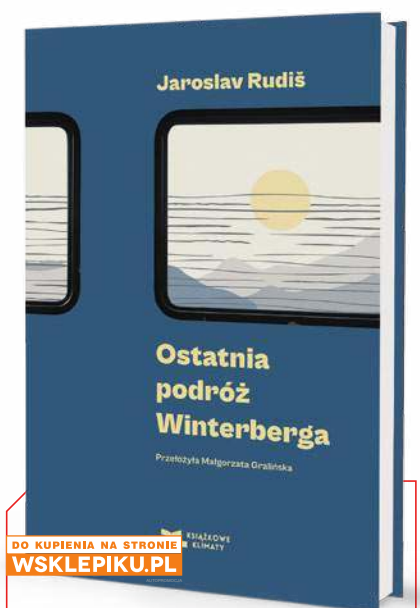
Rytm pociągu pozwala domknąć drogę życia, zmierzyć się z upadkami, zszyć jak terkoczącym singerem poszarpane płachty, języki i winy Europy Środkowej

Wojciech Stanisławski

Rytmiczny hałas uspokaja, po kilku miesiącach rodzicielstwa większość już wie, że jedną z niezawodnych metod uśpienia malucha jest włączenie odkurzacza. Dorosłym, szczególnie z uczuleniem na kurz, pozostaje pociąg. Ile już było podróży pociągiem w literaturze, zgrzytających hamulców, eleganckich pluszów! „A teraz – rzekł N. – opowiem państwu swoją historię". A jednak Belcia Łęcka, Miłosz Pipka, Wieniczka w elektriczce i Błażejek Cendrars razem wzięci nie przejechali tyle, ile Winterberg, 99-letni Wenzel Winterberg. Z Jiczyna do Pragi. Z Pragi do Budweis. Z Budweis do Linzu. Z Linzu do Bad Ischl. Z bedekerem z roku 1913, zachwalającym podróże po Cesarstwie Naddunajskim. Z nadzieją, że uda się zasnąć, że kołysanie wagonu ukoi dygot, w jaki wprawia go Historia.

Zapowiedziana w ten sposób powieść wygląda na jeszcze jedne ciepłe wypominki postaustrowęgierskie. Kochamy tę jedyną możliwą federację narodów, tę harmonię rozoraną dwoma strzałami serbskiego suchotnika – i nawet jeśli wiemy, że to zbyt prosty obraz, pozostaje on Arkadią. Po stu latach jady Musila można smakować na równi z drwiną Haška, goryczą Wittlina i nie przeszkadza to w nuceniu „Boże, wspieraj" do wtóru z Kišem i Andruchowyczem – a w wariancie dla bywalców Robert Makłowicz naleje nam jeszcze naparstek körte palinki.

Po pierwsze, jednak ta arkadia widziana jest tym razem z perspektywy ściśle czeskiej: wprawdzie nasi bohaterowie, Winterberg ze swoim pielęgniarzem/kompanem/Charonem dotrze do Zagrzebia, Budapesztu, Drezna, a nawet daleko na północ, ale większość podróży odbywa się w ciasnym wrzecionie Moraw i Szumawy: Hradec Králové, Trunov, Mladá Boleslav. Wyobraźnia Winterberga, którego dzieciństwo i młodość upłynęły w Republice Czechosłowackiej, osuwa się jeszcze o ponad pół wieku wcześniej: w czesko-austriacki biedermeier, czas pierwszych pociągów i fabryk, czas zapatrzenia w Wiedeń.



Jaroslav Rudiš, „Ostatnia podróż Winterberga", tłum. Małgorzata Gralińska, Książkowe Klimaty, 2021

Po wtóre, ta powieść jest chłodna, chwilami lodowata. Kolejowa anabaza ma miejsce między listopadem a styczniem, w zadymkach, lodowatych deszczach, mżawce, między czasami dobrego cesarza a naszymi kładzie się zaś cień wielkiej wojny, nazizmu i komunizmu – chociaż zdaniem Winterberga całe zło zaczęło się od bitwy pod Königgrätz (1866), czyli Sadową.

Jaroslav Rudiš wodzi nas za nos, wystawia do wiatru, przeczołguje czytelnicze upodobania. „Ostatnia podróż..." zapowiada się jak jeden z tych miłych formatów beletrystyki i filmów: niedobrana para kompanów uczy się współdziałać, silny, sprawny i szorstki, któremu narzucono słabego towarzysza, odkrywa potęgę dobra, otwiera serce i dostrzega urodę świata. Ładne, prawda? Tak, ale powieść Rudiša nie stosuje się do tej formuły, choć krąży wokół niej, otwiera taką możliwość – i zatrzaskuje, jak to się dzieje z irytująco niedomkniętymi drzwiami przedziału. Podobnie ze wspomnianą już austro-węgierskością: jest jej niemal zbyt wiele, jakby autor chciał z naddatkiem wyrazić wdzięczność za stypendium ufundowane przez V4, Austriackie Forum Kultury lub może Związek Piwowarów Czeskich, tyle w niej tropów, muzeów, wiosek jak z rysunków Josefa Lady i kremowej piany pilsnera.

A jednak „Ostatnia podróż..." zbudowana jest nie na nostalgii, lecz na hipnotycznym rytmie pociągu, rytmie obsesyjnych monologów Winterberga, powracających fraz. Komu po tej lekturze nie będzie się tłukł w pamięci dereń, czyli *Cornus sanguinea*, liczne odmiany „nieboszczyków, którzy nie przedstawiają pięknego widoku" oraz „krajobraz bitew, cmentarzy i ruin", ten najpewniej przekartkował tylko tę książkę; scenarzyści,

eprasa.pl d4ace5c9e2

którzy będą kroić z niej plan filmu (jestem pewien, że się tacy pojawią), wytną z niej liczne echa, nawracające jak zły sen sceny, przesilenia, po których znów lądujemy na odcinku Nymburk–Kolin–Praga.

Ale scenarzyści się mylą, a Rudiš zna swój fach: jego debiutanckie „Niebo pod Berlinem" traktowało o metrze, zachwycająca, komiksowa trylogia „Alois Nebel" o czeskim kolejarzu. Stuk kół, refreny, echa są siłą jego prozy, rozpiętej między liryzmem a bezwzględnością. Ten rytm pozwala domknąć drogę życia, zmierzyć się ze swoimi upadkami, zszyć jak terkoczącym singerem poszarpane płachty, języki i winy Europy Środkowej. Rudiš, rodem z Turnova, napisał ją po niemiecku, niemiecki i czeski, jak przystało na Szumawę, splatają się i przenikają, co nieźle oddała tłumaczka – choć za groteskową „czewapczycę" w miejsce ćevapu ukarałbym ją pozbawieniem tego, co dla tej potrawy niezbędne: ajvaru i drobno szatkowanej cebuli.

Żółty rym biografistyki

Co byśmy zrobili bez Plutarcha? Jego pomysł na opowieść ma, bagatela, 1900 lat, a wciąż się broni. Mocno osadzony w swojej epoce („Żywoty równoległe" miały służyć nie tyle nauce, ile badaniu cnót i ich umacnianiu u czytelników, proroczych snów i przepowiedni jest w nich bez liku, no i można ubolewać, że nie pojawiło się tam zestawienie bodaj Aspazji i Kleopatry), do dziś wykorzystywany jest przez historyków. I słusznie, przeszłość tworzą bowiem nie tylko ceny zboża, zarazy, rewolucje technologiczne i wzory kulturowe (choć to świetnie, że z czasem badacze dostrzegli ich rolę), lecz również ludzie, sprężyna i zaczyn wszystkiego. Próba tłumaczenia przeszłości przez zestawianie biografii w pewien sposób podobnych (za sprawą roli, pozycji, wymiaru pojedynczej decyzji) wydaje się dziś oczywista, ale jest to oczywistość pozorna. Tak naprawdę Plutarch zasłużył na okrzyk „Eureka!": dwa żywoty „równoległe" to znacznie więcej niż suma dwóch pojedynczych biografii.

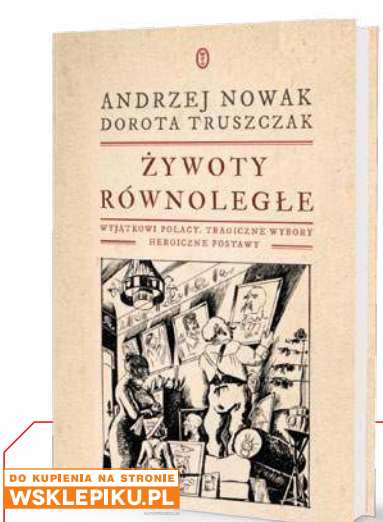
Plutarchowy format wykorzystywany jest od kilku lat również przez Andrzeja Nowaka, zestawiającego żywoty polskie na antenie Polskiego Radia w audycji redaktor Doroty Truszczak. Szczęśliwie dla wzrokowców wybór tych audycji, powstałych na uboczu poważniejszych zatrudnień profesora, ukazał się drukiem.

Szczęśliwie, bo te paralele okazują się prawdziwie pożywne dla umysłów. Nie przez to, że oferują bogactwo nieznanych faktów: można w nich wyłowić różne smaczki, przypomnienia detali, które umykają (zawsze cieszy mnie temat doktoratu Dmowskiego, czyli morfologia wymoczków włoskowatych), ale poziom szczegółowości tych żywotów nie wykracza poza to, co możemy przeczytać w popularnych biografiach czy w PSB. Bo też nie o to chodzi: cała uroda tej książki zasadza się na tym, że (w odróżnieniu od Nikiasza i Krassusa, o których zwykle dowiadujemy się właśnie za sprawą Plutarcha) z zestawienia faktów i biografii na ogół znanych rodzi się nowa jakość. Z opatrzonych, wydawałoby się, klocków (znów Kościuszko, Mickiewicz, Piłsudski, zieeew) zbudować coś tak zajmującego – to mi sztuka!

Czasem wystarczy w tych żywotach już wybór „kąta odbicia", nieoczekiwane zestawienie. Plutarch i Bullock sięgali po osoby sprawujące porównywalną funkcję w różnych czasach czy państwach. U Andrzeja Nowaka też figuruje kilka podobnie bliźniaczych par: Piłsudski i Dmowski, Orzeszkowa i Konopnicka, Bierut i Gomułka. Kilka duetów jest zupełnie innych, jeśli idzie o koleje życia, temperament, ziemski koniec, po chwili namysłu widać jednak ich funkcjonalne podobieństwo, paralelizm roli odegranej w dziejach Polski: Pilecki i Sendlerowa, Ciepliński i Karski, Walentynowicz i Kuroń. Są żywoty formalnie podobne, jeśli idzie o powołanie i temperament, a jednocześnie uderzająco kontrastowe, choćby Anders i Świerczewski. Najciekawsze są jednak zestawienia na pierwszy rzut oka nieoczywiste, „nierównoległe", które wydają się wręcz przekoszone – ot, taki „żółty rym" biografistyki paralelnej. Czartoryski i Mickiewicz? Miłosz i Jan Paweł II? Ano właśnie.

I druga ich zaleta: przychylność. Mówi się nieraz o „Historii filozofii" Tatarkiewicza, że o każdym filozofie pisał jak o swoim ulubionym: ta opinia (z którą ostro polemizuje prof. Piotr Nowak!) funkcjonuje już dziś na prawach komunału, ale rzeczywiście, Plotyn i Kant mają u Tatarkiewicza niemal jednakowo ujmujące rysy. „Żywoty równoległe" nie posuwają się tak daleko, Świerczewskiemu i Bierutowi została tam wymierzona sprawiedliwość. Uderza jednak pragnienie autora, by nawet u postaci tak niełatwych do obrony, jak Wielopolski, lub po prostu trudnych do polubienia dla wielu (jak Iwaszkiewicz, Kuroń czy Lech Kaczyński) dostrzec to, co wnieśli dobrego do wspólnej sprawy.

Entuzjastom skandalów i klikalności („Celne!" „OSTRA odpowiedź N.N.") wyda się to może ckliwe. Ja, w obliczu koszmarnych polskich podziałów, odsądzania niedawnych bohaterów od czci i wiary tylko dlatego, że „nie nasi", upatruję w takim podejściu do przeszłości ogromną wartość.



Andrzej Nowak, Dorota Truszczak, „Żywoty równoległe. Wyjątkowi Polacy, tragiczne wybory, heroiczne postawy", Wydawnictwo Literackie, 2021

eprasa.pl d4ace5c9e2

MATEO ZIELONKA, PS. PASTAMAN*

Przygoda z makaronem



Moja przygoda z makaronem zaczęła się pięć lat temu. To było w jednej z londyńskich restauracji specjalizującej się w paście. Dziennie przygotowywaliśmy 60 kg makaronu. Ręcznie. 700 dań.

Mówią, że makaron tuczy. Ja w pierwszym miesiącu straciłem prawie 9 kg. Po trzech miesiącach zrobiłem sobie pół roku przerwy, ale brakowało mi np. wyrabiania ciasta. To zajęcie pod wieloma względami bardzo dobre dla psychiki. Skupiasz się przy nim na sto procent.

Kolejnym etapem jest kreowanie. Zaczynasz od prostych rzeczy: tagliatelle, pappardelle, a potem myślisz: „Co mogę z tym zrobić, żeby było ciekawiej, smaczniej?". Odkrywasz mniej popularne makarony, wprowadzasz kolor lub modyfikujesz kształt, zmieniasz dodatki, zaczynasz tworzyć własne sosy... Respektując włoską tradycję, zaczynasz grać ze smakiem. Możesz w ten sposób dojść nawet do szefowania w londyńskiej restauracji [uśmiech].



I są jeszcze dwie ważne kwestie. Nie trzeba jeść ogromnych porcji. Zamiast 200 g makaronu wystarczy 80. Oczywiście ze znakomitym sosem. I do tego sałatka. Istotne jest też niemarnowanie jedzenia. Wykorzystanie tego, co zostaje po przygotowaniu wcześniejszych dań lub co zalega w lodówce (to też może być źródłem kreacji).

Zostało trochę szpinaku? Dlaczego nie zrobić zielonej pasty. I wymyślić jakiś jej nowy kształt. Inspiracje znajdujesz wokół – na spacerze, w podróży, na wystawie... Do robienia makaronu można zaprosić dzieci, przyjaciół. To świetna zabawa i do tego odstresowujące, a zarazem bardzo twórcze działanie. Coś, co ludzi przypiętych dziś przez wiele godzin do urządzeń elektronicznych, rozwija manualnie, a także kreacyjnie i smakowo.

Jolanta Gajda-Zadworna

**Szef kuchni w londyńskim 180 The Strand, instagramer, autor książki „Pastaman. Sztuka robienia makaronu krok po kroku", Wyd. Buchmann*

PAPPARDELLE Z CAVOLO NERO I BURRATĄ

Cavolo nero, nazywana czarną kapustą lub toskańskim jarmużem, sprawia, że sos do makaronu będzie zdrowy i pełen witamin oraz żelaza. Kremowa burrata doskonale komponuje się ze smakiem cavolo nero – dzięki temu połączeniu danie jest naprawdę wyjątkowe

Składniki (porcja dla 4 osób): 400 g jajecznego makaronu pappardelle, 1 mała główka czosnku, 150 g cavolo nero (ok. 10 liści), sok z ½ małej cytryny, 100 ml/7 łyżek oliwy, dodatkowo do skropienia, 20 g parmezanu lub pecorino, startego, 2 kulki burraty, przedzielone na pół.

Wykonanie: Rozgrzej piekarnik do 180°C. Przekrój główkę czosnku na wysokości 1 cm od góry tak, żeby ząbki były widoczne. Szczelnie zawiń główkę w folię aluminiową i piecz 25 min, aż czosnek zrobi się miękki. Usuń i wyrzuć twarde łodygi cavolo nero i umyj liście w zimnej wodzie. Zagotuj wodę w dużym garnku, następnie dodaj sól. Blanszuj liście 30 s i po tym czasie od razu przełóż je do miski z zimną wodą (dzięki temu zachowają zielony kolor). Odstaw garnek z osoloną wodą – przyda się do gotowania makaronu. Wyciśnij z liści cavolo nero tyle wody, ile się da. Przełóż je do robota kuchennego lub blendera. Dodaj sok z cytryny. Wyciśnij upieczone ząbki czosnku z łupinek i dorzuć do blendera. Zacznij miksować składniki z sobą, powoli wlewając oliwę. Na końcu wsyp parmezan. Ponownie zagotuj osoloną wodę i 1,5–2 min gotuj pappardelle. Gdy makaron się gotuje, przelej sos z cavolo nero do dużego rondla i podgrzewaj na małym ogniu. Kiedy makaron jest gotowy, dodaj go do sosu, dolewając chochlę (lub dwie) wody, w której się gotował. Połącz wszystkie składniki, używając szczypców lub potrząsając rondlem. Sprawdź, czy danie jest odpowiednio doprawione – na pewno przyda się sól. Być może będzie trzeba rozrzedzić sos kolejną porcją wody.



Nałóż makaron do misek. Na każdej porcji połóż połówkę burraty, skrop oliwą i posyp świeżo mielonym czarnym pieprzem.

Wersja wegańska: Zamiast jajecznego pappardelle użyj makaronu chitarra przygotowanego z wegańskiego ciasta. Dodaj 20 g płatków drożdżowych zamiast parmezanu. Burratę zastąp pangrattato.

Fot. Materiały prasowe

eprasa.pl d4ace5c9e2



SŁODKO-SŁONY

Uwaga, kłos

ANNA MONICKA

Czasem warto posłuchać swojego organizmu. Kiedy nie masz ochoty na białe pieczywo, odrzuca cię od zagęszczanych mąką sosów czy zup albo parówek. Instynkt w razie zagrożenia każe uciekać. Niekoniecznie przed uzbrojonym wrogiem, czasem także od... sklepowej półki. A skoro ja to czuję, czy powinnam karmić dziecko czymś, co budzi moje wątpliwości? W naszym przypadku samo dbanie o zdrową żywność i pilnowanie nastolatki, żeby nie jadła śmieci, choćby najpiękniej zapakowanych, nie wystarczyło.

Gdy córka zaczęła opadać z sił, tracić chęć do życia i nauki, wreszcie – mieć kłopoty z zasypianiem i wypoczywaniem, początkowo myślałam, że to wpływ pandemii, odcięcia od rówieśników, młodzieńczej depresji wywołanej huśtawką hormonalną. Do tego presja szkoły i nauczycieli, którzy w ósmej klasie próbują nadrobić zaległości, koszmarnie przeładowanych programów, zmuszania do kucia na pamięć podręczników i wbijania nastolatkom do głów wiedzy, z którą ja się mierzyłam dopiero w liceum czy na studiach.

Na szczęście mądra lekarka zleciła rozszerzone badania krwi. I bum. Jest hashimoto, choroba, która atakuje coraz więcej kobiet, bo głównie one chorują. Wychwycona na szczęście na tyle wcześnie, że wprawdzie dała już ostro popalić ciału i duszy, ale nie zdewastowała jeszcze tarczycy.

Zalecenia od lekarza wywróciły nasz świat do góry nogami. Zero glutenu. Bo celiakia i nietolerancja tego zawartego w zbożach białka idą w parze z hashimoto. Tak moje nastoletnie dziecko dowiedziało się, że rzeczywiście jesteśmy tym, co jemy.

Lekarka nie pozostawiła złudzeń: musimy sprawdzać wszystkie etykiety, nawet produkty, które teoretycznie nie zawierają glutenu, mogą być nim „wzbogacone", bo przemysł spożywczy używa tej pszenicznej gumy do zagęszczania. Pojawia się w kiełbasie, parówkach, jogurtach, czekoladzie, nawet tej twardej, bo w nadziewanych słodyczach zazwyczaj jest. Odpadają tradycyjne makarony, pizza, o „macu" nie wspominając. Pamiętam, jak kiedyś czytałam książkę „Dieta bez pszenicy" (Wyd. Bukowy Las) i prorocze słowa Williama Davisa, amerykańskiego kardiologa, o tym, że powinniśmy uważać na to zboże: „To nie jest chwilowa moda, która rozbłyśnie, a potem się wypali, tak jak chybione poglądy na temat diety niskotłuszczowej. Tu chodzi o narażenie ludzi na genetyczne i biochemiczne zmiany, które wprowadzono w tym pospolitym produkcie spożywczym w imię większych plonów z hektara, ale bez zastanawiania się nad jego przydatnością do spożycia przez ludzi". Miłego dnia, ja wracam do poszukiwania jadalnego jedzenia. Z przekreślonym kłosem.

Fot. Shutterstock



WILCZYM OKIEM

Czy będzie mroźna zima?

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Kto któregoś z ostatnich wieczorów wybrał się do lasu, miał być może okazję natrafić na nietypowy widok. Pomimo chłodu pomiędzy wilgotnymi pniami coraz bardziej bezlistnych drzew zobaczyć można latające niewielkie, jasne motyle. Całkiem licznie, co przysparza spektaklowi nierzeczywistego, baśniowego charakteru. Motyl i późnojesienny zimny, nocny las – delikatny owad i te okoliczności przyrody nie pasują do siebie. A jednak intrygujące zjawisko rzeczywiście ma miejsce.

Tym nocnym motylem, czyli ćmą, jest piędzik przedzimek *Operophtera brumata*, a dokładnie mówiąc, samce tego gatunku. Samice, mające uwstecznione skrzydła, czekają na nie w koronach drzew. Piędzik przedzimek jest rzadkością wśród motyli: okres godowy rozpoczyna wraz z nadejściem chłodów, a nawet przymrozków, latając nieraz do połowy grudnia. Do tego wybiera noc, zimniejszą i wydawałoby się mniej atrakcyjną porę doby.

Nietypowe, surowe warunki na odbywanie godów mają swoje zalety: nietoperze zapadają w hibernację, większość ptaków owadożernych odleciała na zimowiska, a te, które zostały, nie polują w ciemności.

Pojawianie się latających piędzików przedzimków odczytywano nieraz jako zapowiedź nadchodzącej zimy. I tu trzeba zwrócić uwagę na naszą skłonność do nadinterpretowania obserwacji przyrodniczych i odczytywania ich znaczenia tam, gdzie go nie ma – a zarazem często niezauważania tam, gdzie to znaczenie jest. Czy piędzik przewiduje przyszłość? Nie. Takiej umiejętności przyroda nie posiada. Motyl odbywa rójkę, reagując na niską temperaturę i skracający się dzień. Ocieplenie sprawia, że jego aktywność spada. Podobnie nie przewidują przyszłości rośliny, których pąki rozwijają się pod wpływem nagłego ciepła wiosną – i bywają uszkadzane przez przymrozki.

Czy zawsze jest to takie proste? Żadnej tajemnicy? Dociekanie mechanizmów natury jest przygodą pełną tajemnic. To, że zwierzę czy roślina nie przewiduje przyszłości, nie znaczy, że nie posiada zdolności i zmysłów, które wymykają się naszemu poznaniu i zadziwiają. W jaki sposób zięba wyczuwa nadchodzący deszcz? Wielokrotnie się bowiem przekonałem, że ten ptak wydaje melancholijny, przeciągły terkot – bardzo trafnie chwilę przed opadem.

Jaka więc będzie zima? Nie wiadomo.

eprasa.pl d4ace5c9e2



W ŚWIECIE LUSTER



HANNA KARP

Nieprzygotowani na napaść

Listopad to niebezpieczna dla Polaków pora, a grudzień jeszcze bardziej. Dla mojego pokolenia to przede wszystkim data wprowadzenia stanu wojennego. Kilka miesięcy wcześniej, 13 maja 1981 r., przeżywaliśmy maturę z języka polskiego. Tego samego dnia, na placu św. Piotra rozegrał się dramat zamachu na Jana Pawła II. Dwa tygodnie później, 28 maja, umiera kardynał Stefan Wyszyński. W kraju dogasa solidarnościowy karnawał. Czas szaleńczego świętowania wolności zostaje nagle przerwany. Mało kto nawet dziś wie, jak długo owo bolesne szarpnięcie było przygotowywane wcześniej. W październiku i listopadzie 1981 r. już coś wisiało w powietrzu. Wszyscy się zastanawiali, co będzie dalej. Mało kto się spodziewał, że za chwilę nastąpi koniec wielkich nadziei wiązanych z wolnością i solidarnością. Nawet redakcje i dziennikarze, zachłyśnięci nowymi wizjami, wydawali się zaskoczeni dramatycznym obrotem spraw.

Mobilizacja propagandy wojskowej mogła być wdrażana jednym rozkazem. Ale już pacyfikacja mediów i dziennikarzy, nawet oddanych systemowi, wymagała wcześniejszych przygotowań. O tamtych przygotowaniach mało i niechętnie wciąż się pisze i mówi. Tymczasem na tę okoliczność znacznie wcześniej – kilka miesięcy przed 13 grudnia – ściągnięto ze Związku Radzieckiego telewizyjnych specjalistów, ok. 200 wojskowych techników. O pomoc w tym zakresie zwracano się także do bratnich specjalistów z NRD i Czechosłowacji. Liczyło się też zaskoczenie. Co ciekawe, przedmiotem zaplanowanych na wiosnę 1981 r. ćwiczeń „Operacja Wiosna" było internowanie ok. 6 tys. działaczy Solidarności 6–12 godzin przed wprowadzeniem stanu wojennego.

ZAMACH NA SOCJALIZM

Stan wojenny nie mógł być jednak zaskoczeniem dla dziennikarzy zweryfikowanych w resorcie spraw wewnętrznych i odnotowanych w wykazach jako „dobrzy". 8 grudnia 1981 r. „Żołnierz Wolności" piórem Norberta Michty w artykule „Zamach na socjalizm" sygnalizował to, co miało nadejść 13 grudnia: „Obecnie zawisła nad Polską groźba wojny domowej, do której chcą doprowadzić szaleńcy stawiający swoje chorobliwe ambicje i interesy nad los społeczeństwa. Miejmy jednak nadzieję, że nie dopuści do tego klasa robotnicza i zagrodzi drogę kontrrewolucjonistom, że przebudzi się chłopstwo i młode pokolenie, poskramiając i izolując od społeczeństwa i złoczyńców, że nie udzieli im poparcia patriotycznie i realnie myśląca inteligencja. Polska jest i będzie państwem socjalistycznym w rodzinie bratnich krajów i w ramach Układu Warszawskiego. W obronie zagrożonych interesów narodowych stanie nasza partia, organy władzy ludowej, siły zbrojne, które będą bronić socjalizmu »tak jak broni się niepodległości«. Jest »za pięć dwunasta« i czas najwyższy, aby każdy obywatel PRL zdał sobie sprawę, do jakiej tragedii chcą doprowadzić nasz kraj przywódcy »Solidarności«" – alarmował gadzinowy politruk.

4 października 1981 r. podczas narady w MSW przyjęto zadanie wykonania wykazów dziennikarzy, na „których kierownictwo Partii i Rządu mogą w pełni liczyć". Podczas zebrania zaznaczono, żeby podkreślić nazwiska tych, którzy są gotowi pójść na wszystko i podjąć każdy zlecony im temat. Zadania brzmiały jasno: „wyłonić dziennikarzy, którzy gotowi będą podjąć działania przeciwko obecnym władzom SDP. W tym zakresie mieć na uwadze »wysyłanie« niektórych wściekłych z SDP z różnymi misjami i delegacjami do strefy dolarowej, aby przez ich nieobecność w kraju zyskać

eprasa.pl d4ace5c9e2

większą swobodę manewru i podjąć próbę dokonywania wyłomu". Według podobnego schematu sporządzano też wykaz zaufanych i oddanych reżimowi stanu wojennego literatów i twórców. W Polskim Radiu grupą najbardziej zaufanych byli dziennikarze pod kierownictwem redaktora Aleksandra Lubańskiego z Naczelnej Redakcji Informacji.

ZAUFANI REŻIMU

Wojskowa mobilizacja propagandowa miała wedle raportów konsolidować stany osobowe „jednostek i instytucji wojskowych wokół zadań określonych przez WRON, konstytucyjne organy państwa, oraz demaskowanie i neutralizacja rzeczywistych celów działalności sił kontrrewolucji i anarchii, zwłaszcza ekstremy »Solidarność« i innych grup antysocjalistycznych". Zarząd Propagandy i Agitacji GZP WP opracował materiały instrukcyjno-metodyczne, wydrukowano 40 plakatów o łącznym nakładzie 500 tys. egz., 300 ulotnych materiałów propagandowych o łącznym nakładzie 660 tys. egz. Materiały propagandowe opracowywano również w zarządach Politycznych Okręgów Wojskowych (Rodzajów Sił Zbrojnych), w mniejszym stopniu w wydziałach i sekcjach politycznych związków taktycznych i oddziałów. Historycy odnotowują, że z tamtego okresu plakaty dzielono na demaskatorskie, skierowane przeciw rodzimej opozycji antysocjalistycznej, oraz mobilizująco-agitacyjne.

W zarządzie Propagandy i Agitacji powołano nieetatowy zespół do spraw „propagandy ulotnej". Opracowywał on merytorycznie i graficznie materiały propagandowe. Wydano 374 wzory ulotek w łącznym nakładzie ponad 4 mln egz. Cały czas monitorowano sytuację w kraju, prowadząc bieżące prognozy polityczno-społeczne. Rok później w grudniu 1982 r. szef GZP WP (Główny Zarząd Polityczny Wojska Polskiego) powołał Nieetatowy Zespół Prognoz Politycznych składający się z pracowników zarządów GZP (Główny Zarząd Polityczny), WAP (Wojskowej Akademii Politycznej im. F. Dzierżyńskiego), Instytutu Badań Społecznych WAP. Podczas stanu wojennego zespół ten przygotował ok. 120 informacji, ekspertyz, prognoz, powielonych w 240 tys. egz. W ramach GZP powstał również specjalny zespół operacyjny, którego zadaniem były: przeszkolenie oficerów, opracowanie materiałów drukowanych (apele, ulotki, komunikaty) dźwiękowych i filmowych, przygotowywanie analiz, opracowywanie informacji dla wojsk.

> Stan wojenny nie mógł być zaskoczeniem dla dziennikarzy zweryfikowanych w resorcie spraw wewnętrznych i odnotowanych w wykazach jako „dobrzy". 8 grudnia 1981 „Żołnierz Wolności" piórem Norberta Michty w artykule „Zamach na socjalizm" sygnalizował to, co miało nadejść 13 grudnia

OJCZYZNA NAD PRZEPAŚCIĄ

Stan wojenny ogłoszono za pośrednictwem środków masowej komunikacji. Okno telewizora i głos radiowego spikera od tego czasu staje się stałym polem propagandowego oddziaływania reżimu. 13 grudnia 1981 r. o 6.00 rano w odbiornikach radiowych dźwięki hymnu narodowego poprzedziły słowa spikera: „Tu Polskie Radio Warszawa. Mamy dziś niedzielę, 13 grudnia. Rozpoczyna się szczególny dzień w historii naszego państwa i naszego narodu. Za chwilę przed mikrofonami Polskiego Radia przemówi generał armii Wojciech Jaruzelski". Po chwili padły pamiętne słowa: „Obywatelki i obywatele Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej! Zwracam się dziś do was jako żołnierz i jako szef rządu polskiego. Zwracam się do was w sprawach wagi najwyższej. Ojczyzna nasza znalazła się nad przepaścią...". Do godz. 10 przez radio płynęły tylko słowa generała, po 10 uzupełniała je proklamacja WRON (Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego), po 12 lektorzy czytali zaś obwieszczenia Rady Państwa, kolejne dekrety i rozporządzenia o stanie wojennym. Podobnie w telewizji. Dwaj spikerzy w wojskowych mundurach, bez dystynkcji, ale z odznaką wzorowego żołnierza, monotonnie odczytywali dekrety czy konkretne rozkazy o militaryzacji wybranych jednostek administracji państwowej, poszczególnych działów gospodarki i infrastruktury.

Mimo licznych sygnałów i nastroju zapowiadającego rozstrzygnięcie siłowe dokładną datę wprowadzenia stanu wojennego – termin godziny G – znało jedynie najściślej wtajemniczone grono Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego. 13 grudnia 1981 r. konsternacja panowała też w redakcjach. „Jeszcze wczoraj w redakcji panował spokój" – pisała Małgorzata Niezabitowska, redaktor „Tygodnika Solidarność", opisując dzień 12 grudnia 1981 r. „Szef, który przebywał w Gdańsku na posiedzeniu »krajówki«, Komisji Krajowej Związku, gdzie zgromadziła się góra Solidarności, jej kierownictwo oraz doradcy, niczego nie sygnalizował. My, oskarżani dzisiaj przez generała Jaruzelskiego w powtarzanej co godzina mowie o terror, samosądy, rozprawę z »czerwonymi«, nie tylko nie szykowaliśmy mordów, nie posiadaliśmy arsenałów broni, lecz jak się okazało, byliśmy zupełnie nieprzygotowani na napaść na nas" – pisała Niezabitowska. Dodając także, że nie istniała: „żadna strategia obrony, awaryjny plan ani system łączności. W »Tygodniku« nie wymieniliśmy się nawet adresami. Znałam jedynie telefony domowe kilku kolegów, teraz bezużyteczne. I nie miałam pojęcia, co z kim się działo, co należy robić".

Jaki będzie 13 grudnia br.?

Polskie służby wciąż bezpieczne na straży granic...

Autorka jest religiologiem, medioznawcą, profesorem Akademii Kultury Społecznej i Medialnej w Toruniu

eprasa.pl d4ace5c9e2

Przywracają polskość na Kresach



Alina Czerniakowska

Dla Donalda Tuska polskość to nienormalność. Jego zwolennicy z tzw. totalnej opozycji od dawna szkalują Polskę wobec obcych, proszą wręcz Niemcy o ingerencję w nasze narodowe interesy i domagają się karania Polski za walkę o zachowanie naszej narodowej tożsamości. Przygotowywałam ostatnio sylwetki filmowe ludzi, dla których polskość to świętość i sens całego życia. Instytut Pamięci Narodowej już po raz trzeci przyznał nagrody symboliczne pod nazwą Semper Fidelis dla tych, którzy czują, kochają kresową ziemię i starają się tam ocalić nasze wielowiekowe dziedzictwo narodowe. Przywracają do życia zamknięte i zniszczone kościoły, dwory, pałace, biblioteki, uczelnie na naszych pradawnych ziemiach, które wyrokiem układów teherańskich i jałtańskich zostały odebrane Polsce po II wojnie światowej. Wśród nagrodzonych przeważają księża, tak dzisiaj napiętnowani przez liberalno-lewicowe środowiska. Zabytki sakralne imponują i są chlubą naszej kultury narodowej, ale przecież też ogólnoświatowej.

Pracując nad filmami, z ogromną przyjemnością i radością czytałam o działaniu wspaniałych księży i świeckich obrońcach polskości na Kresach. Na Podolu w Latyczowie, o którym Henryk Sienkiewicz pisał w „Ogniem i mieczem", od 20 lat kustoszem i proboszczem sanktuarium maryjnego jest ks. Adam Przywuski. Zbudowany w latach 1613–1638 zabytkowy kościół został w czasach komunistycznych całkowicie zdewastowany, a klasztor służył za kołchozowy magazyn. Dzięki wielkiej pracy i umiejętności zjednywania sobie miejscowych ludzi udało się ks. Przywuskiemu przywrócić temu historycznemu miejscu dawną świetność. Kustosz sanktuarium Matki Bożej Latyczowskiej, Królowej Podola i Wołynia, ks. Adam jest tutaj człowiekiem instytucją – współpracuje z organizacjami Polaków na Ukrainie, prezentuje wystawy IPN, bierze udział w projektach edukacyjnych, przyjmuje pielgrzymki z Polski, gości coroczny motocyklowy Rajd Katyński. Można by tak długo wyliczać. Widząc pasję ks. Adama, przyjeżdżają tu całe grupy młodzieży szkolnej i pracują przy odkrywaniu i porządkowaniu starych mogił na cmentarzu w myśl hasła propagowanego przez księdza – „mogiłę pradziada ocal od zapomnienia, bo gdy nas zabraknie, kamienie będą mówić".

Z kolei inny pasjonat polskości, ks. Jan Buras, działa aktywnie na ziemi lwowskiej i na Wołyniu. Mimo trudności, głównie ze strony administracji ukraińskiej, udało mu się uporządkować społecznymi siłami kilka cmentarzy i postawić znaki pamięci w postaci krzyży w nielicznych miejscach spośród tysięcy, gdzie byli mordowani Polacy przez OUN-UPA. Ludzie zachowali tu wiarę m.in. dzięki kapłanom, którzy po wojnie pozostali na tych terenach i pomagali poprzez swoją duszpasterską pracę zachować polską tożsamość. „Na Ukrainie miałem być tylko przez rok – mówił ks. Buras – a jestem tutaj ponad 25 lat i z pomocą Bożą udaje się wiele dobrego zrobić. Wszystko jest w Bożych planach i jeśli umiemy się w nich odnaleźć, to Bóg prowadzi. Praca tutaj na Wschodzie bardzo mnie duchowo ubogaciła, przynosiła i wciąż przynosi dużo radości".

Nagrodę Semper Fidelis otrzymał również ks. Roman Twaróg, który już w 1989 r. wyjechał na Ukrainę. Udało mu się odzyskać i odbudować kościoły w Żwańcu i Zińkowcach oraz zbudować trzy nowe, m.in. w Słobódce Humienieckiej, a także zorganizować przy nich regularne parafie. Najwięcej czasu poświęcił kamienieckiej katedrze, w której w latach 1945–1989 działało sowieckie Muzeum Ateizmu. Obecnie ks. Roman prowadzi prace remontowo-budowlane przy dawnym klasztorze Panien Dominikanek na Starym Mieście w Kamieńcu Podolskim. Polacy odwiedzający swoje dawne ziemie, spotykając się z ks. Romanem, są pod wielkim wrażeniem jego wiedzy, pasji i umiłowania polskości. W Kamieńcu Podolskim dzięki opowieściom ks. Romana można się zachwycić pięknem starego miasta, szczelnie otoczonym głębokim jarem rzeki Smotycz, zamkiem wsławionym postacią pułkownika Michała Jerzego Wołodyjowskiego i dowiedzieć się, dlaczego Kamieniec Podolski w dawnych czasach był miastem praktycznie niemożliwym do zdobycia. Miasto odgrywało rolę twierdzy. Do dnia dzisiejszego zachowały się liczne szańce, baszty i bramy, które nadają Kamieńcowi wręcz bajkowy wygląd. Kiedy idziemy od Polskiego Rynku w kierunku fortecy i wreszcie zza zakrętu wyłania się zamek, musimy się zatrzymać z podziwu. Ale przecież nie tylko zamek robi tak duże wrażenie. Rynek Polski i ratusz barokowo-renesansowy, baszta Batorego, Brama Polska i Wielki Szaniec, baszty: Kuśnierska, Ślusarska, Janczarska i trzy wieże i jeszcze wiele miejsc, które zachwycają. Po prostu trzeba to zobaczyć.

Ks. Roman Twaróg mówi, że tam, gdzie pracuje, przetrwała wiara, przetrwały pamiątki kultury i naszej obecności. „Te ślady są głębokie. Są one potrzebne także dlatego, by ci, którzy tu przyjeżdżają, poczuli się dziedzicami tego patrymonium. Ktoś kiedyś powiedział, że gdyby tak z Kamieńca usunąć to, co wybudowali Polacy albo co powstało za polskich czasów, to Kamieniec byłby podobny do Nowej Uszycy, czyli niczego by w nim nie było". Każdy, kto wybierze się na tamte dawne polskie ziemie i spotka się z ks. Romanem, będzie nosił w sercu dumę z naszego wielowiekowego dziedzictwa i jednocześnie żal i poczucie niesprawiedliwości ze strony państw decydujących o powojennym podziale świata. Ksiądz Roman powtarza: „Trudno w pełni zrozumieć historię Rzeczypospolitej bez bezpośredniego doświadczenia dziedzictwa narodowego pozostawionego na Kresach Wschodnich. Do dziś polskość objawia się tam w kamieniach, opowieściach i krwi patriotów, która wsiąknęła w kresową ziemię. Ważne jest więc, aby młodzi Polacy mogli się o tym naocznie przekonać na ziemi, która choć współcześnie nie znajduje się w granicach Polski, świadczy o bogactwie naszej kultury i heroizmie bohaterów".

Autorka jest reżyserem filmowym, scenarzystką i dziennikarką

eprasa.pl d4ace5c9e2

Weterani



Tomasz Łysiak

Jak bardzo są potrzebni – był o tym przekonany marszałek Józef Piłsudski. Po odzyskaniu niepodległości nadał powstańcom styczniowym status weteranów, przyznał wsparcie finansowe, mundury i postawił ich na piedestale. Starcy z siwymi brodami uczestniczyli w uroczystościach państwowych i jeździli od szkoły do szkoły, by spotykać się z młodzieżą.

Dwie w tym były zacne myśli. Pierwsza to taka, by zadośćuczynić sprawiedliwości oraz uznać faktycznych żołnierzy bijących się o wolność w ramach nieformalnych przecież oddziałów powstańczych za pełnoprawnych przedstawicieli Wojska Polskiego. Innymi słowy, by to, czemu usiłowali zaprzeczyć zaborcy, uznać za w pełni polskie, obywatelskie, państwowe.

Druga zaś taka, iż weterani byli bardzo potrzebni – kształtowali młode pokolenie, przekazywali ducha, byli wychowawcami, pomnikami z krwi i kości, łącznikami z czasem minionym i z minionymi bohaterskimi pokoleniami.

Cieszę się, że o polskich weteranów współcześnie dba ktoś taki jak minister Jan Kasprzyk – działalność kierowanego przezeń Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych to dowód na to, że państwo polskie „zachowuje się, jak trzeba", jest tu, gdzie trzeba, działa, jak trzeba.

I to nie tylko w Polsce, lecz i za granicami, w miejscach walk, na polach bitew, cmentarzach czy miejscach pamięci.

Okazuje się jednak, że weterani mogą przyjść z pomocą i w innym wymiarze. Oto, gdy prezydent Trzaskowski i spółka sędziowska postanowili Marsz Niepodległości zablokować, minister Kasprzyk przyniósł rozwiązanie – marsz się odbył pod egidą jego urzędu, a zatem państwowo, oficjalnie.

Pal sześć, że tego zapewne po cichu chciała opozycja, licząc na to, że ewentualne burdy czy prowokacje lewaków, jak zawsze skrzykujących się w całej Europie, by zakłócić to wydarzenie, w takim przypadku obciążyłyby PiS, a nie organizatorów. Tekst piszę jeszcze przed marszem, mając nadzieję, że nie uda im się żadna prowokacja.

Najważniejsza jest dla mnie symbolika tego gestu. Gdy przychodzi trudny moment, okazuje się, że weterani, w których imieniu przecież działa Urząd, znów pomagają w chwilach, gdy to, co polskie, jest zagrożone.

A że ostatnio to, co polskie, zagrożone bywa z wielu kierunków, tym więcej nam potrzeba siły duchowej i moralnej, którą nam dawały i dają przeszłe pokolenia. Pokolenia bohaterów. Cześć im i chwała!

Zdechł pies



Lech Makowiecki

Dziś o sporze na Facebooku między nami, psiarzami. Ale po kolei: komuś zdechł ukochany pies, więc wszyscy (łącznie ze mną) mu współczuli. Przez nasz dom przewinęło się mnóstwo kundli i – przez przypadek – jeden pies rasowy. Każdy z tych psiaków otoczony był miłością, każdy miał zapewnioną opiekę i leczenie weterynaryjne. Wszystkie dożywały później starości, a ich odejścia wiązały się (zawsze!) z ogromną traumą dla całej rodziny. Zwłaszcza dla mnie, bo to ja musiałem towarzyszyć im do samego końca. Przy usypianiu ostatniego z nich – sparaliżowanego setera irlandzkiego – ryczałem jak bóbr, więc zaprzyjaźniony z nami od lat „rodzinny" weterynarz wyrzucił mnie za drzwi. Byłem w takim rozedrganiu, że zapewne obawiał się dwu zgonów jednocześnie. Dlaczego więc ja – wielki przyjaciel psów – naraziłem się na forum prawie wszystkim psim admiratorom?

Bo nie zgadzałem się – mimo wielkiej miłości do tych czworonogów – na nadmierną personifikację zwierząt. Pies zdycha, nie umiera. I nie ma w tym nic obraźliwego. Zwierzęta zawsze miały pyski, mordy, dzioby – nigdy twarze. Łby, a nie głowy. Źrebiły się, kociły, szczeniły, prosiły. Miały młode, nie dzieci. Nadawanie faunie cech ludzkich zrównuje człowieka ze zwierzęciem (Lempart do policjanta: „Zamknij mordę, ty psie!"). Szkoda, że ta nadmierna troska o dobrostan zwierząt nie idzie w parze z szacunkiem dla ludzkiego życia (vide: powszechna znieczulica na aborcję).

PS Trzykrotnie odwiedziłem cmentarz Monte Cassino. Spoczywa tam 1072 poległych w walce za ojczyznę polskich żołnierzy. W chwili śmierci młodych, kipiących życiem mężczyzn. Wzruszony – poświęciłem im balladę „Klasztor" (jest na YouTubie). A tymczasem dzisiejszą młodzież znacznie bardziej porusza „smutna" dola misia Wojtka (maskotki 2 Korpusu gen. Andersa) niż tragiczna śmierć ludzi. Przypominam: niedźwiedź Wojtek przeżył wojnę, a resztę życia spędził w angielskim ZOO. Brak uczuć, infantylizm czy głupota?

eprasa.pl d4ace5c9e2

PRZEZ ŚWIETLIK

Już tylko wrzask



Wiktor Świetlik

W słynnym już wpisie znanej z reklam aktorki na temat swojej nienawiści do polskich mundurów (aż ją klatka piersiowa boli) uderzyła mnie oprócz bluzgów i głupoty inna sprawa. Ogromna liczba wykrzykników. To dość symptomatyczne. Żyjemy w czasach, w których przestaje się rozmawiać, a zaczyna wrzeszczeć.

Jakiś czas temu zwrócił mi na to uwagę dziennikarz i mój przyjaciel Piotr Gursztyn przy okazji naszej rozmowy w TVP Historia o „Stawce większej niż życie". „Otóż – zauważył Piotr. – Kloss faktycznie jest dziełem propagandowym, komunistycznym, ale zobacz, że to film jeszcze z czasów, kiedy ludzie z sobą rozmawiali. Bohaterowie mówią do siebie i słuchają". Faktycznie, bohaterowie dzisiejszych filmów wywrzaskują swoje kwestie. Znika interakcja oparta na mówieniu i słuchaniu. Nigdzie tak tego nie widać jak w polityce.

Być może białoruskiego pochodzenia działaczka lewicowa, która swoje kwestie polityczne wyrażała wrzaskiem, jest po prostu produktem nowych czasów, nową generacją. Tak samo jak krakowscy aktorzy, którzy potem ją naśladowali. Zresztą wszyscy ci celebryci, którzy już od dawna nie rozmawiają, ale właśnie wrzeszczą. Na krzyku, zakrzykiwaniu oparte są opozycyjne demonstracje i w gruncie rzeczy każdy przekaz. Próba rozmowy, rozumienia racji drugiej strony, wymiany argumentów traktowana jest jako zdrada. Z tego powodu zresztą obrywa się niektórym lewicowcom od naszych „liberałów". Domniemana rozmowa z „przeciwnikami" ściągnęła gromy na głowy kilku polityków po słynnych urodzinach.

W powieści Elżbiety Cherezińskiej „Harda", poświęconej siostrze Bolesława Chrobrego i prawdopodobnej królowej Skandynawii i Anglii, pojawiają się pupile głównej bohaterki, które przypominają jej o kraju pochodzenia. Dwa rysie. Jeden wabi się Zgrzyt, a drugi Wrzask. No więc dla sporej części naszego społeczeństwa, a szczególnie jego samozwańczych przewodników, ryś Wrzask albo sam wrzask mógłby śmiało zastąpić obecne godło. Orły nigdy z nich nie były, za to wrzeszczeć potrafią, jak trzeba.

Balon z ambasady



Piotr Cywiński

Ambasador Arndt Freytag von Loringhoven zabrał głos. Wywiadu udzielił rodzimej Niemieckiej Fali (Deutsche Welle) i Wirtualnej Polsce. Poczuł widać potrzebę lub został zobligowany przez niemiecki AA (Auswärtiges Amt, czyli Ministerstwo Spraw Zagranicznych), żeby wyjaśnić, o co chodzi w konflikcie naszego kraju z Unią Europejską. O to mianowicie, że Polska nie ma racji. Ambasador popiera Komisję Europejską i Trybunał Sprawiedliwości UE i martwi go, że tracimy zaufanie, bo już „niemieccy przedsiębiorcy zatroskani pytają, jaka jest przyszłość praworządności" u nas, że „chcieliby inwestować", ale zaczynają mieć obawy. Na dygresję, że i Federalny Trybunał Konstytucyjny sprzeciwił się TSUE, ambasador żachnął się, że to „porównywanie gruszek z jabłkami", bo niemiecki trybunał orzekał w „konkretnych kwestiach" i „nigdy nie kwestionował nadrzędności prawa UE nad krajowym". Nie można też porównywać naszych systemów prawnych – co z tego, że szefem niemieckiego trybunału został polityk współrządzącej partii CDU i poseł Bundestagu, że sędziów wybierają i mianują ministrowie sprawiedliwości, to wcale nie świadczy, że niemiecki system jest upolityczniony...

Są dwie możliwości: albo ambasador nie ma pojęcia, o czym mówi, albo ma, lecz robi z tata wariata. Unia funkcjonuje w oparciu o traktat z Lizbony, który wszedł w życie dopiero w grudniu 2009 r., choć de facto podpisano go dwa lata wcześniej. Skąd to opóźnienie? Stąd m.in., że ratyfikację w Niemczech musiało poprzedzić rozstrzygnięcie trybunału w Karlsruhe, który orzekł 30 czerwca 2009 r., że Unia jest związkiem suwerennych państw, a nie federacją; gdyby nią miała być, musiałby o tym zdecydować niemiecki naród w referendum, i to po uprzednim napisaniu nowej niemieckiej konstytucji, która zezwalałaby na przystąpienie republiki do takowej federacji. Co więcej, trybunał podkreślił, że europarlament nie jest parlamentem Niemiec i wszelkie decyzje poszerzające lub zmieniające kompetencje UE muszą być zatwierdzone przez obie izby niemieckiego parlamentu. Jakby tego było mało, trybunał w Karlsruhe zaakcentował swą niezależność od TSUE w Luksemburgu, a wstrzymując ratyfikację traktatu z Lizbony, wymusił dodatkowo ustawowe wzmocnienie praw Bundestagu i Bundesratu.

Na koniec wyjaśnienie dla ambasadora von Loringhovena, bo może tego też nie wie: „robić z tata wariata" znaczy: robić kogoś w jajo, w konia, w balona, w trąbę, strugać durnia, robić z kogoś idiotę, jelenia, rżnąć głupka... Po niemiecku najłagodniej: auf die Schippe nehmen...

eprasa.pl d4ace5c9e2

***Michał Korsun prezentuje:* Janusz Korwin-Mikke – jasnowidz „Dnia 8 Listopada”**

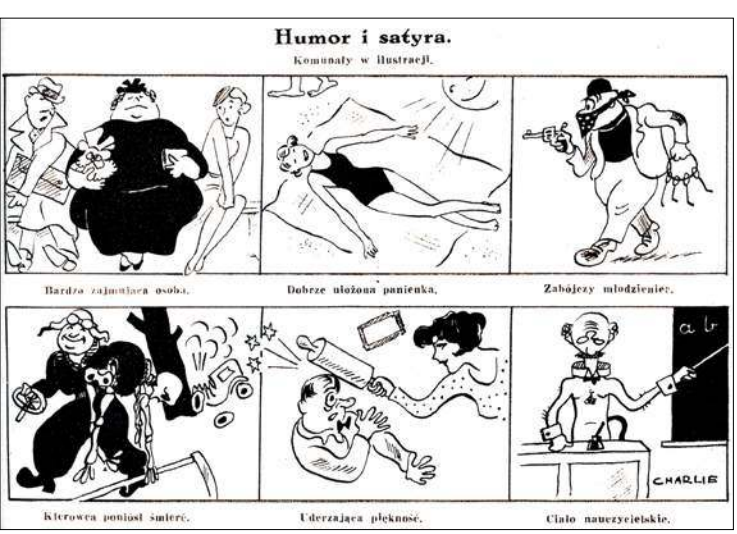


Fot. Shutterstock x3

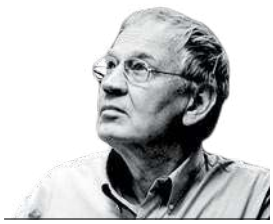
Wycinki z przeszłości

Kalendarz „Ilustrowanego Kuryera Codziennego na rok 1934” to właściwie gruba księga pełna porad, artykułów naukowych, historycznych i poradnikowych. Ale co kilka stron obowiązkowa porcja humoru. Żarty, które obok reprodukujemy, dobrze wyłapują podwójne znaczenie – jak to nazwano – „komunałów”, automatycznie, bezrefleksyjnie powtarzanych określeń.

(mk)



Słuchając i czytając po polsku...



Leszek Długosz

Stanisław Baliński
„Ojczyzna Szopena”

Cóż to była za dziwna, romantyczna Pani,
Wszyscy się w niej kochali, umierali dla niej.
Wszyscy cierpieli za nią najdotkliwsze krzywdy,
Nawet ci, co jej oczu nie widzieli nigdy.

Z jej imieniem na ustach w Hiszpanii konali,
Marząc na złotych skałach o Mazowsza polach;
Dla niej w czarnych płaszczach podróżnych zjeżdżali
Do fosforycznych portów Konstantynopola.

Za nią tęsknili długo po nocach i rankach
Na Dalekim Zachodzie w Ameryki preriach,
I pieśni o niej snuli i o jej kochankach
Zatraconych, zawianych śniegiem na Syberiach.

I dalej znoszą dla niej, pod niebem nieszczęścia.
śmiertelny chłód wygnania na mongolskich mrozach.
I w nowe idą piekło, zaciskając pięści,
Na dno upodleń ludzkich w niemieckich obozach.

I dalej o nią walczą na Norwegii śniegach,
I na piaskach Egiptu w rozpalonym wietrze,
Umierają samotnie w galijskich szeregach,
I w Anglii, wiecznie wolnej, wznoszą się w powietrze.

Wszystko dla niej poświęcą i zniosą w milczeniu
Na przekór wielkim próbom, które los przynosi,
A ona, ranna w serce, bezbronna w cierpieniu,
Niczego od nich nie chce i o nic nie prosi.

Tylko czasami nocą, gdy rozpacz opada,
I gdy Szopen, jak widmo, gra im na pianinie,
Zjawia się, cała w czerni, staje przy nim blada,
I śpiewa do nich cicho – że jest, że nie zginie.

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	**75** zł	**139** zł	**245** zł
wSIECI HISTORII	–	**29** zł (3 wydania)	**54** zł (6 wydań)
pakiet **SIECI** i **wSIECI HISTORII**	–	**158** zł (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	**280** zł (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

**dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

eprasa.pl d4ace5c9e2

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

Odporność – filar bezpieczeństwa

Świat stał się tak dynamiczny i wielowymiarowy, iż systemy społeczne, np. państwa, nie są w stanie przygotować się na wszystkie możliwe zagrożenia. Po prostu się nie da. Mimo ogromnego rozwoju technologicznego nieszczęścia i katastrofy zdarzają się nadal. Inaczej nie będzie.

Jak zatem społeczeństwa mają zadbać o swoje bezpieczeństwo? A rodzina? A pojedynczy ludzie, jak mają racjonalnie, czyli skutecznie, troszczyć się o swoje bezpieczeństwo, skoro przyszłość staje się coraz bardziej nieprzewidywalna?

Uświadomiwszy sobie taką właśnie sytuację, zaczęto rozwijać tzw. teorię odporności (czasami mówi się o „sprężystości" – po ang. *resilience*) wszelkiego rodzaju organizmów.

NASZE DZIŚ

Rzecz jasna piszemy ten listopadowy felieton w konkretnej chwili. W oczach mamy sytuację na granicy polsko-białoruskiej. Staramy się jednak wykroczyć poza refleksje czysto bieżące, mniej lub bardziej trafne, mniej lub bardziej reaktywne w obliczu zagrożeń powstałych w ostatnich miesiącach na wschodniej granicy Rzeczypospolitej. Troska o bezpieczeństwo wymaga także patrzenia w perspektywie długofalowej.

NA PEWNO

Katastrofy wszelakie – przyrodnicze (np. epidemie, huragany), techniczne (np. pożar wieżowca), wypadki (np. lotnicze), poważne błędy ludzkie (np. legislacyjne), konflikty (nawet sięgające otwartej walki zbrojnej) – zawsze będą nam towarzyszyć. Stale, choć rzecz jasna w różnym natężeniu. Jak już wspomnieliśmy, nie wszystkie da się przewidzieć. Nie na wszystkie można się przygotować. Przecież nikt – ani żaden człowiek, ani żaden organizm społeczny – nie może poświęcać wszystkich swoich zasobów na monitorowanie zagrożeń i ciągłe przygotowywanie się do nich. Trzeba także po prostu żyć.



Musimy pracować nad odpornością. Na wszystkich poziomach: jako państwo, jako zbiorowości je tworzące (np. samorządy terytorialne) oraz jako poszczególne rodziny i jednostki

Z tego powodu w koncepcjach bezpieczeństwa coraz częściej zakłada się, iż o przyszłości należy myśleć pod kątem budowania odporności na nieuniknione uderzenia.

JAK W BOKSIE

Nie zdobędzie tytułu mistrzowskiego nawet najszybszy, umiejący zadawać piorunujące ciosy bokser, jeśli niska jest jego własna zdolność do przyjmowania ciosów, a czasem, po przejściowej utracie równowagi, umiejętność szybkiego wstania z desek ringu.

Skoro świat i tak będzie ciosy nam zadawał, skoro nie przed wszystkimi z nich zdołamy się na czas uchylić, musimy pracować nad odpornością. Na wszystkich poziomach: jako państwo, jako zbiorowości je tworzące (np. samorządy terytorialne) oraz jako poszczególne rodziny i jednostki ludzkie.

NADMIERNA ZŁOŻONOŚĆ

Od czego taka odporność zależy? Od czego zależy owa sprężystość – czyli zdolność do odzyskania poprzedniego kształtu (formy) po silnym zderzeniu z niesprzyjającymi okolicznościami?

W ogromnej mierze od posiadania odpowiedniego poziomu złożoności. Systemy zbyt proste, o złożoności zbyt małej, nie posiadają wystarczająco zróżnicowanych (zdywersyfikowanych) zasobów, by się przegrupowywać w reakcji na ciosy. Zbyt mała złożoność może dotyczyć zakresu różnorodności form myślenia oraz instytucjonalnego zorganizowania. Na przykład gdy zbyt mały jest pluralizm kanałów komunikacji, wtedy prawdziwe, ale niewygodne wiadomości mogą być skutecznie wypierane, zakłamywane. W efekcie centrum decyzyjne danego systemu nie potrafi na czas poprawnie zdiagnozować zagrożenia i właściwie reagować.

Ale może być też odwrotnie. Odporność bywa za mała także wtedy, gdy system uzyskał już złożoność nadmiarową. Gdy np. kanałów komunikacji jest tak wiele, iż zamiast wiedzy przynoszą one zgiełk, szum informacyjny, gdy zamiast *information* mamy *infotainment* – mieszankę informacji i rozrywki (*entertainent*). Wtedy nie potrafimy odróżnić prawdy od fałszu, rzeczy ważnych od nieważnych, pilnych od tych, które mogą na naszą reakcję poczekać.

Nadmierna złożoność systemu obniża jego odporność. Gdy dana zbiorowość ludzka jest tak bardzo wieloświatopoglądowa, iż nie potrafi już zogniskować się wokół wartości wspólnych, wtedy gubione jest rozeznanie racji stanu. System może wpaść w dryf. Ostatnio grozi to nie tylko Polsce, lecz bodaj większości cywilizacji Zachodu. Choć wnioski z tego nietrudno wyciągnąć, to bardzo trudno wprowadzić je życie...

Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

Autopromocja | Reklama 49/1021/F

eprasa.pl d4ace5c9e2

PLEBISCYT DLA CZYTELNIKÓW

Człowiek Wolności tygodnika SIECI



IX EDYCJA PLEBISCYTU

Już po raz dziewiąty wybieramy **Człowieka Wolności**, czyli osobę, dla której wolność jest wartością najważniejszą, a jej obrona i szerzenie codzienną powinnością



2020
Prezes PKN ORLEN
Daniel Obajtek



2019
Premier
Mateusz Morawiecki



2018
Wicepremier
prof. Piotr Gliński



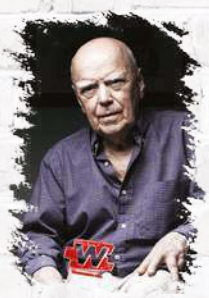
2017
Prezes Trybunału Konstytucyjnego
Julia Przyłębska



2016
Prezes PiS
Jarosław Kaczyński



2015
Prezydent RP
Andrzej Duda



2014
Poeta i pisarz
Jarosław Marek Rymkiewicz



2013
Historyk z IPN
prof. Krzysztof Szwagrzyk

Zapraszamy Czytelników, by razem z nami wybierali **Człowieka Wolności 2021**. Prosimy wypełnić kupon i przesłać go do 10 grudnia 2021 r. na adres: Fratria Sp. z o.o., ul. Finlandzka 10, 03-903 Warszawa, z dopiskiem „Plebiscyt". Regulamin plebiscytu dostępny na www.wsieciprawdy.pl

KUPON ZGŁOSZENIOWY – Plebiscyt Człowiek Wolności 2021 tygodnika SIECI

imię i nazwisko kandydata .....

uzasadnienie .....

.....

.....

☐ Akceptuję Regulamin plebiscytu „Człowiek Wolności 2021 tygodnika Sieci" dostępny na stronie www.wsieciprawdy.pl i oświadczam, że zapoznałam/em się z jego treścią.*

* pole obowiązkowe

Partnerzy plebiscytu

Bank Pekao LOTOS ORLEN TOTALIZATOR SPORTOWY 65 LAT TOTALIZATORA SPORTOWEGO

Organizator plebiscytu

SIECI

eprasa.pl d4ace5c9e2

#WielkieChwile

TOTALIZATOR SPORTOWY

65 LAT TOTALIZATORA SPORTOWEGO

Grając w gry LOTTO, wspierasz sport

DZIĘKUJEMY!



WIOŚLARSKA CZWÓRKA KOBIET
Wicemistrzynie olimpijskie z Tokio 2020

Każda złotówka, którą przeznaczasz na gry liczbowe LOTTO, to 19 groszy dla sportu i kultury



eprasa.pl/d4ace5ce2